MARTA

KISIEL

ZAWSZE COŚ

MARTA

KISIEL

ZAWSZE COŚ

Redakcja: Piotr Chojnacki
Korekta: Krystian Gaik, Justyna Żebrowska

Projekt okładki i stron tytułowych, ilustracje wykorzystane
na I stronie okładki: White Doe
Zdjęcie autorki: Wojtek Biały

Skład i łamanie: Dariusz Ziach
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67690-05-8

Copyright © Marta Kisiel 2023
Wydanie I
Warszawa MMXXIII

Nobody's leaving.
Nobody's walking out on this fun,
old-fashioned family Christmas. No, no.
We're all in this together.
CLARK GRISWOLD

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Cytat

SPIS LUDNOŚCI

ŚRODA
- ROZDZIAŁ | 1
- ROZDZIAŁ | 2
- ROZDZIAŁ | 3
- ROZDZIAŁ | 4
- ROZDZIAŁ | 5
- ROZDZIAŁ | 6

CZWARTEK
- ROZDZIAŁ | 7
- ROZDZIAŁ | 8
- ROZDZIAŁ | 9
- ROZDZIAŁ | 10
- ROZDZIAŁ | 11
- ROZDZIAŁ | 12

PIĄTEK
- ROZDZIAŁ | 13
- ROZDZIAŁ | 14
- ROZDZIAŁ | 15
- ROZDZIAŁ | 16

SOBOTA
- ROZDZIAŁ | 17
- ROZDZIAŁ | 18
- ROZDZIAŁ | 19
- ROZDZIAŁ | 20
- ROZDZIAŁ | 21
- ROZDZIAŁ | 22

NIEDZIELA, czyli ŚWIĘTA, ŚWIĘTA
- ROZDZIAŁ | 23
- ROZDZIAŁ | 24
- ROZDZIAŁ | 25
- ROZDZIAŁ | 26
- ROZDZIAŁ | 27

...I PO ŚWIĘTACH
- ROZDZIAŁ OSTATNI

PODZIĘKOWANIA

SPIS LUDNOŚCI

GŁOWY RODU JĘDRZEJCZYKÓW:

PRZYBYSŁAWA JĘDRZEJCZYK – świętej pamięci babunia.

ALFRED JĘDRZEJCZYK – świętszej pamięci dziadunio.

ICH DZIECI:

WANDA POPIEŁOWSKA – wdowa po Pułkowniku. Nieodrodne dziecko PRL-u, czyli była preppersem, zanim to stało się modne.

HENRYK JĘDRZEJCZYK – były mąż Briżit. Człowiek o umyśle biegłego rewidenta i temperamencie kluski śląskiej.

KRYSTYNA JĘDRZEJCZYK – najmłodsza (i najnormalniejsza) z rodzeństwa Jędrzejczyków.

DZIECI TYCH DZIECI:

MAREK POPIEŁOWSKI – syn Wandy i świętej pamięci Pułkownika. Po prostu robi swoje.

AGNIESIA KUBASIUK – młodsza siostra Marka. Gwiazda na rodzinnym firmamencie i ogółem zjawisko, że klękajcie narody.

TERESKA TRAWNA – córka Henryka. Księgowa z bujnym temperamentem, słabością do kasztanków oraz zwichrowanym odnóżem.

MAŁŻONKOWIE DZIECI TYCH DZIECI:

ALINA POPIEŁOWSKA – żona Marka. Niewzruszona tafla jeziora i wyrodna synowa w jednej drobnej osobie.

JAN JAKUB KUBASIUK – mąż Agniesi. Trochę prawnik, trochę administratywista, trochę wazelina.

ANDRZEJ TRAWNY – mąż Tereski. Z zawodu inżynier (produkcji), z natury człowiek labrador.

DZIECI DZIECI TYCH DZIECI:

MACIEJKA TRAWNY – syn Tereski i Andrzeja. Bardziej Andrzeja.

ALEKSANDRA POPIEŁOWSKA (DUŻA OLA) – córka Marka i Aliny. Miłośniczka farbowania włosów i testowania granic babcinej wytrzymałości.

ALEKSANDRA KUBASIUK (MAŁA OLA) – córka Agniesi i Jana Jakuba. Milcząco pogodzona ze swym marnym losem.

POZOSTALI:

BOGNA – partnerka Henryka, właścicielka przychodni weterynaryjnej.

RAFAŁ BARANEK – partner Krystyny, obecny cyfrowo.

TADEUSZ KONSTANTY POPIEŁOWSKI – notariusz.

PRZEMYSŁAW JOŃCZY – też notariusz, nieco świeższej daty.

No przecież chciałaś inaczej.

Te słowa, doprawione nutą zmieszania i kapką wyrzutu, w następnych dniach miały wielokrotnie odbijać się Teresce Trawnej nieznośną czkawką. Lecz wtedy, gdy usłyszała je na żywo po drugiej stronie linii, ni w ząb nie umiała pojąć, o co tak właściwie chodzi jej mężowi.

– Ale że co przecież chciałam inaczej? – zapytała, patrząc dość tępo w przestrzeń. Przestrzeń równie tępo otaczała Tereskę. Bardzo do siebie teraz pasowały, ta pustka wokół Tereski i pustka w jej umyśle. Gdyby upuścić szpilkę, i tu, i tam echo niosłoby się jak złoto.

– No… spędzić święta – doprecyzował Andrzej Trawny.

Faktycznie, nie mogła zaprzeczyć. Chodził jej po głowie pomysł, żeby dla odmiany spędzić raz Boże Narodzenie bez atrakcji towarzyszących. Bez ciągłej bieganiny, bez nieustannych nerwów o wszystko i wszędzie – w kolejkach, za kierownicą, w kuchni, przy stole, z listą rzeczy przewijającą się tam i nazad przed oczami, bo co jeszcze, co jeszcze, o czym zapomniała tym razem? A Tereska, co tu kryć, szczyciła się w tej dziedzinie tytułem mistrzowskim, odkąd zapomniała kupić na Wielkanoc jajka i majonez, chociaż Andrzej obstawiał, że nie było to wcale jej ostatnie słowo. I prawdopodobnie miał rację.

Nie żeby Tereska unikała nowych wyzwań, jakie stawiały przed nią życie i charakter, skądże znowu. Po prostu miała takie marzenie o spokoju zarówno świętym, jak i świątecznym zarazem i hołubiła je czule w momentach napięcia emocjonalnego. Wzbierało w niej ono od kilku lat, znacząco przybierając na sile mniej więcej od pierwszych dni listopada, kiedy stacje radiowe na wyprzódki odpalały *Last Christmas*, a na półkach, obok niedobitków ceramicznych dyń, plastikowych zniczy i sztucznych chryzantem, wyrastały czekoladowe Mikołaje i kalendarze adwentowe. W każdym razie instynkt przetrwania podpowiadał Teresce, że choć raz chciałaby świętować inaczej niż co roku.

Ale nie TAK. Stanowczo nie tak!

Tereska odetchnęła powoli, pozwalając, żeby wraz z powietrzem uszła z niej część stresu. To ważne, powtarzała sobie, to ważne, żeby nie kumulować negatywnych emocji. Bo skumulowane negatywne emocje lubią narastać, a potem wejść nieoczekiwanie w reakcje, łańcuchowe, termojądrowe wręcz, i jakoś tak mimochodem zmieść z powierzchni Ziemi cywilizację lub dwie.

– Wiesz co, Andrzej? Wiesz co? – zwróciła się do ukochanego męża, gdy tak niespiesznie wynurzała się z głębokiej zadumy.

– Co, Mysza? – zapytał tym swoim tonem radosnego labradora, który już przeczuwa nadciągający spacerek.

– A weź ty mnie pocałuj w dupę – poradziła mu Tereska z całą życzliwością, po czym rozłączyła się, wsunęła komórkę do kieszeni i zmarszczyła brwi.

Młody ortopeda, który przycupnął przy biureczku obok i właśnie zaczął wklepywać do komputera swe spostrzeżenia natury fachowej, bardzo starannie udawał, że on niczego nie słyszał, jego wcale tu nie ma. Tylko zdławiony charkot zdradził, że jednak był i słyszał, i z całych sił walczył – jeśli nie o życie, to chociaż o swój lekarski autorytet, z którym opluwanie monitora najwyraźniej nie szło w parze.

– Nie mogła pani złamać tej nogi, pani Tereso? – zapytał, na wszelki wypadek nie odrywając wzroku od kolejnych rubryczek formularza elektronicznego. – Byłoby prościej.

Rozpostarta na leżance, z obrzmiałą kostką w resztkach zimnego gluta, Tereska Trawna pomyślała sobie, że w sumie nigdy nie była fanką nadmiaru cywilizacji.

Tak. W tamtym momencie Tereska pomyślała sobie wiele rzeczy. Ale przez głowę jej nawet nie przemknęło, że z powodu beztrosko skręconej kostki wpakuje się w kolejną awanturę z zaskakująco czynnym udziałem nieboszczyka.

A właściwie to nawet kilku nieboszczyków.

ŚRODA

ROZDZIAŁ | 1

Zaczęło się od tego, że Tereska Trawna wypadła z samochodu.

Wydarzenie to, choć w gruncie rzeczy nie odbiegało szczególnie od normy, powinno było jednak dać jej do myślenia, rozbłysnąć niczym ostrzegawcza flara w mrokach świadomości. Albo chociaż dźgnąć Tereskę w miękkie przeczuciem, że ten dzień niekoniecznie musi ułożyć się tak, jak sobie zaplanowała.

A przecież udało jej się mniej więcej wyspać i osiągnąć stan względnej przytomności umysłu metodą kawy i kasztanka. Trasa sama w sobie też nie była taka znowu najgorsza – ot, dwieście kilometrów z niewielkim naddatkiem. Co to dla niej. Najpierw kawałątek autostradą, luksusowo, następnie zjazd i ciąg dalszy, może mniej dynamiczny, za to w przyjemniejszych okolicznościach przyrody. Tyle że okoliczności te od pewnego momentu wiodły pośród urokliwych pagórków, między którymi cisnęły się rozliczne wsie. Gdzie kończyła się jedna, tam zaczynała się druga, a Tereska, księgowa z zawodu i zamiłowania, z respektem odnosiła się do wszelkich wartości liczbowych umocowanych prawnie, ze szczególnym uwzględnieniem stawek podatkowych oraz ograniczeń prędkości. Dlatego sunęła przez niekończący się ciąg terenów zabudowanych, twardo trzymając się pięćdziesiątki na liczniku i ignorując mistrza jazdy szybkiej, lecz bezpiecznej, który od dłuższego czasu siedział jej na zderzaku i czaił się na prześwit. Kiedy wreszcie się doczekał, z rykiem silnika wyprzedził skromną yariskę i popruł w siną dal.

Potem Tereska utknęła na dobre w pułapce ruchu wahadłowego. Gdy sunęła w niekończącym się sznurku samochodów, odkryła ze zgrozą, że jacyś nadgorliwcy postanowili skorzystać ze sprzyjającej aury i w środku przedświątecznego tygodnia załatać dziurę w nawierzchni. Dziura miała rozmiar poduszki typu jasiek, ale drogowcy rozstawili barierki ochronne z rozmachem, czym sparaliżowali ruch na drodze krajowej i kilku okolicznych skrzyżowaniach. Behapowcy zapewne ronili na ten widok łzy szczerego wzruszenia, a funkcjonariusze lokalnej drogówki bili brawo na stojąco. Czynnym uczestnikom korka pozostawało co najwyżej wbić zęby w kierownicę. Bądź, jak Tereska, w zapas kasztanków, który zawsze nosiła w torebce. Zdążyła wrąbać połowę, zanim po czterdziestu ośmiu minutach minęła wreszcie wąskie gardło, doturlała się do świateł i wyrwała z korka na wolność. Przez moment sama miała ochotę wcisnąć gaz do dechy i popruć jak stado szatanów, bo co prawda wyjechali z domu z zapasem, ale nie aż takim! Na szczęście potem było już z górki. Żadnych robót drogowych, zatorów, fanatycznych rowerzystów, ciągników czy innych niespodzianek, które opóźniłyby ich jeszcze bardziej.

Przynajmniej do momentu, kiedy Maciejka, dotychczas skupiony na gapieniu się w ekran smartfona, ściągnął słuchawki i zakomunikował potrzebę:

– Zjadłbym coś.

Jasne oczy Tereski wywinęły salto bez udziału jej woli. Znowu. ZNOWU. A przecież jadł przed wyjściem śniadanie, sama widziała. Jajecznicę z czterech jajek, uczciwą, na szynce, do tego dwie bułki z masłem, żadne tam dmuchane kajzereczki, tylko te duże, z tak zwaną dupką. Trzecią wrzucił do plecaka razem z paczką ciastek owsianych, którą napoczął kwadrans po tym, jak wyruszyli spod domu. Czyli… – Tereska spojrzała szybko na zegarek – no tak. Ponad dwie godziny temu. Normalny człowiek powinien przetrwać bez posiłku o wiele dłużej, ale organizm szesnastoletniego Maciejki najwyraźniej odkrył w sobie geny ojca i nie zamierzając poprzestawać na marnym metrze i dziewięćdziesięciu centymetrach, rósł dalej. W związku z tym domagał się stałych dostaw pożywienia z częstotliwością, która zawstydziłaby każde zdrowe niemowlę.

Może Tereska nie była nigdy matką roku ani nawet kwartału, ale nie była też matką na wskroś złą. Owszem, wierzyła w samodzielne odnajdywanie drogi do lodówki, ogólne życiowe ogarnięcie i ponoszenie konsekwencji osobistych wyborów, również żywieniowych, nie odmówiłaby jednak głodnemu dzieciątku. Bądź co bądź na miejscu będą godzinę później, niż planowała, a kto wie, o której dotrą do obiecanego tortu. No i to konkretne dzieciątko, gdy robiło się głodne, odpalało tryb natrętnego smęcenia i biadolenia, od którego oczy zachodziły jej krwawą mgłą, co groziło nie tylko dzieciobójstwem, lecz również katastrofą w ruchu lądowym.

Czternaście kilometrów dalej zjechali na stację benzynową. Tereska najpierw zapobiegliwie skorzystała z toalety i dopiero potem poszła do regału chłodniczego, gdzie już, niczym słusznych rozmiarów sęp, krążył Maciejka. W milczeniu przyglądała się, jak dwa hot dogi w rozmiarze XXL z sosem meksykańskim zniknęły w nienasyconej paszczy jej syna, popijane, jeśli wierzyć reklamie przy wjeździe, największym cappuccino w powiecie.

– Sugerowałabym jeszcze kontrolne oddanie moczu przed dalszą drogą – powiedziała, kiedy potomek wysiorbał ostatni łyk mleczno-kawowego napoju, słodkiego ponad wszelką miarę.

– MAMO – odparował Maciejka tym wymownym tonem o nacisku rzędu dziesięciu ton na sylabę, jakim młodzież sygnalizuje dorosłym, że granice żenady zostały przekroczone.

– Okej, okej! – Obronnym gestem uniosła rękę z kluczykami. – Żeby potem nie było, że nie mówiłam.

Ale cóż. Słowo Tereski stało się ciałem – a właściwie cieczą – pół godziny później. Zgodnie z poczynionym proroctwem olbrzymie cappuccino jeńców nie brało.

– Gorzej jak z dzieckiem, gorzej jak z dzieckiem! – psioczyła, zjeżdżając na kolejną stację benzynową.

– No co? – mamrotał Maciejka z siedzenia obok. – No co?

– Mówiłam, żebyś się wysikał na zapas! Mówiłam?! Mówiłam!

– Wtedy mi się nie chciało!

– Ale wlałeś w siebie wiadro kawy! Każdy myślący człowiek wie, czym to się kończy w ciągu piętnastu, góra trzydziestu minut!!!

– To wcale nie ta kawa – zaprotestował, w pośpiechu wyswobadzając się najpierw z kabli i urządzeń elektronicznych, a potem z pasów bezpieczeństwa. – Pewnie się zaraziłem od taty!

– ZAPALENIEM PĘCHERZA???!!! – wrzasnęła Tereska w ślad za odbiegającym synem. Oczywiście nie kłopotał się ani narzuceniem kurtki na grzbiet, ani domknięciem za sobą drzwi

samochodu. No bo po co, w końcu był dopiero koniec grudnia!

Jeszcze dwa postoje i czterdzieści trzy kilometry dalej nawigacja doprowadziła ich coraz węższymi uliczkami na skraj Czarnego Boru – średniej wielkości miasteczka, gdzie oznajmiła wszem wobec, że oto znaleźli się u celu podróży, który to cel, szanowna wycieczko, znajduje się po lewej stronie.

Istotnie, znajdował się tam w całej swej okazałości – wielopiętrowej, wieloczłonowej i pokręconej. Tereska Trawna musiała uczciwie przyznać, że gdyby ujrzała go teraz po raz pierwszy, pewnie zareagowałaby podobnie jak Maciejka, który wybałuszył oczy i zapytał ze zgrozą:

– Kogoś poniosło?…

– Żeby to raz. Dziadunio podobno parał się amatorsko snycerką… oraz profesjonalnym skąpstwem.

Rodzinny dom Jędrzejczyków składał się z wzniesionej jeszcze przed wojną bryły głównej, która byłaby całkiem zwyczajna, gdyby nie liczne dobudówki. Każda z nich stanowiła swego czasu byt odrębny, dopóki ludzka ręka – a dokładniej ręka dziadunia Jędrzejczyka – nie postanowiła jej połączyć na trwałe z domem właściwym. Całość upstrzona była mnogością daszków, wykuszów, okienek i świetlików. Ich układ dawał pewne wyobrażenie o plątaninie korytarzy i pomieszczeń wewnątrz.

Małej Teresce rodzinny dom ojca zawsze wydawał się magiczny. Zachwycał ją detalami i barwami, jakich nie widywała na wielkomiejskim blokowisku, gdzie na co dzień mieszkała z rodzicami – tu czerwienią starej cegły, tam zielenią okiennic i mchu na dachówkach, gdzie indziej jeszcze chabrową niebieskością desek na elewacji. Uwielbiała też wypatrywać przeróżnych zdobień, którymi pyszniły się kalenice, wsporniki i szczyty. Spędziła tu niejedno lato, razem z kuzynostwem wylegując się pośród malw i mieczyków, bawiąc się w chowanego na którymś z pięter i półpięter, wędrując zawiłymi korytarzykami i łącznikami albo buszując w sadzie, który ciągnął się za domem aż po samiuteńki las. Albo w drewutni, stodole, szopie na narzędzia czy innym niekoniecznie bezpiecznym miejscu, gdzie dzieciom wstęp był surowo wzbroniony, co w zasadzie gwarantowało, że prędzej czy później tam wlezą. Ktoś dziabnął się zardzewiałym gwoździem, kogoś użądliła osa, komuś została blizna lub dwie. Nikt nie narzekał. Oglądany przez pryzmat tamtych wspomnień dom nadal miał swój bajkowy czar, chociaż czas nie obszedł się z nim łaskawie i bajkowość zyskała bardziej krwawy klimat, przywodząc na myśl raczej Sinobrodego i Babę Jagę niż Złotowłosą i niedźwiadki na diecie wegetariańskiej.

Brama posesji była otwarta, Tereska wjechała więc na podwórko i zaparkowała yariskę, po czym bez zbędnej zwłoki pchnęła drzwi i przystąpiła do wysiadania. Niestety, zaczęła jak człowiek, skończyła zaś jak zawsze, czyli z nieplanowanym rozmachem. Nim się zorientowała, skąd padł cios, leżała jak długa na ziemi.

– Czyli to prawda, co mówią – dobiegł ją z wnętrza samochodu zasmucony głos Maciejki. – Że lepsze cztery trzeźwe koła…

– Synu, błagam, weź ty mnie nie denerwuj, co? – Tereska dźwignęła się z ziemi i popatrzyła za siebie. No tak. Zagapiła się na wspomnienia i całkiem jej umknęło, że zwolniony pas nie wciągnął się jak należy, tylko zawisnął luźno obok siedzenia w charakterze śmiercionośnej pułapki. Otrzepała się, wydmuchała żwir z nosa, zgarnęła włosy z twarzy

i choć kolana lekko ją piekły, energicznym krokiem przeszła na tył samochodu, żeby otworzyć bagażnik.

– Kiedy ostatnio tu byłaś? – zapytał Maciejka, wysiadając od swojej strony z całym majdanem.

– Ze… – Tereska urwała z ręką na uchylonej klapie i liczyła pospiesznie. Uniosła brwi w autentycznym zdumieniu, bo nie takiego wyniku się spodziewała. – Ze dwadzieścia pięć lat temu? Jakoś tak.

– Serio?

– No. Serio. Jakoś tak wyszło.

Rzuciła Maciejce jego kurtkę, ucinając dalszą dyskusję. Sama z rozkoszą opatuliła się zimowym płaszczem, bo grudniowy chłód zdążył wedrzeć się jej pod sweter i właśnie dobierał się do podkoszulka. Wreszcie sięgnęła w głąb bagażnika po torebkę prezentową i rozłożysty bukiet, który szczęśliwie przetrwał podróż w stanie nienaruszonym. „ŻYJ NAM STO LAT W ZDROWIU", postulował z entuzjazmem wielki, czerwono-brokatowy napis zatknięty pośród kwiecia na drewnianym patyczku.

Ale to, co przez całą drogę pyrkało w Teresce, z entuzjazmem miało niewiele wspólnego…

Trzeba było dopiero okrągłych urodzin babuni, żeby jej stopa raz jeszcze postała na tym podwórku. No dobra, urodzin oraz Krystyny, która pewnego dnia zadzwoniła do Tereski i przekazała, że babunia stanowczo wyraziła życzenie.

– Ja wiem – tłumaczyła bratanicy przez telefon – ja naprawdę wiem i rozumiem, ale babunia odpaliła argument ostateczny.

– Nie mów, że w końcu wybrała – wyszeptała Tereska, nieruchomiejąc z komórką w dłoni nad stertą mokrego prania, które właśnie ładowała do suszarki.

„Jakoś tak wyszło" może nie brzmiało zbyt przekonująco, ale najlepiej oddawało stan faktyczny. Gdyż istotnie jakoś tak wyszło, że Tereska nie odwiedzała tych stron od ostatniego ślubu w rodzinie, na którym zjawiła się dynamicznym przelotem. Samego domu – jeszcze dłużej. Regularny kontakt utrzymywała przez minione lata jedynie z ciotką Krystyną oraz z babunią, z którą ucinały sobie tak zwane pogawędki kontrolne. Odbywały się one zawsze w pierwszy i trzeci czwartek miesiąca i przebiegały zgodnie z uświęconym rytuałem. Babunia, wpierw szczegółowo wypytawszy wnuczkę o jadłospis na aktualny tydzień, masę ciała oraz liczbę dzieci, ruszała z kolejnym odcinkiem telenoweli pod tytułem *Będę umierać*. Konsekwentnie twierdziła, że to niechybnie ostatni jej rok na tym łez padole, w związku z czym od dawna czyniła stosowne plany i przygotowania, z których uwielbiała zdawać szczegółowe i barwne relacje. A że zawsze słynęła z dobrego gustu i nie zamierzała tego zwyczaju zarzucić nawet po śmierci, niczego nie zostawiała przypadkowi. Dlatego Tereska z Krystyną śmiały się między sobą, że po dwóch dekadach permanentnego umierania nestorka rodu wciąż trzymała się tak dziarsko, ponieważ żadna trumna na rynku nie pasowała jej fasonem do wybranej garsonki.

– Sarkofag francuski, moja droga – oznajmiła triumfalnie Krystyna. – Z dębiny!

– Brzmi poważnie.

– Owszem, więc sama rozumiesz. Babunia ostatecznie zamknęła temat, a teraz życzy sobie obchodzić te najostatniejsze okrągłe urodziny w sposób uroczysty, we własnym domu, z własną rodziną. Rodziną w komplecie – podkreśliła Krystyna, a gdy ze strony Tereski

odpowiedziało jej wymowne milczenie, westchnęła ciężko. – Słuchaj, nikomu to nie pasuje. Naprawdę. Nie dość, że środek tygodnia, to jeszcze tuż przed Bożym Narodzeniem. Rafała nie będzie, siedzi w Kanadzie, Marek wkurzony, bo musiał wziąć dyżur w sylwestra, inaczej nie dostałby teraz wolnego, Wanda od tygodnia lamentuje, że jej wchodzimy z butami w święty harmonogram pastowania podłóg… Ale co zrobisz, jak się babunia uparła. No, nie bądź taka, Teresa. Przyjedziesz, wysiedzisz jakoś te trzy godziny i znikniesz na kolejną dekadę. No dobra, dwie.

– Godziny? – Tereska wtrąciła z nadzieją. Niestety, płonną i ulotną niczym słodki sen na dźwięk budzika.

– Dekady – poprawiła Krystyna bezlitośnie. – Ale jeśli cię to jakoś pocieszy, zamawiam tort z kremem malinowym. Będziesz mogła sączyć kawę i patrzeć, jak Wanda udaje, że wcale jej nic nie wlazło w protezę.

Cóż, Tereska Trawna nie wykazywała szczególnego przywiązania do idei kompletu, czy to w odniesieniu do sztućców, odświętnej zastawy stołowej, czy do obecności na rodzinnych spędach, choćby nawet okrągłych lub ledwie zaokrąglonych. Na wyrzuty sumienia i inne szantaże emocjonalne też była w miarę odporna, na wszelkie próby reagując profilaktyczną dawką agresji. Za to na samą myśl o ciotce Wandzie walczącej z pestkami wypełzał jej na twarz uśmiech tak szeroki, że chirurg szczękowy z nerwów dostałby wysypki w co wrażliwszych miejscach.

– Jakieś szczegółowe instrukcje dla nowicjusza? – zapytał Maciejka, gdy dotarli do frontowych drzwi, oboje dostojni i uroczyści na tyle, na ile pozwalała im wczesna pobudka, podróż i nadprogramowa godzina jazdy. Tereska wcisnęła dzwonek, aż terkotliwy dźwięk poniósł się wewnątrz domu.

– Mów dzień dobry, wytrzyj nogi, nie dłub w nosie – wyłożyła krótko.

– A coś przydatnego?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tym samym momencie zamek po drugiej stronie szczęknął i oczom Trawnych ukazała się starsza pani w wydaniu uroczystym. Do czarnego sweterka z połyskującymi dżetami, naszytymi wzdłuż linii obojczyków, założyła wełnianą spódnicę za kolano i botki o tej nieszczęśliwej długości, która nawet długonogą nimfę upodobniłaby do figurki z klocków Lego, a co dopiero osobę tak przysadzistą. Co prawda starannie ułożoną i utrwaloną lakierem koafiurą dodała sobie ze dwadzieścia centymetrów wzrostu – ale też dwie dekady dostojeństwa. Do tego pachniała pastą do butów oraz nieśmiertelną Panią Walewską. Nawet po dwudziestu pięciu latach Tereska wszędzie rozpoznałaby zapach tej wody. Przywoływał tyle samo wspomnień co dom.

„Myśl o malinach, Teresko, myśl o malinach”, upomniała się w duchu. Pospiesznie przywołała uśmiech na usta i wypaliła tak głośno, że prawie dało się to wziąć za entuzjazm:

– Dzień dobry, ciociu! Ciocia to się nic nie zmieniła!

Puszczając mimo uszu domniemany komplement, starsza pani zacisnęła usta i uważnym spojrzeniem omiotła bujną całość Tereski, od wzburzonego koka, przez rozłożyste kwiecie aż po sztyblety i z powrotem.

Tereskę opadło przeczucie. Ciotka zaraz coś powie, zaraz coś skrytykuje, bo przecież zawsze coś, zawsze coś musi być nie tak!

– Wstydu nie masz – orzekła ciotka z namaszczeniem, cofnęła się o krok i zamknęła im drzwi przed nosem.

Trawni zostali z bukietem jak Himilsbach z angielskim.

– Tooo… już? – wyrwało się Maciejce. Dopiero potem zerknął na matkę i odsunął się nieco. Bo też Tereska wyglądała teraz, jak gdyby intensywnie rozważała dostępne opcje, wahając się między trwaniem w absolutnym osłupieniu a odpaleniem trybu Pompeje 2.0, z osobą własną w roli Wezuwiusza. Fakt, trochę się obawiała, że „STO LAT" może zostać źle odebrane, jeśli wziąć pod uwagę wiek szacownej jubilatki, ale w żadnej kwiaciarni nie dysponowali opcją „STO PIĘĆDZIESIĄT", więc co miała zrobić? Zatknąć w bukiecie dwie setki na patyczku?!

Po kilku sekundach Tereska nabrała głęboko powietrza.

– No. Ciocia się nic nie zmieniła – powtórzyła wreszcie. – Nic a nic.

Z kamienną twarzą ponownie wcisnęła dzwonek, może trochę mocniej niż za pierwszym razem.

Minutę później otworzył im mężczyzna, w którym Tereska z marszu rozpoznała najstarszego kuzyna. Marek Popiełowski zawsze był mężczyzną słusznej postury, wysokim i barczystym. Z biegiem lat dorobił się brzucha, krótkiej, gęstej brody oraz bruzdy między brwiami. Na widok kuzynki z kwieciem w objęciach bruzda ta pogłębiła się jeszcze bardziej i prawdopodobnie wyryła trwale w kości czaszki, a może nawet musnęła zwój lub dwa.

– Niech to jasna cholera… – zagaił.

– Też się cieszę, że cię widzę – wycedziła uprzejmie Tereska, odpuszczając sobie już całkiem wszelki entuzjazm. – Nie wiem, o co chodzi, ale tak jakby zostałam tu oficjalnie…

– Nikt ci nie powiedział? – Marek bez pardonu wszedł jej w słowo. – Plany się zmieniły.

Słysząc to, Tereska pobladła.

– Tylko mi nie mów, że impreza odwołana – wydusiła przez ściśnięte gardło. – Stałam godzinę na mijance, bo jacyś mistrzowie logistyki łatali dziurę wielkości znaczka pocztowego. I trzy razy na siku, bo mój syn…

– MAMO!

– Nie, nie, skąd. – Marek gwałtownie zamachał rękami, jak gdyby chciał zdusić, stłumić, zatłuc wręcz wzbierającą pod powierzchnią erupcję wulkanu Tereska, z którym najwyraźniej był obeznany. – Impreza w zasadzie aktualna. Tylko że zamiast urodzin wyszedł nam… no… jak by to ująć… Tak bardziej pogrzeb.

ROZDZIAŁ | 2

Jak się okazało, uroczysty pochówek babuni zaplanowano na czternastą, więc Tereska z Maciejką dotarli w samą porę. Marek szybko odwołał zamówioną taksówkę i całą czwórką, razem z ciotką, wcisnęli się do yariski.

– Reszta już czeka na miejscu – wyjaśnił Marek, kiedy wepchnął się na przednie siedzenie niewielkiego samochodu i Tereska ruszyła spod domu.

– Miło – rzuciła krótko. Chwilowo był to szczyt jej możliwości w zakresie komunikacji międzyludzkiej. Nędzne resztki przytomności, jakie jej zostały, musiała skupić na kierowaniu samochodem w sposób możliwie bezkolizyjny.

Gdy jechali ulicami miasteczka w stronę cmentarza, Tereska od czasu do czasu zerkała przelotem we wsteczne lusterko. Na tylnym siedzeniu, razem ze skonsternowanym Maciejką, zasiadała ciotka Wanda. Po mężu Popiełowska, była najstarsza z rodzeństwa Jędrzejczyków, w związku z czym zawsze prezentowała sobą stosowne dostojeństwo, które w zaistniałych okolicznościach jeszcze przybrało na intensywności. Nie bez powodu, prawdę powiedziawszy, ale przynajmniej nie zaciskała już tak mocno ust na znak głębokiego niesmaku. Marek sporo się nabiedził, by przekonać matkę, że jej marnotrawna bratanica nie przybyła z zamiarem czynnej zniewagi tudzież rozdrapywania świeżych ran, że naprawdę nie miała o niczym pojęcia. O niczym! W ogóle! W końcu ciotka cmoknęła, mruknęła pod nosem: „Właściwie to nic dziwnego…" i poszła po płaszcz. Tereska była tak ogłuszona informacjami, które spadły na nią bez ostrzeżenia, że całkiem jej to umknęło.

W tym stanie umysłu zajechała pod bramę cmentarza, gdzie wysadziła Marka, ciotkę oraz wieńce, po czym ruszyła na poszukiwanie wolnego miejsca na pobliskim parkingu. Gdy razem z Maciejką weszli wreszcie do niewielkiej kaplicy, nie skierowała się do przednich ławek, gdzie już się rozsiedli pozostali krewni nieboszczki, tylko pociągnęła syna do ostatniej ławki.

– Wielka strata, wielka – westchnął z głębokim ubolewaniem ktoś przed nimi. – Kto by się spodziewał…

– Nikt. Nikt!

– Ano nikt…

– Serio? Nikt się nie spodziewał? – zapytał Maciejka, nachylając się ku matce, kiedy któraś już z kolei osoba wydała z siebie to samo zbolałe westchnienie. – To ile prababcia miała lat?

– A tak z tysiąc – palnęła Tereska. Nadal rozkojarzona w stopniu nadprzeciętnym, rozglądała się po kaplicy.

Maciejka rzucił matce zniesmaczone spojrzenie, po czym wyciągnął szyję i ponad głowami zebranych przyjrzał się tabliczce, którą umieszczono przed trumną z babunią

nieboszczką. Kaplica nie była zbyt wielka, a Maciejka wzrok miał dobry, więc bez trudu odczytał, że w górnej części tabliczki widniało: „Przybysława Jędrzejczyk", a pod spodem: „Żyła lat 90".

– Dziewięć dyszek. Ładny mi tysiąc.

– W małym zaokrągleniu.

– Mojego kieszonkowego tak chętnie nie zaokrąglasz.

Tereska powoli wciągnęła powietrze.

– Synu, ja jestem z natury spokojnym człowiekiem… – zaczęła.

– Od kiedy? – zdziwił się niezmiernie Maciejka.

– …dopóki się nie zdenerwuję – dokończyła ściszonym głosem. – Otóż informuję cię, że aktualnie gibam się na krawędzi. Energicznie się gibam.

– Czyli że co?

– Czyli że nie denerwuj matki. Bo jak się z tej krawędzi zwalę, to przysięgam, że cię pociągnę za sobą!

– No, kochana – usłyszała naraz tuż nad sobą. – O tobie nikt nie powie, że cię nie widział na pogrzebie.

Tereska w ułamku sekundy przybrała barwę dorodnego buraczka. Choć okoliczności zaskoczyły równie mocno oboje Trawnych, to Maciejka w prostej grafitowej kurtce doskonale wtopił się w tłum i prezentował w zasadzie przyzwoicie i stosownie. Za to ona… Jak zazwyczaj trzymała się bezpiecznych kolorów i krojów, tak w tym roku trochę ją poniosło. Możliwe, że sprawił to szatański podszept teściowej, wielbicielki odzieży widocznej, możliwe, że kryzys wieku średniego, nieistotne. Tak czy owak, Tereska dała się ponieść fantazji i sprawiła sobie na zimę długi pikowany płaszcz z soczyście pomarańczowego poliestru z efektownym połyskiem i szalowym kapturem. Płaszcz był ciepły i bez wątpienia oryginalny – tyle że w kaplicy, pośród statecznych żałobników, czuła się jak pachołek ostrzegawczy. I zdecydowanie rzucała się w oczy. Cóż… Jak to pachołek.

Tyle że ten głos wcale jej tego nie wypominał. Co najwyżej delikatnie wbijał szpileczkę i chichotał, obserwując efekty.

– Kryśka! – Tereska wydała z siebie zduszony okrzyk, w mgnieniu oka poderwała się z miejsca i padła w ramiona brunetki, która przystanęła tuż za ich ławką. – Och, Kryśka, ja cię strasznie przepraszam! Pojęcia nie miałam, że jadę na pogrzeb!

– No nie żartuj! – Krystyna odsunęła się od Tereski na długość ramienia. Wzrostu były niemal równego, natomiast posturą i kolorystyką różniły się jak dzień i noc. – Przecież ta durna ciućma miała ci przekazać! I ty… ty się dopiero teraz dowiedziałaś?! Rany boskie… – Przytuliła ją raz jeszcze, z całego serca, po czym obrzuciła spojrzeniem pełnym głębokiego zatroskania. – Jak się trzymasz?

– To chyba ja powinnam pytać?

– A, wiesz, jak jest. – Brunetka uśmiechnęła się pocieszająco, a w kącikach jej ciemnych oczu rozpostarły się wachlarze zmarszczek. – Po tylu latach słuchania w kółko o tym jej umieraniu, o trumnach, o… o wszystkim zdążyliśmy się ze trzy razy oswoić z tą myślą. I jak już przyszło co do czego, to właściwie nikt nie był szczególnie zaskoczony. W końcu po coś tę trumnę sobie wybrała, prawda?

– Co racja, to racja – zgodziła się filozoficznie Tereska. – Babunia nie pochwalała żadnego marnotrawstwa.

– No właśnie, no właśnie. Cała ona… Słuchaj, zostajecie na stypie?

– Chyba…? – Trawna odruchowo obejrzała się na syna, zaskoczona i nagłą zmianą tematu, i samym pytaniem. Całkiem jej umknęło, że po pogrzebie zwykle następuje ciąg dalszy o charakterze gastronomiczno-towarzyskim. Nie żeby miała coś do gastronomii, skądże znowu. Za to towarzystwo… Towarzystwo to była jednak odrębna rozmowa. – Chyba… tak?… Tak, tak, oczywiście. Zostajemy.

– To sobie pogadamy na spokojnie. A teraz lecę, zanim Wanda podniesie raban na pół cmentarza. Żaden nieboszczyk sobie na to nie zasłużył – dorzuciła na pożegnanie.

– Przydałby się jakiś indeks – zauważył Maciejka, kiedy Krystyna ze stukotem obcasów o kamienną posadzkę oddaliła się w stronę pierwszych ławek, a jego matka opadła z powrotem na swoje miejsce. – No wiesz. Osobowy?

Tereska pospiesznie nachyliła się ku synowi, bo w okolicach trumny zaczęło się pewne poruszenie, które zwiastowało rychłe rozpoczęcie uroczystości.

– Dobra, tak krótko i konkretnie – zaczęła zniżonym głosem. – Mój ojciec, czyli twój dziadek, ma dwie siostry, tak? No więc to była ta młodsza.

– Czekaj, czekaj. To była TWOJA ciotka?!

– No… tak. Krystyna to moja ciotka, a twoja… czekaj… cioteczna babcia? Jakoś tak wyszło, że jesteśmy z jednego rocznika.

– Okeeej… – Umysł Maciejki z mozołem łączył kolejne kropki, które rysowała mu matka. – Czyli tamta wredna staruszka to druga siostra dziadka, tak? A durna ciućma?

Nie, Tereska stanowczo nie miała teraz sił na działania pedagogiczne. Chociaż, gdyby się tak zastanowić, to na szczerość też nie za bardzo. Szczerość wymagała albo starannego przemyślenia potencjalnych skutków ubocznych, albo gotowości na wszelkie możliwe konsekwencje. Z drugiej strony, przynajmniej sama pchała się człowiekowi na usta, bez żadnych dodatkowych kombinacji i innych umysłowych telemarków, a ze strony trzeciej… Przecież za kilka godzin i tak stąd wyjadą, prawda?

– Wredna staruszka to ciotka Wanda, starsza siostra twojego dziadka. A durna ciućma to jej córka. Agniesia. Tylko żebyś się nie ważył tak o nich mówić przy ludziach! – zastrzegła prędko na wypadek, gdyby Maciejka uznał te określenia za stosowane powszechnie. – A ten Marek, który z nami jechał samochodem, to jej syn.

– Agniesi?

– Gdzie Agniesi, Wandy!!! – Tereska wzięła głęboki wdech. – Dobra, skup się, ja streszczam, ty wizualizujesz. Lecimy warstwami. Warstwa pierwsza, czyli troje rodzeństwa Jędrzejczyków: Wanda, Henryk, czyli twój dziadek, oraz Krystyna. Warstwa druga, czyli ich dzieci. Ciotka Wanda ma dwoje, Marka i Agniesię. Dziadek Henryk jedno, czyli mnie. Krystyna zero. Warstwa trzecia, mężowie i żony. Marek plus Alina, Agniesia plus Jan Jakub, no i ja z ojcem, wiadomo. Plus facet Kryśki, Rafał… chociaż nie, on powinien być wyżej? A zresztą. Warstwa czwarta, czyli dzieci… tych dzieci. Duża Ola, córka Marka, Mała Ola, córka Agniesi, Zoja i ty. Rozumiesz?

– A na czubku? – dopytał Maciejka, bo czegoś mu w tej wizualizacji brakowało.

– Jakim znowu czubku?

– No tego tortu. Skoro są warstwy… Chociaż nie, warstwa pierwsza liczy się chyba od spodu?

– A! Nie, czubek brzmi lepiej. No więc na czubku jest świętej pamięci nieboszczka, babunia Sława, na której pogrzebie właśnie jesteśmy. No i dziadunio Fredek, pamięci jeszcze świętszej.

– Tak bardzo szlachetny?

– Tak bardzo nieżyjący – zdążyła jeszcze powiedzieć Tereska, gdyż oto organista ruszył z repertuarem.

Co prawda z wiarą nie było jej nigdy po drodze, ale musiała przyznać, że nastrój uroczystości w naturalny sposób sprzyjał zadumie. Teraz, bez ciotki Wandy na karku i kierownicy w dłoniach, mogła chociaż wstępnie przetrawić to, co los zwalił na nią z taką szczodrością. Wszak jechała tu przekonana, że dwadzieścia pięć lat fizycznego dystansu stanowi wystarczająco solidny bufor, że będzie jako ten kwiat lotosu na powierzchni jeziora… Znaczy, zasilany kasztankami kwiat lotosu i tak dalej. Ot, przyjedzie, wręczy jubilatce kwiecie, odśpiewa chóralnie okolicznościową przyśpiewkę, przytaknie kilka razy dla świętego spokoju znad kawałka tortu z kremem malinowym, że tak, tak, jak ten czas leci, jak te dzieci rosną, a my wciąż tacy młodzi, co za czasy, no takie czasy, dzisiaj to nie ma czasów, za naszych czasów to ho-ho-ho, było nas jedenaścioro, mieszkaliśmy w jeziorze, ale cóż poradzisz, no, to pora na nas, bo kawał drogi, pozdrowię, oczywiście, pozdrowię, do następnego!

A tymczasem babunia postanowiła zaskoczyć wszystkich i upamiętnić swe okrągłe urodziny inauguracją sarkofagu w stylu francuskim. Temat umierania zamknęła ostatecznie i z hukiem.

Chociaż… Krystyna miała rację. Co prawda nikt poza główną zainteresowaną nie mówił tego głośno, ale chyba wszyscy członkowie rodziny zdążyli się przez te lata oswoić z myślą, że ten dzień siłą rzeczy kiedyś nastąpi, bo nastąpić musi. I to raczej prędzej niż później – bądź co bądź babunia Sława dobiła dziewięćdziesiątki, co stanowiło wynik zacny. Nie chodziło więc o zaskoczenie samym faktem, dumała dalej Tereska w ostatniej ławce, a przynajmniej nie tylko o nie. Najbardziej przytłoczył ją chyba dysonans między tym, czego się spodziewała, wyruszając tego ranka z domu, a tym, co ostatecznie zastała u celu podróży. Niespodziewaną dziurę w rzeczywistości po kimś, kto był tam zawsze, odkąd właściwie sięgała pamięcią.

Kiedy uroczystość w kaplicy dobiegła końca, kondukt udał się na południowe obrzeża kameralnego cmentarza, gdzie znajdował się rodzinny grobowiec Jędrzejczyków. Wzrok Tereski, która przez cały czas starannie trzymała się z tyłu, odruchowo rejestrował wśród idących znajome postacie: kuzynostwo, wujostwo, sąsiedzi bliżsi i dalsi. Po jakimś czasie wpadł jej w oko starszy mężczyzna w granatowym płaszczu, kroczący mniej więcej w połowie konduktu. On również się rozglądał, jak gdyby kogoś wypatrywał. Wodził rozkojarzonym spojrzeniem, nieustannie coś do siebie mamrocząc i sprawiając wrażenie głęboko poruszonego. Kto wie, zasępiła się Tereska, może babunia była jego dawną niespełnioną miłością, z którą żegnał się teraz z żalem i żarem? Albo tak mu zalazła za skórę, że równie namiętnie rzucał profilaktyczne klątwy, by jej nie przyszło do głowy powrócić zza grobu? Tereska niemal roześmiała się w głos do tej ostatniej myśli. Czemu nie? Znając babunię…

– To teraz idziemy jeść? – zagaił półgłosem Maciejka, kiedy ostatnie wieńce zostały złożone i pogrzeb się zakończył. Robiło się coraz zimniej, coraz szarzej. Ludzie jeden za drugim opuszczali cmentarz, po drodze obrzucając wymownymi spojrzeniami pachołek w osobie wciąż stojącej z boku Tereski.

– Mniej więcej – odparła. – Tylko błagam, synu. BŁAGAM. Nie rozsiadaj się, nie rozgaszczaj, nie wdawaj w dyskusje. Jemy, ubolewamy i do domu, zanim… no.

– Ale będzie tort, prawda? – dopytywał Maciejka, który przez tę godzinę spędzoną na cmentarzu zdążył solidnie zgłodnieć, a wszak, jak mawiał poeta, trzeba z żywymi naprzód iść czy coś tam.

Już miała zapytać z matczyną czułością, czy go przypadkiem nie przewiało w okolicach mózgowia – jaki tort na stypie, na litość boską – kiedy jej uszu dobiegł podniesiony damski głos.

– CIOCIA BRYGIDKA?!

Tknięta nieprzyjemnym przeczuciem Tereska Trawna obejrzała się za siebie.

Cmentarną alejką dreptało ku niej zjawisko – blondwłose, śliczne i filigranowe, skromne metr pięćdziesiąt trzy w eleganckim taliowanym płaszczyku i szpilkach podkreślających ponadprzeciętną zgrabność nóg. Zaraz za zjawiskiem kroczył mężczyzna w ciemnym kaszkiecie. Prowadził ciotkę Wandę z taką rewerencją, jak gdyby była królową w żałobie po ległym w gruzach imperium, on zaś wiernym admirałem gotowym iść za nią choćby na śmierć.

Powstrzymywany dotąd charakter wezbrał z miejsca w Teresce niczym woda w zatkanym sedesie. Niewiele osób działało jej na nerwy tak jak Jan dwojga imion Jakub Kubasiuk, niezmiernie szanowny i niezmiernie nadęty mąż jej kuzynki, którego widziała bodaj trzeci raz w życiu, a i to uważała za przegięcie. Na szczęście los najwyraźniej uznał, że nie ma co przesadzać z nadmiarem bodźców w miejscu ostatecznej zadumy, gdyż oto ciotka Wanda przystanęła, zaczepiona przez kogoś z uczestników pogrzebu, a wraz z nią Jan Jakub i jego dostojeństwo.

– Och, ciocia tak PIĘKNIE wygląda! – świergotało tymczasem zjawisko, zbliżając się nieuchronnie. – Jak ja bym się chciała tak PIĘKNIE STARZEĆ jak ciocia!

Tereska zacisnęła zęby. Nie żeby była zaskoczona albo co. W tej osobliwej rodzinie tylko jedna osoba mogła tak po prostu przeoczyć, że minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd się ostatnio widziały, i wziąć dawno niewidzianą kuzynkę za jej własną matkę.

– Cześć, Agniesiu.

Agniesia Kubasiuk stanęła jak wryta. Melodramatycznym gestem, godnym największych gwiazd kina niemego, przycisnęła jedną dłoń do piersi, drugą zaś przytknęła do rozchylonych ust.

– OCH! Och, Tereso! To TY?! No nie spodziewałam się!

– Również jestem w szoku – odparła niespodziewana Tereska.

– No naprawdę. NAPRAWDĘ. No powiem ci, że ta LEKKA nadwaga służy ci jak MAŁO komu. Widzisz, Olciu? – rzuciła do niepozornej nastolatki w czarnym berecie, która przystanęła kilka kroków od niej. – Widzisz? Bierz przykład z cioci. Boczy się na mnie, bo jestem w ciąży – wyjaśniła Agniesia konfidencjonalnie, zwracając się na powrót do Tereski – i teraz cały świat wie, że jej mama i tata robią TAKIE RZECZY w TAKIM WIEKU. No ale co ja mam zrobić? Ja już w jej wieku cieszyłam się OGROMNYM powodzeniem u chłopców i tak mi zostało. Widać mam BARDZO silną kobiecą energię. Tłumaczę jej, że taki *vibe* nie jest dany każdemu, że…

Olcia miała taką minę, jak gdyby owszem, chętnie wzięła, tyle że coś mocniejszego niż przykład z cioci. Za to Tereskę skręcało coraz mocniej i mocniej. Naraz poczuła, jak czyjeś

palce z siłą przenośnego imadła zaciskają się na jej łokciu.

– Ani się waż – dobiegł ją cichy syk Krystyny. – Do niej i tak nic nie dotrze, ty się stąd zwiniesz, a ja zostanę i się nasłucham. Dobrze, to kto z kim jedzie? – rzuciła głośno, znacznie głośniej niż było trzeba. – Bo zaszła mała zmiana planów i musimy się trochę przetasować…

ROZDZIAŁ | 3

Zaczęło już zmierzchać, zanim kombi Jana Jakuba i yariska Tereski zaparkowały ponownie przed rodzinnym domem Jędrzejczyków. Psy sąsiadów rozszczekały się jak najęte. Dorośli wraz z nastolatkami wysypali się z samochodów i zebrali przed frontowymi drzwiami, rozprawiając jedno przez drugie o tym, co to się wyprawia na tych drogach, o tegorocznych cenach karpia, które powariowały, oraz o tym, ile wersji *Jingle Bells* na dobę jest w stanie znieść przeciętnie trzeźwy człowiek.

I tak stali i stali, i stali, aż w pewnym momencie ktoś zadał dość istotne pytanie:

– A tak właściwie… to kto ma klucze?

Zapadła cisza. Jedno po drugim spojrzenia wszystkich zebranych pod drzwiami przesunęły się na ciotkę Wandę.

– I co się tak patrzycie?

– No przecież to mamy dom – wytknął Jan Jakub teściowej tyleż chłodno, co dość logicznie. Wszak istotnie, próbowali się dostać do domu, w którym Wanda Popiełowska mieszkała nieprzerwanie od urodzenia, jako panna, mężatka i wreszcie wdowa, a teraz, po śmierci babuni, na dodatek została jego główną i jedyną lokatorką. Zatem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, klucze posiadać powinna, prawda?

Ciotka najpierw zmarszczyła brwi, jakby w ten sposób zaganiała myśli w jedno miejsce, żeby sobie ułatwić zadanie. Następnie, wciąż w wielkim skupieniu, sprawdziła niewielką torebkę, przegródka po przegródce, ale kluczy tam nie znalazła. Przetrząsnęła zatem kieszenie płaszcza, zarówno zewnętrzne, jak i tę wewnętrzną. Niestety, z tym samym rezultatem. Kluczy nigdzie nie było.

– Marek – przypomniała sobie nagle Tereska. – Przecież Marek zamykał dom, kiedy wychodziliśmy, prawda? Musiał zabrać cioci klucze ze sobą.

– A gdzie jest Marek?

– Pojechał z Henrykiem po rosół – przypomniała Krystyna, która przystanęła sobie z boku i korzystając z okazji, zapaliła papierosa.

– Jak to: po rosół? Co to znaczy: po rosół? – Jan Jakub natarł na nią, jak gdyby chodziło o przetrwanie ludzkości w obliczu atomowej zagłady, a nie zupę. Uświęconą tradycją, owszem, ale jednak zupę.

– No normalnie, w garze – odparła spokojnie Krystyna i sięgnęła po komórkę, bo w przeciwieństwie do swojej bratanicy była osobą z natury zrównoważoną. Możliwe też, że lata regularnej ekspozycji trochę ją uodporniły na Jana Jakuba i jego unikatowy styl konwersacji. – Przecież nie w woreczku.

– A to by był kawał woreczka… – rzucił Maciejka gdzieś w przestrzeń.

Jan Jakub założył ręce na piersi i niczym zdegustowany sęp zawisnął nad Krystyną. Przez następnych pięć minut przypatrywał się, jak próbowała dodzwonić się na zmianę to do brata, to do siostrzeńca.

– Nie odbierają – stwierdziła wreszcie, wsuwając komórkę z powrotem do kieszeni.

– Jak to: nie odbierają?! – zabulgotał Jan Jakub, który gładko przeszedł od sępa do indora.

– Zwyczajnie. – Krystyna nadal zachowywała niebiańską cierpliwość. – Ja do nich dzwonię, a oni nie odbierają. Nic. Cisza w eterze.

– Pewnie gdzieś piją. Ja bym piła… – wymamrotała pod nosem Tereska. Starannie uciekała wzrokiem od scenki rodzajowej, która nieoczekiwanie rozkręcała się na podwórku. Owszem, spodziewała się interakcji z rodziną, ale dopiero po solidnym posiłku, ewentualnie w trakcie, kiedy poziom cukru w organizmie zacznie jej się podnosić, poziom irytacji zaś opadać w stosunku proporcjonalności odwrotnej!

Jan Jakub zacisnął usta.

– No dobrze. Marek zabrał ze sobą mamy klucze. A co z drugim kompletem? – zwrócił się do teściowej. – Bo chyba nie chce nam mama powiedzieć, że to były jedyne klucze do tego domu!

– Ty masz rację. – Ciotka Wanda z namaszczeniem pokiwała głową. – Powinny być jeszcze jedne. Te klucze.

– Gdzie?

– To chyba Heniu wziął – odparła ciotka po chwili zastanowienia.

– A gdzie jest wuj Henryk?

– Pojechał z Markiem po rosół… – przypomniała Krystyna.

– JAK TO: PO ROSÓŁ?!

Jan Jakub rozindyczył się na dobre, choć trudno było uchwycić, czy bardziej chodziło mu o dowożony rosół nieznanego pochodzenia, zapewne trujący lub co najmniej niegodny jego podniebienia, czy jednak o te zaginione klucze, bez których mogli tu co najwyżej tkwić jak kołki w płocie. Agniesia ubolewała u boku małżonka, również z przyczyn niewiadomych, ciotka Wanda kolejny raz przetrząsała torebkę, a Maciejka wypytywał Krystynę, czy ten tort to już się znajduje w środku, czy może też trzeba będzie czekać na transport…

Tylko dwie osoby nie brały udziału w tym zbiorowym przypływie interakcji, mianowicie Olcia pozostająca w stanie permanentnego zniesmaczenia rzeczywistością oraz, o dziwo, Tereska. Owszem, kusiło ją, nawet bardzo, żeby się wtrącić, żeby wkroczyć do akcji z argumentami i rozmachem i może przy okazji strzelić tego bubka w kaszkiecie, tak profilaktycznie. Przemyślała jednak sprawę i uznała, że lepiej będzie, jeśli wstrzyma konie – przez wzgląd na własne zdrowie psychiczne oraz statystyki policyjne w gorącym okresie przedświątecznym.

Zamiast tego zaczęła więc wpatrywać się intensywnie w zawiłą bryłę niedostępnego budynku, aż wtem z tyłu głowy zamajaczył jej pewien pomysł. Z pozoru szalony, choć… nie tak znowu do końca. Odwróciła się szybko z błyskiem w porcelanowych oczach i napotkała rozbawione spojrzenie młodszej ciotki. Tak, ewidentnie wpadły na to samo rozwiązanie.

– Da się? Jak myślisz?

Krystyna uniosła brew.

– Chyba nie posądzasz mojego brata, że coś tu kiedykolwiek naprawił?

Brew Tereski również drgnęła, acz mocniej. Obie wiedziały, że brat Krystyny, przypadkiem będący też ojcem Tereski, przez całe życie kierował się zasadą: „przewróciło się, niech leży". Co więcej, uważał tę zasadę za uniwersalną i przystającą zwłaszcza do drobnych napraw domowych. Choć nie tylko.

– Cóż, miał na to zaledwie dwadzieścia pięć lat… No tak. Zerowe szanse.

– O czym one mówią? – życzył sobie wiedzieć Jan Jakub, któremu nie umknęło, że coś tu się dzieje, o czymś tu się rozmawia, on zaś nie został ani poinformowany, ani uwzględniony w roli autorytetu. – O czym wy mówicie? Proszę się wytłumaczyć!

– Tamto okno na ćwierćpiętrze. – Tereska wskazała palcem. – Za tamtą jodłą, widzisz? Ono się otwiera od zewnątrz, jak puknąć pięścią w ramę. Tylko trzeba trafić we właściwe miejsce, tak trochę z boku.

– Niemożliwe – orzekł Jan Jakub kategorycznie.

– A jednak.

– Przecież to tak nie może być! Mama słyszy? Z tym trzeba coś zrobić! To jest karygodne! Ka-ry-god-ne niedopatrzenie! Ten dom to pułapka, śmiertelna pułapka!

– A skąd ty o tym wiesz? – zdziwiła się Agniesia.

Tereska łypnęła na Krystynę, a potem wzruszyła ramionami. Chyba mogły się już przyznać do grzechu młodości. Szlaban im raczej nie groził, co najwyżej foch stulecia.

– Stąd, że latem wymykałyśmy się tamtędy po nocach, kiedy ciocia już spała. I szłyśmy na dyskotekę.

– No coś podobnego! – zapiała ciotka Wanda, a jej zięć odwrócił się do małżonki i powiedział surowo:

– Mam nadzieję, że nie brałaś udziału w tym procederze, Agnieszko.

– No bez jaj… – wyrwało się Teresce.

– Posłuchajcie, opcje są następujące. – Krystyna kolejny raz rzuciła bratanicy ostrzegawcze spojrzenie i czym prędzej skupiła na sobie uwagę zebranych. – Możemy tu kwitnąć do skutku, czekając albo próbując się dodzwonić do Marka z rosołem i kluczami…

– Bądź Henryka.

– …bądź Henryka z rosołem i kluczami – zgodziła się z siostrą Krystyna – a możemy też wspiąć się do okna i otworzyć sobie od środka.

– A to paradne. Wspiąć! – Wydawszy z siebie serię parsknięć, Jan Jakub trzepnął jeszcze dłonią w powietrzu dla wzmocnienia efektu, żeby nikomu nie umknęło, co on sądzi o tym pomyśle. – Tak po prostu: wspiąć! Do ok-na! Proszę zatem nas oświecić, kto niby miałby to zrobić?! Bo ja tu chętnych nie widzę!

Teresa przewróciła oczami. Zaledwie dwie osoby wiedziały, jak tam wleźć i dostać się do środka bez szkód w mieniu bądź pogłowiu, z czego jedna była obecnie elegancką i zrównoważoną umysłowo kobietą na obcasach, druga zaś… cóż, Tereską.

– Już się tak nie nadymaj, bo pęknie sz. Ja tam wejdę. Mam doświadczenie na tej trasie i sporą strefę zgniotu. Oraz przypadkiem jestem w życiowej formie – dodała z dumą.

– Och, chodzisz może na wodny aerobik? – Agniesia ożywiła się, wietrząc wspólny temat do pogaduszek. – Podobno to bardzo ZDROWE przy lekkiej nadwadze. Wiesz, nie OBCIĄŻA tak stawów.

– Nie, chodzę na boks. Lądowy – uściśliła Tereska. Rzuciwszy Krystynie swoją torebkę, zaczęła wyplątywać się z szalika i płaszcza. Czas naglił, robiło się coraz ciemniej i zimniej. Ani

myślała czekać, aż temperatura spadnie poniżej zera, dokładając do przeszkody terenowej element poślizgowy.

– Boks? – powtórzył Jan Jakub i uniósł brwi tak wysoko, że mało mu się kaszkiet nie zsunął. – Co też ci do głowy strzeliło na stare lata?

– A bo ja wiem? Chyba uznałam, że wolę się starzeć z bólem niż z godnością.

– Boże drogi, jeszcze spadniesz! – lamentowała ciotka Wanda.

– Jest taka opcja – zgodziła się Tereska, gdyż istotnie w jej przypadku zrobienie sobie tej czy innej krzywdy brzmiało wielce prawdopodobnie, bo forma formą, ale talent do kontuzji i innych zniszczeń wykazywała wybitny. – A nawet wiele opcji. Mogę spaść. Mogę się nadziać. Mogę złapać katar. Mogę sobie wbić drzazgę albo zaciągnąć sweter…

– W moje róże spadniesz!!!

– Jeśli to cioci pomoże, postaram się celować bardziej w asfalt – obiecała uspokajająco Tereska, lecz gdy ciotka Wanda raz odpaliła nerwy, nie tak łatwo było ją wyhamować.

– No nie wiem… nie wiem… Może… może lepiej niech twój… niech on?… – Zawiesiła głos, dłonią w rękawiczce wskazując na Maciejkę.

– Mowy nie ma! – Trawna stanowczo ucięła ten pomysł w zarodku. – Po moim trupie! Nie, wróć, nawet wtedy nie. On jest nieletni i… bardzo nieletni!

– ALE MOJE RÓŻE!!!

– Stypa z elementami wspinaczki? – Maciejka pokiwał głową z uznaniem dla nieszablonowego podejścia. – Niezła awangarda.

– No tego to na pewno jeszcze nigdzie nie grali – zgodziła się z nim Krystyna. – Chociaż… moja matka byłaby zachwycona. Uwielbiała takie numery.

Nie czekając, aż ciotka Wanda nabierze wiatru w żagle, Tereska dorzuciła wściekły płaszcz Krystynie, podwinęła rękawy swetra i czym prędzej zabrała się do dzieła.

Felerne okno na ćwierćpiętrze znajdowało się kilka metrów nad ziemią, w załomie budynku. Dzięki temu mogło łatwo umknąć uwadze przypadkowego przechodnia – lub przypadkowego złodzieja, zwłaszcza że od ulicy przesłaniał je duży drewniany wykusz z daszkiem, od ogrodu zaś rozłożysta jodła kaukaska. Jodła, rzecz jasna, była wyższa niż trzydzieści lat temu, kiedy Tereska z Kryśką wymykały się na dyskoteki, korzystając z jej zbawiennego cienia. Ale sama Tereska również nieco urosła od tamtego czasu i teraz mogłaby się nawet wspinać niczym parkourowiec z YouTube'a czy inny Jackie Chan, zaparta plecami o ścianę, stopami zaś o wykusz lub na odwrót, lecz na to była stanowczo za trzeźwa. I trochę szkoda jej było swetra. Ostatecznie pozostała przy bezpieczniejszej, wielokrotnie sprawdzonej taktyce. Chwyciła się zatem oburącz rynny, a stopami zaczęła szukać znajomych gzymsów, uskoków i innych ubytków, których bez wątpienia przybyło w ceglanym murze po lewej i prawej stronie załomu. Podobnie jak przed laty, tak i w tym momencie była niewymownie wdzięczna architektonicznej fantazji dziadunia i ogólnej abnegacji ojca. Kondycję też miała teraz o wiele lepszą, co okazało się o tyle istotne, że na przestrzeni lat zdążyła się dorobić pewnych krągłości, dość konkretnych, których nie musiała dźwigać jako nastolatka. Oraz potomstwa, uświadomiła sobie z osobliwym zaskoczeniem, potomstwa w wieku raczej niesłynącym z rozsądku i rozwagi, które to potomstwo obserwowało właśnie z poziomu gruntu wyczyny alpinistyczne mamusi.

– Synu, tylko nie bierz przykładu z matki! – zawołała, robiąc sobie przerwę na oddech.

– Za późno! – dobiegło z dołu. – Zoja pęknie, jak to zobaczy!

– CZY TY TO NAGRYWASZ?!

– Tak! Ale nie streamuję!

– Dobre dziecko… – westchnęła z ulgą.

– Na streama tu jest za słaby sygnał!

Tereska wycedziła pod nosem słowa, jakich podobno żadna matka nie powinna mówić głośno o własnym dziecku, nawet jeśli czasem ma na to wielką ochotę. A potem wzięła głęboki wdech i obejrzała się przez lewe ramię. Od okna na ćwierćpiętrze dzielił ją niespełna metr. No dobra, Teresko, pokaż, co potrafisz. Sprężyła się, ustawiła stopy, wspięła się na palce i odchylając się ostrożnie do tyłu, wyciągnęła rękę…

ROZDZIAŁ | 4

W wieku lat mniej więcej szesnastu Maciejka Trawny doznał równie gwałtownej, co niespodziewanej przemiany i zaczął bić rekordy życiowe na rozmaitych polach: zaczynając od wzrostu, przez dobowy bilans kaloryczny i liczbę posiłków na godzinę aż po komunikację werbalną ze światem. Tak. Choć swego czasu mogło się to wydawać fizycznie niemożliwe, Maciejka odkrył zdania wielokrotnie złożone.

Kiedy minął początkowy szok, Tereska i Andrzej doszli do wniosku, że najwyraźniej przysłowia są mądrością narodu i natura naprawdę nie znosi próżni. Ich pierworodna, Zoja, wyfrunęła z gniazda – najpierw na studia w stolicy, stamtąd zaś do Hiszpanii na roczną wymianę studencką, bijąc w ten sposób rekord babci Briżit i stając się najbardziej wysuniętą na zachód Trawną w rodzinie. Bez niej w domu zapanowała niepokojąca cisza. Widać organizm Maciejki nie mógł znieść tej pustki w tkance podstawowej komórki społecznej albo też sam chłopak poczuł się w obowiązku zapełnić ją słowami własnej produkcji. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyli jego skonsternowani rodzice, gdy mierzyli się z tą nową rzeczywistością.

Sam Maciejka żadnych wyjaśnień specjalnie nie szukał, po prostu przyjął tę zmianę z dobrodziejstwem inwentarza. Było to wyrazem jego ogólnego podejścia do życia. Z taką matką inaczej się wszak nie dało, nie mówiąc już o babciach. Życie z Tereską było wszak niczym codzienność na styku płyt tektonicznych, z czynnym wulkanem dymiącym na horyzoncie; człowiek odruchowo spodziewał się wszystkiego. Również teraz Maciejka nie widział powodów do szczególnej ekscytacji przebiegiem wypadków przed domem nieboszczki. Zwłaszcza że – w przeciwieństwie do reszty zebranych – miał niezłe pojęcie o tym, do czego jest zdolna jego szanowna matka. Sąsiad w dywanie? Proszę bardzo. Mordobicie? Czemu nie! Jogging, miotanie sztachetą, forsowanie ogrodzeń? Hej, raz się żyje! Tak. Kto parę razy widział Tereskę Trawną w akcji, ten się w cyrku nie śmiał. Życiowe doświadczenie oraz flegmatyczne usposobienie Maciejki sprawiły, że obserwował aktualną obfitość wydarzeń bez większego zdziwienia.

– Matka – skwitował krótko, kiedy Tereska w gęstniejącym półmroku wspięła się po rynnie, zaparkowała tyłek na wąskim parapecie, strzeliła zdrowo pięścią w ramę i przez otwarte okno wpakowała się do środka, podczas gdy ciotki przyglądały się, wydając różne okrzyki, westchnienia i eksklamacje do sił wyższych.

A Maciejka tylko patrzył, uwieczniał – i czekał.

No i się doczekał. Dwie lub trzy minuty później wewnątrz domu rozległ się nieziemski łoskot, sugerujący dodatkowe komplikacje oraz obrażenia.

– No. Matka – powtórzył Maciejka jakby z satysfakcją, że oto porządek wszechświata został zachowany, można się rozejść. Bo któż inny, jak nie Tereska Trawna byłby w stanie

wspiąć się po rynnie i wleźć przez okno na ćwierćpiętrze, nie robiąc sobie przy tym najmniejszej nawet krzywdy, a następnie nie spojrzeć pod nogi, zaplątać się w kota i zwalić ze schodów z gracją worka kartofli?

No właśnie.

Dobiegające z domu słownictwo dowodziło niezbicie, że matka przeżyła ten dziewiczy lot, chociaż zgłaszała do niego wiele uwag krytycznych. Ale zanim pozbierała się z podłogi i doczołgała bądź dokuśtykała do drzwi, żeby ich wpuścić, zjawił się wreszcie ten tam wujek z rosołem, kluczami i resztą towarzystwa. Wujek chyba podzielał podejście Maciejki do życia i jego atrakcji, bo nic nie powiedział, tylko zostawił rosół i zabrał Tereskę na SOR.

I tym oto sposobem Maciejka Trawny znalazł się sam na sam z rodziną, której aż do tego dnia nie widział na oczy.

Jasne, mniej więcej kojarzył, że do powstania jego matki nie wystarczyła babcia, nawet jeśli była to babcia tak nieszablonowa jak Briżit. Zatem po drzewie genealogicznym powinien pałętać się też jakiś dziadek, który zapewne miał coś, co się nazywało rodziną pochodzenia. Matki nawet nie pytał, w końcu nie lubił życia na krawędzi; Zoja wiedziała tyle co on, a zagajony w tym temacie ojciec przypomniał sobie, że chyba widział teścia na własnym ślubie, choć nie był do końca przekonany, czy mu się aby nie wydawało. Na tym kończyły się ich kontakty z tą gałęzią drzewa rodzinnego.

Gdyby Maciejka był nieodrodnym synem Tereski, pewnie zaczęłoby go teraz nosić z nerwów. Na całe szczęście górę w nim brały geny Andrzeja Trawnego, pół człowieka, pół labradora, które uznały radośnie, że to doskonała okazja, by się sprawdzić w boju i komunikować do upojenia. I może jeszcze zjeść ten tort, bo chyba ktoś coś mówił o torcie?… Odwiesił więc grzecznie kurtkę na haczyk i zaczął badać ten nieznany ląd.

Dom od zewnątrz prezentował się bardzo… obiecująco. Trochę rodowa rezydencja z ambicjami, a trochę składak, ceglano-drewniano-betonowe świadectwo zarówno architektonicznego obłędu, jak i życiowego pragmatyzmu, który nakazywał dziaduniowi Jędrzejczykowi każdy skrawek zdatnej przestrzeni przyłączyć i wykorzystać do celów mieszkaniowych. Wszak nigdy nie wiadomo, kiedy urodzi się kolejne dziecko bądź troje, ocieli krowa, ewentualnie trzeba będzie przenocować zbłąkanych kolonistów.

Podążając za ludzkimi głosami, które dobiegały gdzieś z głębi domu, Maciejka ruszył ostrożnie przez ten labirynt. We wszystkie strony od otwartego przedsionka rozbiegały się podesty, schody, schodki i schodeczki na piętra, ćwierćpiętra i półpiętra, gdzie zapewne wiły się korytarze, tłoczyły pokoje albo czyhały inne niespodzianki. Tu niskie przejście wymagało ugięcia kolan lub pancernego czoła, w innym z kolei można było z powodzeniem ćwiczyć gimnastykę artystyczną. Taki pasjonat *Minecrafta* jak Maciejka, który niejeden kilof zjadł na wykopywaniu skomplikowanych systemów podziemnych komnat i tuneli, czułby się tu jak ryba w wodzie, gdyby nie jeden drobny szczegół – boazeria. Królowała tu niepodzielnie, od sufitu do podłogi, lakierowany obiekt pożądania w czasach październikowego PRL-u. Maciejka czuł się trochę jak w Bursztynowej Komnacie, tyle że wzniesionej po kosztach z bezcennych zdobycznych deseczek.

A co gorsza, nie miał pojęcia, którędy się idzie do tego tortu, który obiecała mu ciotka.

Wtem gdzieś za nim trzasnęły frontowe drzwi. Maciejka odwrócił się i zobaczył dziewczynę w czarnej parce z wielkim kapturem. Spod szarej czapki typu smerfetka wystawały jej włosy w kolorze niesamowicie i niezaprzeczalnie szmaragdowym.

– A ty co? Szukasz szczęścia? – zagaiła, odstawiając na podłogę niewielkich rozmiarów torbę podróżną.

– Szukam… szukam… nie wiem, czego szukam. – Maciejka poddał się bez walki. – Chyba ludzi? Gdzieś tu są, bo słyszę głosy, ale…

– Tymi schodkami na półpiętro, w lewo między Piłsudskim a papieżem i dalej, aż na sam koniec – poinstruowała precyzyjnie. – Tylko nie pomyl Piłsudskiego z Pułkownikiem, Pułkownik to ten bez wąsów. Gdybyś się zgubił, to krzycz. Prędzej czy później ktoś powinien cię znaleźć.

– Powinien?

– No. Albo ciebie, albo twoje zwłoki.

Nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco, ale Maciejka tak łatwo się nie zrażał.

– Między Piłsudskim a papieżem, Piłsudskim a papieżem… – powtarzał raz po raz. Kierując się otrzymanymi wskazówkami, odnalazł pomieszczenie, które nosiło wszelkie znamiona jadalni. Duży owalny stół wyraźnie czekał na gości, przykryty nieskazitelnie białym obrusem, na którym pyszniła się odświętna zastawa. A z boku, na kredensie, piętrzyło się dwanaście deserowych talerzyków wraz z widelczykami. Maciejka aż odetchnął z ulgą. Tak, to bez żadnych wątpliwości zwiastowało tort.

Przy stole siedziała już ta małomówna dziewczyna z cmentarza, całkowicie pochłonięta zawartością swojego telefonu. Nie zareagowała ani na zjawienie się Maciejki, ani dziewczyny ze szmaragdowymi włosami, która przyszła chwilę potem i zajęła krzesło obok chłopaka.

– Nowy w rodzinie, co? – Uśmiechnęła się do niego.

Z bliska zobaczył, że w nosie miała srebrny kolczyk w kształcie maleńkiej gwiazdki.

– Trochę tak, a trochę nie do końca. Cześć, Maciejka jestem – przedstawił się. – W sensie, że Trawny. W sensie, że syn Tereski.

– Ola. W sensie, że Popiełowska. W sensie, że córka Marka.

– Cze… czekaj. Chwila. – Maciejka obejrzał się na drugą kuzynkę, która w tym samym momencie wydęła usta. – Ola… i Ola? Serio?

– Kosmos, co nie? Jakby pula imion na świecie się wyczerpała i zostało tylko to jedno, żadne inne. ŻADNE.

– Aaa! – Maciejka doznał oświecenia. No tak! Wtedy, w cmentarnej kaplicy, nie zwrócił za bardzo uwagi na zdublowane imiona, ale rzeczywiście. W tej samej warstwie rodzinnego tortu, w której mieścili się Maciejka z Zoją, matka wymieniła też ich kuzynki, Olę Dużą i Olę Małą. – Ale to tak specjalnie czy jak?

– Trochę tak, a trochę nie. Nasze matki były w ciąży jednocześnie. Znaczy, ciocia bardziej – uściśliła Duża Ola. – Ale potem moja mama wywinęła numer stulecia i urodziła przed terminem, i to jeszcze pod sam koniec grudnia, więc rzutem na taśmę wyprzedziła ciocię o cały rocznik. Babcia chyba do dziś nie może jej tego wybaczyć – dodała półgłosem. – No i widzisz. Tak jakoś wyszło, że miałam być tą młodszą, a koniec końców jestem starsza.

– Czyli zgarnęłaś pierwsze miejsce z imieniem w pakiecie? – zapytał Maciejka, bo nadal nic z tego nie rozumiał.

– No, tak trochę – przyznała. – Mojej mamie bardzo zależało, bo tak miała na imię jej najukochańsza babcia. Chciała ją w ten sposób upamiętnić.

– To skąd druga Ola?

– Widzisz, cioci też zależało, bo tak. A ciocia nie lubi zmieniać zdania.

– Bo tak?

– No. Bo tak. Spoko. Spędzisz tu trochę czasu, to załapiesz klimat.

– A nie, my już dzisiaj wracamy – wyjaśnił pospiesznie Maciejka. – Po torcie. Mam nadzieję. Bo tort będzie, co nie?

Duża Ola zmrużyła oczy, zerkając na kuzyna z ukosa.

– Coś mi się nie wydaje…

– No ej! Ciotka Krystyna obiecywała, że będzie!

– Chodzi mi o to, że twoja mama chyba się nieźle rąbnęła – wyjaśniła Duża Ola.

– A nie, to jeszcze nic nie znaczy – zapewnił beztrosko Maciejka. – Moja mama jest ogólnie nieźle rąbnięta.

Naraz przed rozbawionym kuzynostwem wyrosła ciotka Wanda ze ścierką w garści. Wzięła się pod boki i otaksowała szmaragdowe włosy najstarszej wnuczki.

– Cześć, babciu – powiedziała Duża Ola uprzejmie.

– I ty na to pozwalasz? – rzuciła ciotka Wanda do drobnej kobiety, która weszła za nią, niosąc miskę z ugotowanym makaronem. – Ona tak wychodzi do ludzi?

– No gdzie, babciu. Najwyżej do rodziny!

– Nie wymądrzaj się – fuknęła na wnuczkę Wanda.

– Dobrze, babciu, ale to jutro, okej? Dzisiaj mam inne plany.

Za plecami ciotki Wandy drobna kobieta z makaronem rzuciła dziewczynie spojrzenie z repertuaru podstawowych spojrzeń każdej matki nastoletniego potomstwa. Wyraźnie mówiło, że ona doskonale wie, jak to się zaraz skończy, ale straciła już wszelką nadzieję oraz formy realnego nacisku, dlatego umywa ręce od jakichkolwiek skutków, zwłaszcza tych ubocznych. Krótko mówiąc, skoroś taka mądra, to radź sobie sama.

Tyle że po Dużej Oli i ta wypowiedziana nagana, i ta niema spłynęły jak po kaczce. Za to w Maciejce nagle odezwało się coś donośnego i natarczywego. Może instynkt przetrwania? Może inny pierwotny atawizm, wciąż żywy, niezdławiony wiekami żmudnego cywilizowania ludzkości? A może lata praktyki, dzięki którym swój w lot poznawał swego? Tak czy owak, zanim chłopak się spostrzegł, z jego ust spłynęły dwa słowa – niby niepozorne, jednak dobrze wycelowane zyskiwały moc bomby atomowej. A Maciejka, tak się składało, miał celność godną zawodowca.

– Zjadłbym coś.

Trafił idealnie. Matką z lekka telepało, ilekroć to mówił, ale ta surowa dotąd staruszka rozpłynęła się niczym masło w pełnym słońcu. Uśmiechała się dokładnie jak ta miła sąsiadka Trawnych, pani Edziowa, która od paru lat podsuwała Maciejce domowe wypieki. Albo ta miła kucharka ze szkolnej stołówki, która przez całą podstawówkę dokarmiała go racuchami z dżemem. Albo ta miła kucharka z obozu tematycznego, która mu przyrządzała…

Nie zdążył sobie przypomnieć, czym właściwie był rozpieszczany przez tamte dwa najpiękniejsze tygodnie swego życia, gdyż ciotka Wanda podreptała gdzieś, po czym wróciła z wielką wazą z rosołem. Za nią, jak na znak przywódczyni stada, zeszła się do jadalni cała rodzina i zaczęła zajmować miejsca przy nakrytym stole. Zrobiło się tłoczno i gwarno, szurały krzesła, brzęczały sztućce i trącane talerze. Maciejka rozglądał się z ciekawością. Między nim a Małą Olą usiadła Krystyna i uśmiechnęła się ciepło do chłopaka. Dalej byli Agniesia i Jan Jakub, ciotka Wanda z chochlą, puste miejsce, mama Dużej Oli, znów puste miejsce, jakaś

trochę starsza pani z krótkimi włosami, której w ogóle nie kojarzył, obok niej dziadek i wreszcie sama Duża Ola. Sądząc po liczbie i rozmieszczeniu wakatów, przy stole brakowało Tereski i tego wujka, który ją zabrał na SOR. A gdzie było krzesło dla zbłąkanego wędrowca? Nie, to chyba nie na stypie, raczej przy wigilijnym stole, chociaż Maciejce coś dzwoniło, że jedno z drugim ma jakiś związek…

– A zatem zebraliśmy się tu wszyscy… – zaczął Jan Jakub uroczyście.

– Mamy przecież nie ma – zauważył Maciejka nie bez racji, unosząc się przy tym na krześle, żeby sprawdzić odcień rosołu w wazie. Osobiście uważał, że im ciemniejszy, tym lepiej. Blady rosół zwykle zwiastował równie blade doznania smakowe. – I wujka… którego wujka?

– Marka – podpowiedziała mu Duża Ola.

– Właśnie tego.

Przy stole jeden przez drugi podniosły się zatroskane głosy:

– Coś długo ich nie ma.

– Dawali coś znać?

– Gdzie długo, jakie długo, dopiero co pojechali!

– Będzie już z pół godziny.

– Naprawdę? A mnie się wydaje, że dłużej.

– A jeśli ona sobie coś zrobiła?

– JEŚLI? Ty widziałeś, co ona miała na głowie?

– Cóż, jak się nie patrzy pod nogi…

– No… no ale… no przecież rosół całkiem wystygnie! – zaprotestowała ciotka Wanda, która miała już nalewać pierwszy talerz i teraz stała bezradnie z chochlą w garści.

– To mamy dom, więc mama decyduje – orzekł Jan Jakub dobitnie znad swojej kupki makaronu z zieloną pietruszką, urażony, że mu przerwano w połowie tak dobrze rozpoczętego zdania.

– Ciocia się nie martwi, mama i tak nie lubi rosołu – zapewnił pocieszająco Maciejka. Była to najszczersza prawda, Tereska nigdy nie ukrywała żywej niechęci do tej najświętszej z zup, a jej drugorodny nijak nie potrafił tego ogarnąć rozumem. Zwłaszcza teraz, gdy gorący, świeży rosół pachniał mu tak obłędnie niemal pod samym nosem…

Na moment przy stole zapadła cisza.

– Nie gadaj głupstw – skarciła chłopaka ciotka Wanda, przerywając po paru sekundach to zbiorowe milczenie, i sięgnęła po talerz Agniesi. – Wszyscy lubią rosół. Rosół to bardzo pożywna zupa.

– Istotnie, mama ma rację. Otóż jak dowodzą najświeższe badania… – Jan Jakub już brał rozpęd, żeby błysnąć wiedzą w zakresie dietetyki klinicznej, gdy od strony korytarza rozległy się kroki.

Wszyscy jak jeden mąż przestali go słuchać i odwrócili się do drzwi.

– Już jesteście?

– Co tak szybko?

– No i co? Co powiedział lekarz?

Tyle że to nie była powracająca z SOR-u Tereska. Nie był to też Marek – tylko jakiś starszy pan w granatowym płaszczu. Miał, tak na oko Maciejki, jakieś tysiąc lat, mniej więcej tyle samo zmarszczek i mógłby grać mumię bez charakteryzacji.

– Ja najmocniej przepraszam, że nachodzę – zaczął. Był wyraźnie przejęty, choć opanowany. – Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie otwierał, więc pozwoliłem sobie…

Jan Jakub wystrzelił ze swego miejsca, jak gdyby siedział na gejzerze.

– Istotnie, pan sobie pozwolił. Pan sobie po-zwo-lił!

– Za co najmocniej przepraszam, lecz zaistniałe okoliczności zmuszają mnie…

– To jest najście! – perorował Jan Jakub zawzięcie, nie zwracając uwagi ani na tłumaczenia starszego pana, ani na Krystynę, posykującą, żeby się przymknął z łaski swojej i dał człowiekowi dojść do głosu. – Tak to się nazywa, proszę pana, najście! Ja jestem prawnikiem, ja wiem takie rzeczy!

– Raz jeszcze najmocniej przepraszam – powtórzył niespodziewany gość, wciąż uprzejmie, lecz nieco głośniej, żeby przebić się z komunikatem – jednakże sprowadza mnie tu sprawa…

– Ale czy pan będzie jadł? – weszła mu w słowo ciotka Wanda.

Starszy pan zamrugał, zdezorientowany.

– Co proszę?

– Czy pan będzie jadł? Bo ja wciąż nie wiem, czy nalewać tego rosołu, czy nie nalewać.

– Muszę niestety podziękować – odparł gość z szacunkiem. – Obawiam się, że rosół szkodzi mi na wątrobę.

– Na wątrobę?

– Niestety.

– Niemożliwe – orzekła ciotka Wanda stanowczo. – To jakaś bzdura. Ja panu naleję.

– Mama chyba żartuje!

– Nie no, czemu żartuje, przecież jeszcze jest makaron…

Starszemu panu aż drżała dłoń, kiedy sięgnął za pazuchę, do wewnętrznej kieszeni płaszcza, skąd wydobył podłużną kremową kopertę.

– Otóż sprowadza mnie tu sprawa wielkiej wagi – zaczął ceremonialnie. – Rzekłbym, że sprawa żywotna, gdyby nie zaistniałe okoliczności… Proszę przyjąć najszczersze wyrazy współczucia. Najszczersze! – zapewnił czym prędzej. – Jednakże spoczywają na mnie pewne zobowiązania, rzekłbym, różnorakiej natury. Wytyczne, bardzo konkretne, bardzo! Chciałbym zatem skorzystać z tego, że państwo zebrali się tu dziś wszyscy, i przedstawić ten oto…

– No przecież mamy nie ma – przypomniał Maciejka raz jeszcze. – I wujka… tego… o, Marka!

– Marka? Przypadkiem nie Popiełowskiego, syna Wandy i tak dalej? – zainteresował się starszy pan.

– Yyy… nie pamiętam – wydukał zaskoczony chłopak, bo jego elokwencja nie sięgała aż tak daleko, nie mówiąc już o pamięci. Zwłaszcza przed posiłkiem, kiedy rozdrażnione zmysły i pragnienia wypierały wszelką myśl.

– Przypadkiem owszem – potwierdziła Krystyna. – Popiełowski, syn i tak dalej.

– A to niedobrze. – Starszy pan zafrasował się wielce na tę nieoczekiwaną wieść. – Rzekłbym, że bardzo niedobrze. No cóż. No cóż. Ja w takim razie najmocniej przepraszam, państwo wybaczą najście…

– To ja mam nalewać czy nie nalewać?

– Ale to PRAWIE wszyscy! – zaprotestowała Agniesia. – Nawet większość wszystkich! Mnie się wydaje, że to się POWINNO liczyć, proszę pana.

– Chyba może pan przynajmniej wyjaśnić, z łaski swojej, o co chodzi? – poparł małżonkę Jan Jakub. – Skoro już pan tak nas nie dość, że naszedł, to jeszcze oderwał od posiłku?!

Lecz ku ich zaskoczeniu starszy pan schował kopertę z powrotem do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Proszę szanownych państwa. Państwo wybaczą, jednakże w pewnych dziedzinach życia „prawie" robi, rzekłbym, ogromną różnicę. Ogromną! – To rzekłszy, niespodziewany gość ukłonił się i wyszedł, zostawiając skonsternowaną rodzinę prawie w komplecie przy stygnącym pożywnym rosole.

ROZDZIAŁ | 5

Dochodziła dwudziesta, kiedy Tereska Trawna wtarabaniła się wreszcie przez frontowe drzwi do przedsionka. Po bliskim spotkaniu najpierw z materią schodów, następnie zaś z duchem państwowej ochrony zdrowia w skali jedynego SOR-u w powiecie, była spocona, zmęczona i głodna jak diabli. I na dodatek wciąż czuła w pośladkach kształt drewnianego krzesełka na szpitalnym korytarzu. Jakby nie dość jej było doznań bólowych… Chociaż, gdyby się tak zastanowić, miało to pewien brutalny sens. Na takim krzesełku mógł wysiedzieć wyłącznie ktoś, kto naprawdę wymagał natychmiastowej pomocy medycznej, ewentualnie przestawał odbierać bodźce, co również stanowiło objaw dość niepokojący i sugerujący pośpiech w diagnostyce. Symulanci i hipochondrycy zaś dość szybko dochodzili do wniosku, że raczej powinni dożyć wizyty w przychodni, a jeśli nawet nie dożyją, to trumna z pewnością będzie wygodniejsza niż to budżetowe narzędzie tortur.

Wraz z nadejściem ciemności zaczął padać śnieg. Pod domem stały zaparkowane samochody w białych czapach, w tym yariska Trawnych, a z głębi domu dobiegały odgłosy życia. Widać stypa jeszcze się nie skończyła lub przeszła gładko w afterek. Nie, no gdzie, Tereska zbeształa się w myślach, jaki znowu afterek. Po stypie?! Po stypie to raczej… postypek? No, już prędzej, chociaż to też nie brzmiało zbyt dostojnie. W każdym razie w głębi coś się działo, a z boku przedsionka, na drewnianym stopniu, siedział Maciejka z zielonowłosą dziewczyną w wieku zbliżonym i wcinali tort. Choć Tereska widywała ją wyłącznie na zdjęciach, od razu poznała te brwi. I ten podbródek, który do spółki ze wzmiankowanymi brwiami i bystrym spojrzeniem sprawiał wrażenie, jak gdyby na każdym kroku rzucał światu wyzwanie. Córka Marka, jak nic – skóra zdarta z ojca. Chociaż posturą zdecydowanie wdała się w drobną matkę, przez co rodzinny przydomek „Duża Ola” zyskiwał dodatkową warstwę dowcipu.

– Cześć, mamo!

– Cześć, dziecko, cześć, synu – wysapała Tereska, opadając z ulgą na ławeczkę przy wieszaku. Chodzenie o kulach wcale nie było takie łatwe, jak się mogło wydawać. Nagle człowiek składał się bardziej z rąk, ale też bardziej z nóg, niczym pająk nie dość, że przerośnięty, to jeszcze niezmiernie zaskoczony tym faktem. W dodatku żadne odnóże nie działało jak zwykle, nie mówiąc już o współpracy z błędnikiem i całą resztą centrum sterowania człowiekiem, obliczonego na zupełnie inne warunki wyjściowe. Nie pomagał też fakt, że Tereska nigdy nie była miss gracji, ani rozkwitające w rozmaitych miejscach piękne, dorodne krwiaki. Zakres ruchu w niektórych częściach ciała skurczył jej się do bolesnych wzdrygnięć i innych paroksyzmów wątpliwej rozkoszy.

– Jak samopoczucie?

– Czuję, że żyję. Bardzo czuję. A jak tam stypa?

– Obłęd – podsumował Maciejka krótko i konkretnie, po czym wpakował do ust szczodrą porcję biszkoptowo-kremowej masy. Oczy mu błyszczały, co stanowiło najlepszy dowód na to, że i stypa, i tort przerosły jego najśmielsze oczekiwania.

– Oj tak. – Duża Ola przytaknęła gorliwie znad swojego kawałka. – Kosmos.

– No proszę, proszę… Miło, że znaleźliście wspólny język.

– I tort! – dodał Maciejka, szczęśliwy jak nigdy.

Marek Popiełowski wszedł za kuzynką do przedsionka. Zamknął za sobą drzwi, odstawił na szafkę papierową torebkę z logo apteki i spojrzał na córkę. Ola powitała ojca tak promiennym uśmiechem, że z miejsca opadły go złe przeczucia.

Z uwagi na bliskość dat zwykle świętowali urodziny babuni Sławy i Boże Narodzenie za jednym zamachem. W tym roku wyjątkowo miało być inaczej, ale nikt nie narzekał. Z urodzin, nawet okrągłych i uroczystych, jeszcze by się w miarę szybko wymiksowali. Wpadliby po południu, posiedzieli i urwali się po godzinie, no, najpóźniej po dwóch godzinach, i nikt by im złego słowa nie powiedział. Wiadomo, była środa, następnego dnia praca, szkoła, te sprawy, zresztą za kilka dni zobaczyliby się ponownie. Ale z pogrzebu i stypy? No nie, nie wypadało. Podobnie jak nie wypadało zostawiać teraz Wandy w pustym domu sam na sam i z żałobą, i ze świątecznymi przygotowaniami. Że też się babuni akurat teraz musiało zebrać na to umieranie… W rezultacie nie dość, że Markowi cały grafik w robocie diabli wzięli przez nieplanowany urlop, to jeszcze jego matka i córka miały spędzić pod jednym dachem nie półtora dnia, jak co roku, lecz łącznie dni od pięciu do siedmiu – a na to chyba nie był gotów. Stanowczo nie był. Zwłaszcza że Ola uznała grudzień za idealny moment, by ufarbować sobie włosy na szmaragdowo. W końcu to bardzo świąteczny kolor, tłumaczyła ojcu. Tak samo czerwony, może tata wolałby czerwony? Albo mogłaby sobie strzelić taki ładny gradiencik…

Nie, tata stanowczo nie wolał.

Dlatego też, w przeciwieństwie do poturbowanej kuzynki, Marek właściwie nie narzekał na sposób, w jaki upłynęło mu popołudnie. Wizyta na SOR-ze była wyższą koniecznością, nikt więc nie mógł mu zarzucić, że tak nie wypada. A im więcej czasu strawił wpierw na szpitalnym krzesełku, wpatrując się tępo w lamperię i czekając, aż Tereska zostanie omacana, prześwietlona i opatrzona, potem zaś na jeżdżeniu po zasypiającym już miasteczku w poszukiwaniu kul, tym mniej musiał go jeszcze spędzić między młotem w postaci jedynaczki a kowadłem w osobie matki. Bardzo asertywnej, niemal dorosłej jedynaczki… i matki głęboko okopanej w przeciwnym światopoglądzie.

– Jak babcia? – zapytał zdawkowo. Nigdy nie gustował w długich komunikatach i jeśli mógł coś zawrzeć w trzech słowach, to i tak starał się zmieścić w dwóch.

– Przeżyła. Choć był taki moment, że niewiele brakowało.

– Olka. – Uniósł ostrzegawczo palec wskazujący. – Bez takich mi tu. Poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. Ale to wyjątkowo nie przeze mnie – podkreśliła. – Mama świadkiem. To tamten gość odpalił apokalipsę.

– Jaki znowu gość? – Tereska nie zrozumiała. – Ktoś był jeszcze zaproszony?

– No właśnie NIE – odparła Duża Ola, a Maciejka pokiwał głową na tyle energicznie, żeby nie zadławić się przy okazji miniaturową bezą, która mu się trafiła. – Nikt go nie zna, nikt go nie zapraszał na rodzinną imprezę.

– Możesz rozwinąć?

– Więc to było tak. Przymierzaliśmy się wstępnie do rosołu, kiedy obcy gość wpakował się do jadalni i zaczął tłumaczyć, że on najmocniej przeprasza, ale przybył z jakąś tam misją, podobno superważną. Wujek prawie się zapowietrzył, jak to wujek, gość się nie poddawał, bo skoro są tu wszyscy, to on musi, aż Maciejka wypalił, że przecież nie wszyscy, że was brakuje. Wtedy ten gość zaczął wypytywać o ciebie, tato, no i stwierdził, że skoro tak, to on się zmywa.

Marek i Tereska spojrzeli po sobie.

– No i? – ponaglił córkę, która na moment porzuciła narrację na rzecz konsumpcji grubej warstwy słodkiego maślanego kremu, jaka z zewnątrz otulała tort.

– No i się zmył – odpowiedział za nią Maciejka.

– No i wtedy wujek odpalił tryb bojowy i poleciał za tym gościem – kontynuowała Duża Ola, gdy już dokładnie oblizała widelczyk – bo on tego tak nie zostawi, on jeszcze nie skończył, bla-bla-bla, jak to wujek. Za to ciocia zaczęła histeryzować, że jak to, że OBCY, że tak WSZEDŁ, że mógł nas okraść, zabić, ogołocić, i poleciała liczyć rodowe srebra albo… nie wiem, skarpetki. Babcię olśniło, że jasne, ogołocić i tak dalej, ale przecież mógł też wypuścić kota, aż chochlę upuściła z wrażenia. Ciocia Krystyna stwierdziła, że ona idzie zapalić, bo to nie na jej nerwy, mama się zawiesiła, bo już miała dość bodźców, Maciejka wyżarł cały makaron z talerza, bez rosołu, jak zwierzę, a Olka-pierdołka stwierdziła nagle, że ona tak w zasadzie to wolałaby pierogi, więc co? – Tu rozłożyła ręce w geście mówiącym „no przecież wszyscy wiemy". – Więc babcia przestała drzeć szaty nad zaginionym bądź niezaginionym kotem i poleciała zagrzać wnusi ruskie. Oczywiście ze smażoną cebulką, no bo jak to tak bez cebulki. A jak już wszyscy wrócili do stołu, to wtedy się okazało, że obrus jest cały w plamach, chociaż nikt nie zdążył nic zjeść, rosół wystygł, a kota nigdzie nie ma – zakończyła i na powrót skupiła się na swoim torcie.

– On był na pogrzebie – oznajmił nieoczekiwanie Maciejka między kolejnymi kęsami.

– Kot?! – zdumieli się zgodnie Marek z Tereską.

– Co? Nie, ten gość, co tu wparował. Widziałem go, kiedy szliśmy przez cmentarz.

– Na pogrzebie? W sensie, że w kondukcie? – upewniła się jego matka.

– Uhm. I nie że tam stał czy przechodził z tragarzami. Normalnie szedł ze wszystkimi, tylko bardziej z boku, i tak szedł, i szedł, i cały był taki… No wiesz. Taki… – Maciejka zadumał się głęboko, aż z braku właściwych słów postanowił pójść w onomatopeję: – Taki „uuu-aaa-uuu-olaboga-i-co-teraz".

– Wiesz, synu – zaczęła Tereska niezmiernie spokojnie. Z doświadczenia wiedziała, jak niewiele przy obecnym poziomie cukru we krwi było jej trzeba, żeby zasnęła na stojąco lub wprost przeciwnie, osiągnęła najwyższe obroty. A potem to już tylko anielski orszak niech twą duszę przyjmie. – Na pogrzebach zazwyczaj ludzie są tacy „uuu-aaa-uuu-olaboga-i-co-teraz". Na tym ogólnie polega pogrzeb.

– Ale on był inaczej. Tak… – Maciejka urwał, skrzywił się, po czym cmoknął soczyście. Pestka z maliny utknęła mu w trzonowcu i ani drgnęła. – Tak… jakoś dziwnie.

– Co to znaczy dziw…

– Ty czekaj. – Tereska przerwała kuzynowi, bo o czymś sobie przypomniała. Przecież jej też rzucił się w oczy dziwny jegomość na cmentarzu. Czy raczej nie tyle sam jegomość był dziwny, ile jego zachowanie. Jak gdyby pogrzeb pogrzebem, oczywiście, ale on miał tu inne rzeczy na głowie, niecierpiące zwłoki! Mimo zwłok… Nie, potrząsnęła głową, stanowczo potrzebowała posiłku. Tytanicznym wysiłkiem woli skupiła się na konkretach. – Taki mocno

starszy mężczyzna? W ciemnym płaszczu? Ciągle się rozglądał i jakby coś mamrotał pod nosem?

– No! Ten sam!

– A to faktycznie był inaczej – przyznała synowi rację. – Ja też zwróciłam na niego uwagę. Właśnie dlatego. Nawet mi przyszło do głowy, że to może jakiś pokątny absztyfikant babuni czy ktoś w tym rodzaju, bo był taki… taki…

– Uuu-aaa? – podsunął Maciejka.

– Mniej więcej – przytaknęła Tereska, acz bez entuzjazmu. – No i co, nikt go nie zna? A przedstawił się chociaż?

– Pewnie planował, ale wujek nie dał mu szans – przyznała Duża Ola. – Jak wujek się zapętli z oburzeniem, to koniec, umarł w butach.

– A ty? – Tereska obejrzała się na kuzyna. – Nic ci nie dzwoni?

Marek Popiełowski tylko pokręcił głową. Pierwsze słyszał, żeby babunia miała absztyfikanta, nie mówiąc już o tym, że jedna koncepcja nijak nie chciała mu się połączyć z drugą w logiczną całość. Jak gdyby miał puzzle z dwóch różnych układanek i próbował dopasować nos Myszki Miki do alpejskiego krajobrazu z krową i dzwoneczkiem. A w trakcie pogrzebu zajmowały go inne sprawy niż prowadzenie listy obecności.

– No dobra. – Maciejka ostatni raz omiótł smutnym spojrzeniem wylizany do czysta talerzyk. Ewidentnie żal mu było się z nim rozstawać. – To co, mamo? Zaraz się zbieramy?

Szlag.

Szlag, szlag, szlag!

SZLAG.

Aż do tej pory Tereska była pochłonięta wyłącznie zarządzaniem obrażeniami, jak również doprowadzaniem ortopedy do tego punktu ścieżki zawodowej, w którym zaczął się poważnie zastanawiać, czy kowalstwo artystyczne nie byłoby jednak rozsądniejszym życiowym wyborem. Albo obróbka skrawaniem. Ale teraz nie miała już innego wyjścia, jak tylko przyjąć na klatę świadomość, że znalazła się w potrzasku. Spojrzała bezradnie najpierw na kule, a potem na własną kostkę, obecnie skrępowaną bandażem elastycznym i owiniętą foliowym workiem, bo spuchnięta i opatrzona stopa nie mieściła jej się w bucie. Tereska miała dość rozumu, żeby nie zostawić go na SOR-ze, tylko wsadzić do torebki na później.

Na dużo, dużo później.

Rany boskie, przecież ona nie da rady prowadzić samochodu ze skręconą kostką!!!

– Synu, ty nie masz prawa jazdy, prawda? – wymamrotała, podczas gdy jej niebieskie, jakby porcelanowe oczy z każdą sekundą robiły się coraz większe i większe, by pomieścić dwa oceany czystej rozpaczy.

– Ja? Ja nie mam nawet karty rowerowej – przypomniał Maciejka matce.

Marek uniósł jedną z nasrożonych brwi. Należał do tych mężczyzn, którzy uprawnienia wszelkiej maści zdobywali wręcz nałogowo, odkąd tylko weszli w odpowiedni wiek przewidziany stosownymi przepisami, odhaczając kolejne punkty niczym poziomy wtajemniczenia. Miał prawo jazdy dwóch kategorii, kartę rowerową, wędkarską i pływacką, legitymację ratownika wodnego, cały wachlarz certyfikatów wydawanych przez Urząd Dozoru Technicznego, a nawet książeczkę instruktora harcerskiego, choć mocno już przykurzoną. Gdyby zawieszenie obrazka na ścianie wymagało przedstawienia uprawnień na młotek

i gwoździe, Marek pierwszy ustawiłby się w kolejce, żeby wnieść opłatę skarbową i zapisać się na egzamin.

– Dlaczego nie? – dociekał tonem lekkiej przygany. Nie mieściło mu się w głowie, że szesnastoletni byk może nie posiadać czegoś tak elementarnego.

Ale Maciejka nie byłby sobą, gdyby się tym choć trochę przejął.

– Cytując egzaminatora, żaden trzeźwo myślący człowiek nie dałby mi uprawnień nawet na wrotki. Jest w tym sporo racji – przyznał uczciwie.

Tereska westchnęła ciężko.

– W kogo ty się wdałeś, co?…

– Zadałaś bardzo dobre pytanie, mamo – pochwalił ją syn. – Ale czy na pewno jesteś gotowa na odpowiedź?

Kuzynostwo młodsze i kuzynostwo starsze jak na komendę przesunęło wzrok na jej fachowo ustabilizowaną kostkę. No cóż. Ten jeden obraz mówił więcej niż tysiąc słów.

Wobec tego Marek z ponurą miną ściągnął płaszcz i wcisnął go na zawalony innymi okryciami wieszak.

– Dobra. Powiem matce.

– Ale że co powiesz? – zapytała Tereska, gdyż nic a nic nie rozumiała.

– Żeby wam pościeliła.

– A po cholerę ma nam ścielić? – Tereska konsekwentnie odbijała nadawane w jej stronę komunikaty. Jej organizm bronił się w ten sposób przed prawdą, na którą nie była przygotowana. Na pewno nie na trzeźwo.

– Chyba nie będziecie spać w samochodzie?

– Nie?… – zdążyła jeszcze bąknąć z nadzieją.

Ale Marek już nie słuchał, tylko wziął się do dzieła. Po trzech minutach wrócił do przedsionka w obstawie Wandy, Agniesi i Krystyny. Tereska aż jęknęła w duchu. Tego jej właśnie było teraz trzeba. Rodzinnego zbiegowiska.

– A tobie co? – Ciotka Wanda wzięła się pod boki, oczekując wyjaśnień. No bo przecież nie cudów, bądź co bądź chodziło o Teresę. Wszyscy wiedzieli, że po Teresie można się było spodziewać… przeróżnych pomysłów.

– Ciocia ma jedną nóżkę bardziej – wyjaśniła Duża Ola.

– Skręcenie stawu skokowego jakiegoś tam stopnia i… takie tam różne – wymamrotała Trawna.

– Chyba liczne różne – zauważyła Krystyna, ze współczuciem przyglądając się bratanicy. Lot ze schodów, krótki i dynamiczny, zostawił wyraźne ślady w postaci nie tylko skręconej lewej kostki, lecz także siniaków, guzów i ogólnego wstrząśnienia fryzury.

Tereska aż dostała wypieków. W głowie jej zaszumiało od tętna galopującego niczym stado mustangów przez prerię. Bo nagle to, o czym tak beztrosko mówił do niej przez telefon Andrzej, już nie wydawało się takie całkiem niedorzeczne. Wprost przeciwnie. Oto na jej oczach zaczynał się realizować najgorszy scenariusz, jaki Trawna potrafiła sobie wyobrazić.

Przyjechała na urodziny.

Została na pogrzeb.

A teraz spędzi święta z rodziną, której nie widziała od ćwierćwiecza.

ROZDZIAŁ | 6

Nie rozumiem. To jakiś PROBLEM? – Agniesia zatrzepotała rzęsami. Z jaśniuteńkimi włosami upiętymi w koronę oraz w czarnej koronkowej sukience, której kopertowy fason perfekcyjnie podkreślał jej figurę, prezentowała się jak milion dolców. I to takich prosto z maszyny drukarskiej. W obecnych warunkach wymiętoszona, sfatygowana Tereska w porównaniu z młodszą kuzynką wyglądała niczym hipoteka we frankach szwajcarskich ze spreadem wystrzelonym w kosmos. Aż cud, że ludzie nie uciekali od niej z krzykiem, zasłaniając się brakiem zdolności kredytowej.

– Nie da rady prowadzić samochodu – wyłożył siostrze Marek.

– Nie?

– A jak wciśnie sprzęgło?

– Jak to? – Agniesia nie przestawała dziwić się światu. – To ty nie masz AUTOMATU? To jak ty prowadzisz?!

„Zębami", miała już na końcu języka Tereska, lecz w tym samym momencie ciotka Wanda machnęła ręką.

– No to się przecież pościeli.

– A gdzie? – Jan Jakub wyrósł naraz za plecami Agniesi i nadstawił uszu.

– Niech no pomyślę… Dostawi się kanadyjkę w narożnym, to dzieci będą razem, tak? – Tu zerknęła na Maciejkę i Dużą Olę, którzy pokiwali energicznie głowami. Ależ oczywiście, proszę bardzo, oni bardzo chętnie, nawet wystąpią w charakterze dzieci. Zwłaszcza jeśli oznaczałoby to gorące kakao na dobranoc. – A Teresie to się pościeli tam, gdzie zawsze – dokończyła z lekkim sercem. – Na stryszku.

– No bez jaj – wypaliła Tereska, zanim zdążyła się ugryźć w język, na co Krystyna przewróciła oczami, Agniesia zaś zmarszczyła brwi, ryzykując zmarszczki.

– Ale dlaczego ty jesteś TAKA agresywna?

Milion dolców. Tak. Tyle że takich z *Monopoly*.

– Bo nie dojdzie – wytłumaczyła Krystyna w wielkim skrócie.

– OCH. Jakie to przykre…

– Po schodach nie dojdzie, Agniesiu. Po schodach. Na ten stryszek.

– Co ty wygadujesz? – oburzyła się ciotka Wanda. – Jak nie dojdziesz? Wszyscy zawsze dochodzą. Normalnie!

– Ciociu, czy ja mam skręcić drugą nogę albo kark, żeby mi ciocia uwierzyła, że NIE dojdę? A już z pewnością nie normalnie?!

Na stryszek można było dotrzeć jedynie metodą prób i błędów, jak zwykł mawiać jej ojciec, czyli przez półpiętra, podesty, rozstaje i zakręty. To tam spali, ilekroć przyjeżdżała Tereska, całe najmłodsze pokolenie: troje kuzynostwa i ich ciotka równolatka. Samo dotarcie

do celu zawsze stanowiło dla dzieciaków wielką frajdę, ale jeszcze lepsze było nocowanie – z dala od niepowołanych oczu i uszu, do tego z doskonałym widokiem na sad ciągnący się za domem. Dorosłym zazwyczaj nie chciało się wspinać tak wysoko, żeby kontrolować sytuację na bieżąco, poprzestawali więc na wierze w nadludzką wytrzymałość dziecięcych kości oraz gromkich sygnałach głosowych typu „OBIAAAD", który nieomylnie docierał do celu. Dzięki temu dzieciaki miały na stryszku raj na ziemi i mogły szaleć do późnych godzin nocnych, a nawet, jak Tereska z Krystyną, wymykać się chyłkiem na potajemne eskapady przez felerne okno na ćwierćpiętrze.

Jednak dla kogoś w stanie ewidentnie wskazującym na obicie, i to jeszcze o kulach, stryszek stawał się rejonem właściwie nieosiągalnym. A co dopiero dla Tereski, która przed chwilą prawie poległa na tych trzech stopniach, które prowadziły do frontowych drzwi.

Nie, Tereska nie miała szans. Chyba że na kolejne obrażenia – te miałaby w zasadzie gwarantowane.

– No tak. No tak… – powtarzała w zamyśleniu ciotka Wanda. – No to… no to będziesz spać w chlewiku. Postanowione.

– Ależ mamo! – Na obliczu Jana Jakuba odmalowała się osobista uraza. – Przecież my tam zawsze śpimy z Agniesią. To jest NASZ chlewik!

Z Maciejki raptem wydobył się osobliwy dźwięk – coś w rodzaju kwiknięcia, szybko uciętego łokciem Dużej Oli. „Hamuj konie – mówiły jej wytrzeszczone delikatnie oczy – bo się zorientują i cyrk nam odjedzie".

Ale Wanda Popiełowska, niczym ślepy dżokej z dowcipu, uparcie nie widziała przeszkód.

– Ten jeden raz pójdziecie na stryszek – odparła ugodowo. – Tam jest nawet więcej miejsca.

– Czy mama nie rozumie, co ja do mamy mówię? Mama się skupi. Na stryszek? W jej STANIE? Przecież Agnieszka jest w ciąży, Agnieszce to zaszkodzi! Agnieszko, proszę wyjaśnić mamie.

– Ale co ja mam zrobić?…

– No to pójdziecie do zegarowego – stwierdziła ciotka Wanda.

– Mama sobie żartuje. Przecież w zegarowym zawsze śpi Henryk!

– To Henryk pójdzie na stryszek.

– Wykluczone! Ja nie będę spał na miejscu wuja Henryka! Powiem więcej. Moja żona nie będzie spała na miejscu wuja Henryka! – Jak gdyby nie satysfakcjonował go fakt, że oto stał na schodku, Tereska zaś na wpół siedziała, na wpół leżała na ławeczce, Jan Jakub zadarł podbródek i dopiero z tej wysokości rzucił Trawnej odpowiednio miażdżące spojrzenie. – To jest niepojęte, wprost nie-po-ję-te! Czy naprawdę cały świat musi stawać na głowie, bo komuś nie chciało się spojrzeć pod nogi?!

– Ja tylko przypomnę – wtrącił się nieoczekiwanie milczący od pewnego czasu Marek – że do domu macie rzut beretem. Pięćdziesiąt sześć kilometrów w jedną stronę. Spokojnie obrócisz. – Nawet nie patrzył przy tym w stronę Jana Jakuba, lecz od zaciskania szczęk wyskoczyły mu takie gule na wysokości stawów skroniowo-żuchwowych, że nawet broda nie zdołała ich zamaskować. Powiedzieć, że Marek nie przepadał za szwagrem, to nic nie powiedzieć.

Jan Jakub również zacisnął szczęki, niestety, bez tak spektakularnych efektów, co nie uszło jego uwadze.

– Dobrze! DOBRZE – warknął. – Doskonale. Skoro mama tak chce… – Urwał, odchrząknął i podjął nagle zupełnie innym tonem: – To jest mamy dom, więc oczywiście zrobimy tak, jak mama postanowiła. Pójdziemy zatem spać na stryszek, żeby nie męczyć Teresy. Bez dyskusji, Agnieszko. Bez dyskusji. Trzeba być człowiekiem. – Z tymi słowami Jan Jakub Kubasiuk oddalił się ku chlewikowi, żeby zabrać stamtąd małżeńską walizkę.

– Och, Tereso, Tereso – z wielkim ubolewaniem westchnęła na odchodnym Agniesia. – Ty i te twoje… POMYSŁY.

– Dlaczego ja mam zawsze wrażenie, że ona co chwilę mówi do mnie drukowanymi literami? – wymamrotała Tereska, próbując się dźwignąć z ławeczki.

– Och, nie przejmuj się tak, kochana. – Krystyna pomogła bratanicy wstać. Przy okazji poklepała ją czule po ramieniu. – Widać litery pisane ją przerosły.

Instruowany przez Wandę Maciejka posłusznie wytaszczył kanadyjkę z jednego schowka oraz dwie kołdry i dwie poduchy ze schowka drugiego, po czym rozdystrybuował dobra po wskazanych pomieszczeniach. Sądząc po minie, coraz bardziej mu się podobało w tym pokręconym domu.

– I jeszcze to. – Ciotka Wanda wręczyła bratanicy i jej synowi po niewielkich rozmiarów tobołku. Na samym wierzchu leżały szczoteczki do zębów, nowe, w plastikowym opakowaniu. Pod spodem kryła się… groza.

– Co… co to jest?… – wydusił Maciejka, rozpościerając przed sobą coś, co z początku wziął za białe bokserki. Tyle że te bokserki były wykrochmalone. Na sztywno. I miały nogawki. Długie, wąskie nogawki.

– Kalesony – uświadomiła młodemu człowiekowi Krystyna, która asystowała starszej siostrze w tym całym procederze, po części z dobroci serca, po części zaś z nadziei na ubaw po pachy. Była to nadzieja nie taka znowu bezpodstawna.

– Porządne, ciepłe – podkreśliła z dumą ciotka Wanda. – Bardzo dobre na korzonki. I na te… – tu zniżyła głos do zakłopotanego szeptu – …męskie sprawy.

– Ja takich nie mam! – wypalił czym prędzej Maciejka, zanim ciotka rozwinęła temat. – I ja nie wiem, czy jestem kompatybilny z tym… tym krojem…

– To są bardzo dobre kalesony! – zapewniła ciotka Wanda solennie. – Zaraz! Ja wam skarpet nie dałam! Skarpety też mam.

Zostawiła ich samych i poleciała uzupełnić brakujący asortyment, akurat gdy Tereska z pustką w spojrzeniu rozkładała swój tobołek na części pierwsze. Oprócz kilku par barchanowych majtek z golfem składał się z przepastnej koszuli nocnej we wzór drobny kwiecisty, zdobionej na gorsie fikuśnie zmarszczoną falbanką i guziczkami. Guziczki były błękitne, całość – oszałamiająca.

– Mamo… mamo, ja nie muszę, prawda? – Głos Maciejki dotarł do niej jak przez mgłę. – Prawda, mamo? Mamo?!…

– Synu, a skąd ja ci teraz wezmę czyste gacie na zmianę? Noclegu nie było w planach, nie zabraliśmy ze sobą niczego. A ja co prawda noszę w torebce wiele rzeczy, ale męskich gaci na zmianę akurat nie. Damskich zresztą też.

– No wiesz, dobra matka…

– ANI. SŁOWA – poprosiła Tereska tonem niezmiernie sugestywnym. Kulawa czy nie, wciąż dysponowała szerokim arsenałem potencjalnych represji i reperkusji i w razie wyższej konieczności nie wahała się ich użyć. – Jutro możesz skoczyć do sklepu po coś bardziej współczesnego, a dzisiaj… Ty! Ty czekaj… Kryśka, czy ja dobrze myślę?!

– Tak. – Krystyna uroczyście skinęła głową. – To ze świętych zapasów. Doceń.

– Nie kumam. – Maciejka raz jeszcze przyjrzał się trzymanym w rękach kalesonom. – Znaczy, doceniam gest i w ogóle, ale… po co ciotka kolekcjonuje męskie gacie do zadań niespecjalnych?

– Bo Wanda trzyma w domu wszystko, co możesz sobie wyobrazić – odparła Krystyna. – I prawdopodobnie jeszcze więcej. Gdybyś w środku nocy potrzebował pręta gwintowanego, ozdobnej fizeliny w trzech kolorach, góralskich kapci w rozmiarze czterdzieści sześć i pół, uszczelki fi trzydzieści dwa oraz barwnika do pisanek w samym środku grudnia, to śmiało, wal do Wandy. Wiesz, może żyjemy w czasach internetu, ale moja siostra jest nieodrodnym dzieckiem PRL-u, czyli epoki wiecznych braków i kombinacji. Miała nosa, miała dojścia i jak coś gdzieś rzucili, to była tam pierwsza i brała na zapas.

– Ale co?

– WSZYSTKO – odparły Tereska z Krystyną jednym głosem.

– Dosłownie wszystko, co wpadło jej w ręce – ciągnęła ciotka. – W każdym rozmiarze i kolorze. Do tej pory gdzieś w tym domu kryje się istna dziupla z bielizną osobistą i pościelową w wieku twojej matki. Powłoczki duże i małe, do tego obrusy, zasłony, ręczniki, ścierki kuchenne… – Westchnęła z taką rozkoszą, jaką Maciejka rezerwował dla myśli o jedzeniu i nieograniczonej przepustowości łącza. – Raz Wanda przytaszczyła skądś całą belę materiału tapicerskiego. W takie drobne paseczki. Marzyło mi się, że uszyję sobie z niego torebkę… Ale nie, Wanda przynosiła te łupy do domu, chowała i zabraniała używać.

– Bo to nie jest do używania, tylko żeby było – zacytowała Tereska. Złożyła koszulę z powrotem w kostkę, żeby oszczędzić sobie chociaż widoku falbanek.

– I na pewno się kiedyś przyda – dokończyła Krystyna.

– No to się właśnie przydało! – spostrzegł Maciejka nie bez satysfakcji. – Czyli ta pościel jest całkiem nowa, tak? – upewnił się. – Chociaż bardziej posunięta w latach? Jak matka?

– Ja cię zaraz bardziej zdzielę – poinformowała Tereska syna.

– Tak, Maciejko. Kalesony na twoje szczęście też.

Maciejka nie był do końca przekonany, czy to rzeczywiście takie szczęście, ale wolał nie ciągnąć tej dyskusji. Zgarnął otrzymane fanty i zaraz przepadł gdzieś w czeluściach domu, zanim matka zrealizowała swoją groźbę. Musiał odreagować ten szok na tle kalesonów – najlepiej odpowiednią dawką jedzenia i wymianą dowcipnych komentarzy z zielonowłosą kuzynką. Z kolei Tereska uznała, że należy jej się od życia choć odrobina przyjemności, nawet jeśli bez procentów. Ubłagawszy Krystynę, żeby zorganizowała jej w tym czasie coś do jedzenia, wsadziła pod pachę kwiecistą koszulę nocną i pokuśtykała do najbliższej łazienki.

Tuż przed dwudziestą trzecią, w końcu najedzona i wykąpana, spoczęła w zaciszu chlewika.

Przylegający bezpośrednio do przedsionka pokój nosił tę wdzięczną nazwę nie bez powodu. Swego czasu służył bowiem za pełnoprawny chlewik, choć nawet najstarsze pokolenie Jędrzejczyków zdążyło zapomnieć, kiedy trzymano tam jakiekolwiek prosię. Ciotka

Wanda mgliście pamiętała, jak dziadunio Fredek – jej ojciec – wybijał drzwi na korytarz, bo rozharatała sobie wtedy kolano na stercie gruzu i do dziś miała brzydką bliznę. Z kolei drzwiczki prowadzące na zewnątrz zamurował. Położył podłogę ze starych desek, pobielił ceglane ściany. W szczytowej ścianie wybił wąskie okno niecałe pół metra nad ziemią. Tak powstały pokój był niewielki, niski i zacieniony, z łukowym sklepieniem, dzięki czemu latem spało się tu w wybornym chłodzie, i to nawet podczas największych upałów. Ale zimą… Zimą nie było już tak wesoło. Dziadunio poskąpił kaloryfera, a od podłogi i przez nieocieplone ściany zewnętrzne ciągnęło czystym złem. Tereska przykryła się po uszy i kołdrą, i ozdobną kapą, a i tak nią z lekka telepało. Po krótkim wahaniu wyskoczyła z łóżka na zdrowej nodze, bardzo starając się nie zabić, szybko wciągnęła na grzbiet sweter i na powrót zakopała się w warstwach pościeli. Rany boskie… Wanda musiała buldożerem wjechać Janowi Jakubowi na instynkt terytorialny, że tak się upierał przy tym pokoju!

Tereska podciągnęła kołdrę pod sam nos i zamknęła ciążące zmęczeniem powieki. Emocje z całego dnia naraz zakotłowały jej się w głowie. To się porobiło… Koniec rozmów kontrolnych z babunią i jej trumiennej epopei. Stała się rzecz ostateczna i już się nie odstanie. Z planu przetrwania rodzinnej imprezy też wyszły nici. Tereska miała wpaść i wypaść, a potem, już w zaciszu własnego domu, odreagować tę wizytę odpowiednią dawką świątecznego piernika i pierogów z kapustą – a nie upaść, skręcić kostkę i utknąć tu na kilka dni! Czy ona naprawdę nie mogła liczyć na odrobinę świętego spokoju? Nudy wręcz? Serio, chętnie by się wynudziła za wszystkie czasy, tak dla odmiany. A tu jak nie sąsiedzi w dywanach lub bez dywanów, za to ze szpadlem, to krewni w ilościach absolutnie nieludzkich, nieprzyzwoitych i w ogóle NIE.

Zawsze coś, no zawsze coś…

Ech, westchnęła w duchu, ocierając oczy brzegiem kołdry. Tyle dobrego, że mogła się chociaż zobaczyć z Krystyną. No i z Markiem. Dwudziestu pięciu lat nie dało się nadrobić ot tak, pstryknięciem, ale trochę sobie pogadali o tym i owym, odbębniając dupogodziny w szpitalnej poczekalni, i Tereska nabrała przekonania, że mimo wszystko znów mogliby nadawać na podobnych częstotliwościach, gdyby choć odrobinę wyregulowali odbiorniki. No, tak po prawdzie to ona głównie nadawała, on zaś odbierał w milczeniu, gdyż w przeciwieństwie do kuzynki Marek nigdy nie był szalenie rozmowny. Słowa oszczędzał, co większe emocje wyrażając ciałem. Tak jak tego wieczoru, kiedy wrócili z wyprawy na SOR. Marek miał taką minę, jak gdyby coś go gryzło, a on za żadne skarby nie mógł ustalić gdzie.

Ciekawe dlaczego?

Z tym pytaniem Tereska Trawna zasnęła.

—

Około czwartej nad ranem obudził ją rwący ból, jakim postanowiła o sobie przypomnieć skręcona kostka.

Chociaż Tereska przez moment widziała gwiazdy, niewiele to pomogło na wszechobecną ciemność. Namacała włącznik nocnej lampki i mrużąc oczy w nagłej jasności, jaka nastała, rozejrzała się po chlewiku w poszukiwaniu ratunku. Kupiła przecież w aptece spray chłodzący i wielką tubę żelu przeciwbólowego. Na sto procent, pamiętała wyraźnie i papierową torebkę, i jej cudowną, bezcenną zawartość. Tylko co się z nią stało?

A, tak. Została w przedsionku. No bo czemu nie!

Tereska przetarła powieki, wydając z siebie niski pomruk zniechęcenia. Przez całą noc budziła się co chwilę. A to sprężyny jęczały przy choćby głębszym wdechu, a to materac chwytał człowieka w potrzask zapadliska, a to znów piętrzył wszędzie niedostępne granie, a to usztywniona kostka nie pozwalała przeturlać się swobodnie z jednego boku na drugi. I jeszcze te trzaski! Dochodzące zewsząd upiorne trzaski starego drewna. To pewnie ta przeklęta boazeria, musiała pracować nawet po nocach, a żeby jej korniki w sęki wlazły…

Nic dziwnego, że na samą myśl o wstaniu z ciepłego łóżka o tak barbarzyńskiej godzinie robiło jej się jeszcze gorzej we wszystko. Ale kostka rwała coraz mocniej, dlatego Tereska, chcąc nie chcąc, wyplątała się najpierw z gniazda, a potem z warstw odzieży. Nieco się skomplikowały, bo jedna skarpetka przekręciła jej się o sto osiemdziesiąt stopni, koszulę nocną miała pod pachami, za to sweter tam, gdzie powinna, i wełniany ściągacz drapał ją w goły tyłek. Wreszcie zgarnęła kule i boso, w samych skarpetach ze świętych zapasów ciotki Wandy, pokuśtykała do drzwi.

Tak jak przypuszczała, papierowa torebka z apteki stała na szafce w przedsionku – dokładnie tam, gdzie zeszłego wieczoru odłożył ją Marek. Tereska ruszyła krokiem na tyle dziarskim, na ile pozwalały jej nieporęczne kule oraz ostatnia sprawna noga. Aż naraz poczuła, że zdrową stopą staje w czymś mokrym i śliskim. Pięta w skarpetce szurnęła jej do przodu, podgumowane kule na moment straciły styczność z podłożem i Tereską miotnęło w piruecie równie zamaszystym, co skomplikowanym. Grzmotnęła z rozmachem o najbliższą ścianę i nawet się nie zdziwiła, słysząc trzask.

Czy raczej czując?…

Nadludzkim wysiłkiem zastygła w bezruchu, podpierając się na dwóch kulach i jednej zdrowej nodze, z nogą skręconą drżącą kilka centymetrów nad ziemią. Plecami była zaparta o coś przypadkowo drewnianego, chyba jakąś… ścianę? Albo szafę? Ścianoszafę? Cholera wie, co właściwie dziadek wyrzeźbił w tej boazerii… W tej pozycji Tereska wyglądała niczym wielki pająk, który utracił kontrolę nad wrotkami, a wraz z nią pewną część godności i szacunku do siebie. Dobra, chrzanić godność. Oddychając ciężko przez nos, skupiła się na odbiorze bodźców. Bo w końcu coś trzasnęło, prawda? Trzasnęło wyraźnie, i to coś W NIEJ, zapewne jakaś kość, no bo przecież nie gacie, skoro gaci na sobie nie miała, a nic innego w jej ciele trzasnąć nie mogło. Ale nie, nie czuła nic poza znajomym rwaniem w kostce. Za to chyba odkryła przyczynę poślizgu… Tereska zazgrzytała zębami, prostując się powoli. Podstępna wilgoć, na której prawie że wywinęła zamaszystego orła, zdążyła przesiąknąć cały spód jej skarpetki.

No tak.

No. Tak.

KOT.

Widać już się odnalazł albo – co równie prawdopodobne – wcale się nie zagubił, tylko zaszył w jakimś niedostępnym dla ludzi zakamarku i przespał w spokoju największe zamieszanie. A teraz wylazł pod osłoną nocy, przyprawiając pół domu o trzaski, i postanowił zlać się w przedsionku. Szczoch jeden… Nie żeby Tereska dyskryminowała koty, nawet jeśli czyhały na jej życie i zdrowie w sposób jednoznacznie zdradziecki. Miała do nich podobny stosunek co do kieszonkowych psów, szynszyli czy świnek morskich, który najlepiej podsumowywały słowa: „jesteś widoczne, jesteś bezpieczne”. Z tego względu zdecydowanie preferowała zwierzątka widoczne już z daleka, chociażby takie jak jej osobista Pindzia, psica

rasy polski owczarek nizinny. Pony były duże, włochate i głośne, a więc bardziej kompatybilne z temperamentem, gracją i posturą Tereski niż taki kot, choćby najmilszy i najpiękniejszy. No i raczej nie zostawiały mściwych pułapek w postaci podstępnych kałuż moczu na podłodze. Co najwyżej radosne niespodzianki.

Tereska wzięła papierową torebkę w zęby i wróciła do chlewika, krzywiąc się, ilekroć musiała stanąć na zdrowej nodze. Mokrą od kocich siuśków skarpetkę od razu ściągnęła i rzuciła w kąt. Wygrzebała z torebki paczkę wilgotnych chusteczek do demakijażu oraz żel antybakteryjny i przysiadła z nimi na skraju łóżka, żeby wyczyścić skalaną nogę. Dopiero potem mogła zająć się skręconą kostką. Uwolniła ją z opatrunku, schłodziła i wysmarowała, nie żałując sprayu, żelu ani przekleństw. Na koniec usztywniła z powrotem i zabezpieczyła bandaż. Chwilę to trwało, bo wymykał jej się z rąk i dwukrotnie zapodziała gdzieś ten kłujący metalowy klips. Ale kilka minut po zakończeniu tych skomplikowanych zabiegów Tereska spała już jak kamień, pachnąca mentolem oraz ukojona chłodem w zwichrowanym odnóżu i ciepłem, które rozchodziło się po reszcie człowieka.

Nie usłyszała więc, jak drewniana podłoga w jednym z korytarzy roztrzeszczała się ponownie. Cicho, jękliwie i rytmicznie, jak gdyby w rytm czyichś ostrożnych kroków.

CZWARTEK

ROZDZIAŁ | 7

Kiedy Tereska ponownie otworzyła oczy, za oknem wcale nie było wiele jaśniej. Świt miał nadejść dopiero za jakieś dwie godziny, świat spał więc w miarę spokojnie.

Czego nie dało się powiedzieć o ciotce Wandzie.

Jeśli sądzić po odgłosach, najstarsza z rodzeństwa Jędrzejczyków postanowiła przed świętami przestawić to i owo, na przykład piętro lub dwa. Sam pomysł był jednak tak niedorzeczny, że Tereska z wrażenia aż usiadła na łóżku. Pościel, w której spała, pochodziła z lat siedemdziesiątych i była jednym z nowszych elementów wyposażenia. Ten dom nie zaznał remontu od dobrych pięćdziesięciu lat, jeśli nie dłużej, ponieważ ciotka była osobą nie tylko oszczędną, ale i praktyczną i coś takiego jak zmiana wystroju z przyczyn innych niż zagrożenie epidemiologiczne lub pożarowe nie mieściło się w jej światopoglądzie. Tereska do dziś pamiętała, co się działo, kiedy babunia Sława zawezwała tapicera do swojego ukochanego fotela. I to nie tylko dlatego, że Agniesia stanęła wtedy bosą stopą na gwoździu. Ciotka Wanda przeżywała tę renowację starego mebla jak mrówka okupację, jak gdyby babunia zamierzała wykorzystać w roli obicia zabytkowe arrasy z Wawelu. Albo gorzej. Bezcenne tkaniny z jej osobistych zapasów!

Skoro więc nie przestawiała mebli razem ze ścianami nośnymi, to co innego, do ciężkiej cholery, mogła robić starsza pani pod osłoną ciemności, że echo niosło się aż do chlewika?!

Tereska leżała tak dość długo, wsłuchując się w rumory i łoskoty dochodzące z zewnątrz oraz warkoty, syki i złorzeczenia, które dla równowagi rozlegały się już wewnątrz niej samej. Wreszcie nie wytrzymała i wylazła z łóżka.

Kiedy stanęła w progu kuchni, okulawiona, rozmemłana i nastawiona niezbyt życzliwie do świata, ujrzała przyczynę pobudki. Ciotka Wanda najwidoczniej szykowała się już do kulinarnego maratonu, bo ryła w stercie blaszek jak dzik w kartoflach.

– A to ty nie śpisz? – powitała bratanicę pytaniem, w którym kryła się szczodra porcja autentycznego zdziwienia doprawiona szczyptą świeżej przygany. Proporcje te szybko się jednak odwróciły. – Ubrałabyś się chociaż, a nie jak taka wymięta obrzępała chodzisz.

Tereska uprzejmie zmełła w ustach odpowiedź w tonacji dość obelżywej. Bądź co bądź obydwie z ciotką doskonale wiedziały, że nigdy nie była skowronkiem. W zasadzie nie była też sową – identyfikowała się raczej z wiecznie wykończonym gołębiem, który rozpoczynał każdy dzień od rozpaczliwej walki o życie. Podstawowe funkcje mózgu, takie jak dodawanie czy panowanie nad rękami, odzyskiwała dopiero po kawie i właściwej dawce cukru, najlepiej w postaci kasztanków. Andrzej już dawno nauczył się nie mówić do niej rano, dzieci też wypracowały sobie stosowne strategie przetrwania. Nawet do teściowej wreszcie dotarło! Do ciotki Wandy – ni cholery…

Nigdy nie dało się z nią w tej kwestii dogadać. Darły koty o poranne wstawanie już dawno temu, kiedy Tereska, dziecięciem będąc, przyjeżdżała na wakacje do rodzinnego domu ojca z zamiarem uczciwego odespania całego roku szkolnego. Tyle że z ciotką Wandą na pokładzie ten numer nigdy nie przechodził. Spanie do oporu? Niepojęte! Snucie się w piżamie? Wykluczone! Olaboga! Kto to widział! Albowiem Wanda Popiełowska wierzyła głęboko, że uczciwi ludzie wstają punktualnie o piątej rano, świątek, piątek i niedziela, i biorą się czym prędzej do roboty, a kto tak nie robi, ten leń patentowany, nierób i miglanc w ciapki. Niestety, to przekonanie łączyła nierozerwalnie z drugim, zgodnie z którym wszystko należało robić tak, aby nikomu broń Boże nie umknęło, że tu się pracuje! Pracuje ciężko, w znoju i pocie czoła, na nogach bądź kolanach, z poświęceniem wiecznie niedocenionym i należytą udręką.

A tu na dodatek nadciągały święta, więc i tego dnia Wanda Popiełowska jak zawsze zerwała się o piątej i z donośną werwą przystąpiła do dzieła, całkowicie ignorując fakt, że ludzie pod jej dachem prawdopodobnie woleliby jeszcze pospać. Choć trzeba uczciwie przyznać, że część tej werwy mogła się u niej brać z prozaicznego przyzwyczajenia. Od lat mieszkały z babunią tylko we dwie, zapewne też zgrały harmonogramy dobowej aktywności i nie wchodziły sobie w drogę. Nie mówiąc już o tym, pomyślała Tereska nie bez błogiej złośliwości, że postępująca głuchota babuni zapewne wiele ułatwiała w codziennym życiu z ciotką.

– Zjesz coś – orzekła ciotka, bezbłędnie wyczuwając w bratanicy głęboką potrzebę. – Jajecznicę ci zrobię.

Tereska zgrzytnęła zębami. Owszem, odczuwała pewien wewnętrzny brak, równie fizyczny, co emocjonalny – ale kawy i kasztanków, a nie jajecznicy! No chyba że jajecznicy z czekoladowych jajek z likierem. Mnóstwem, mnóstwem likieru… Hamując odruchy, które zaczynały w niej bulgotać, odezwała się prawie ludzkim głosem:

– Dziękuję, nie jestem głodna. Za to bardzo potrzebuję kawy…

– Na pusty żołądek? Wrzodów się dorobisz. – Ciotka odstawiła wybrane foremki na stół, pozostałe szurgnęła do kuchennej szafki i trzepnęła drzwiczkami, aż szybki w starym kredensie zabrzęczały niczym dzwonki sań. A potem wzięła się za jajecznicę.

W innych okolicznościach Tereska zapewne odpaliłaby charakter i patrzyła, jak świat płonie, i to bez większych rozterek moralnych. Gdyż ciotka była ciotką, a Trawnej zawsze brakowało cierpliwości do ludzi ignorujących to, co się do nich mówi. Na dodatek dochodziła dopiero szósta, a Tereska miała za sobą naprawdę kiepską noc. No i była przed kawą. Bardzo przed. Ale nawet niski poziom kasztanków w organizmie nie zmieniał faktu, że trochę nie wypadało krzywdzić świeżych sierotek – nawet tych siedemdziesięcioletnich, na dodatek upartych jak stado mułów. Dlatego Tereska nic nie powiedziała, a przynajmniej nie na głos, tylko opadła na krzesło.

– Przykro mi z powodu babuni – odezwała się po chwili, kiedy po kuchni zaczął się rozchodzić zapach przysmażanej cebulki z szynką i wbrew Teresce zrobiło się jakoś tak… błogo. – Cioci pewnie teraz ciężko.

– A tam ciężko. – Nie przestając roztrzepywać jajek, ciotka Wanda wzruszyła ramionami. – Bo to się człowiek nie spodziewał? Spodziewał, spodziewał. Taka kolej rzeczy.

Tereska bardzo chciała odpowiedzieć coś miłego i choć trochę bardziej osobistego, co nie zabrzmiałoby jak banał. W głowie miała jednak wciąż więcej waty niż rozumu i zanim

zdążyła wspiąć się na może nie wyżyny, ale chociaż płaskowyż empatii, w kuchni zjawiła się Alina Popiełowska, synowa Wandy.

Lata temu, kiedy poznała Marka, wyglądała jak przykładna uczennica szkoły podstawowej, choć szykowała się właśnie do matury. No i proszę, przez kolejne dwie dekady niewiele się zmieniła. Miała metr pięćdziesiąt wzrostu i mizerny zalążek zmarszczek w kącikach oczu. Jasne włosy do ramion dla wygody zbierała gumką w prosty kucyk, dżinsy i koszulki wciąż kupowała w dziale młodzieżowym, nigdy nie nosiła obcasów, a malowała się wyłącznie od wielkiego dzwonu. Ogółem była drobna i niepozorna, jak gdyby cały przydział kolorów i szaleństwa, standardowo przypadający w życiu na każdego człowieka, ominął ją szerokim łukiem i skumulował się w Dużej Oli. A choć wzrostem przypominała Agniesię, roztaczała zupełnie inny *vibe*, jakiś taki… mniej inwazyjny.

Ciotka Wanda obejrzała się przez ramię i westchnęła na znak, że ciężko ją los doświadczył synową, ciężko… Na ten dźwięk Teresce aż się włos na cielesności zjeżył, tymczasem Alina jak gdyby nigdy nic nastawiła wodę w elektrycznym czajniku i zaczęła buszować w jednej z górnych szafek. Chwilę potem postawiła przed Tereską kubek gorącej mocnej kawy. Jakoś tak wyszło, że nie miały nigdy okazji spędzić ze sobą zbyt wiele czasu, ale swój od razu poznał swego.

– Jak ty to w ogóle zrobiłaś? – zapytała Alina, siadając naprzeciwko z własnym kubkiem. – Wlazłaś przez to okno jak zawodowiec, a potem co? Zapomniałaś, jak się chodzi?

– Kot mi wystrzelił znikąd prosto pod nogi, kiedy byłam już na schodach – wyjaśniła Trawna, w okamgnieniu mięknąc w środku od wonnej kawowej pary. – Może bym jeszcze jakoś ogarnęła odnóża, gdyby stopnie w tym domu trzymały jeden wymiar. A tu najpierw musisz dreptać jak dwulatek, a potem nagle lecisz na pysk, bo kolejny stopień ma nieoczekiwanie prawie pół metra wysokości, czego stanowczo nie przewidziałaś.

– Czyli… – Alina dokonała szybkiej wizualizacji – …próbowałaś stanąć w powietrzu?

– No. A powietrze nie udźwignęło wyzwania. Za to kot się chyba znalazł – rzuciła pospiesznie Tereska w stronę ciotki, która wlewała masę jajeczną na patelnię. – Pół nocy tłukł się po domu, aż wszędzie trzeszczało. I jeszcze się zlał w przedpokoju.

– Niemożliwe.

– A jednak. Nawet wdepnęłam w jego dzieło.

– To trzeba go było tak nie stresować – odparła ciotka Wanda, gładko przechodząc od jednej interpretacji do drugiej. – Dziwisz mu się?

– Ja go nie stresowałam – sprostowała Tereska przez zęby, które mimo kawy znów zaczęły jej się tak jakby zaciskać. – Ja go usiłowałam nie zabić.

– Ty i te twoje pomysły. – Ciotka przewróciła oczami. – Było nie wchodzić przez okno, to nikomu nic by się nie stało.

– Ale w róże nie wpadła – zauważyła Alina.

– A kto to tam wie.

Ku cichej uldze Tereski ciotka nie zdążyła rozwinąć tej myśli. Do kuchni wpłynęło smętne widmo w zwiewnym peniuarze, po czym zawisło, wpatrując się w trzy kobiety spojrzeniem nieco niedopasowanym do stylizacji, gdyż cokolwiek baranim.

– A po co ty wstałaś?

– Spać nie mogę – poskarżyła się matce Agniesia. – Ostatnio mi ciągle niedobrze…

– Zjesz coś.

– Może… może potem – wymamrotała niemrawo, ale usiadła posłusznie, bo ciotka Wanda już jej nałożyła solidną porcję.

Poranne mdłości widocznie średnio się komponowały z jajecznicą na maśle, bo w ułamku sekundy twarz Agniesi przybrała bardzo interesujący kolor. Z rozpuszczonymi włosami, w błękitnym szlafroczku nasunęła Teresce na myśl Ruby Gillis umierającą na galopujące suchoty. Albo tę, no, Stefcię Rudecką… hm, równie ujmującą i cokolwiek dogorywającą. Co mogłoby się wydawać skojarzeniem niestosownym i nieuprawnionym, ale wyłącznie dla kogoś, kto nigdy nie pochylał się ciężko nad bielą sedesu, targany ciążowymi torsjami, modląc się o szybką śmierć. I tak siedem razy.

– Ciebie mdli na pusty żołądek. – Wanda niezłomnie trzymała się swojej wersji wszechświata. – Nic dziwnego, że ci się dźwiga. To z głodu.

Dopiero gdy lekko seledynowa Agniesia posłusznie chwyciła za widelec, ciotka przestała nad nią wisieć i zasiadła u szczytu kuchennego stołu, splotła dłonie pod biustem i ze ściągniętymi brwiami utkwiła wzrok w stercie foremek, które czekały na blacie. Pewnie opracowywała świąteczny jadłospis, wyliczała tonaż naczyń oraz liczbę sztućców, tak dla pewności, że niczego nie zabraknie dla rodziny w poszerzonym składzie. Dwie osoby więcej to więcej pierogów, karpia, sałatki jarzynowej… Aż naraz z głębin jej jestestwa wyrwało się przeciągłe, dramatyczne westchnienie.

Tereska zastygła z kubkiem w połowie drogi do ust. Kątem oka dostrzegła, że Alina również znieruchomiała, choć w pozie nieco mniej dramatycznej. Obydwie wiedziały, na co się zanosi, wiedziały to aż za dobrze.

– Ja tak coś czułam, że tak będzie – oznajmiła w końcu ciotka Wanda tonem, jakim bez wątpienia nieszczęsna Kasandra na próżno wieszczyła zagładę Troi. – Prawda, Agniesiu? Tak coś czułam.

– Ale… ale że co ciocia czuła? – zapytała Tereska ostrożnie, bo coś jej mówiło, nie, nie mówiło, darło się wniebogłosy, że wcale nie chodzi o obowiązkowy przydział sałatki jarzynowej na człowieka kwadratowego.

– Że on ciebie rzuci.

– Ale że kto mnie rzuci?

– No ten twój mąż. Tak coś czułam, bo ty zawsze byłaś taka… taka… TAKA. No i masz. I to w takiej chwili… ech. Biedne te wasze dzieci. Tak bez ojca…

Tereska zbaraniała. Początkowo sądziła, że mowa o śmierci babuni, niech jej sarkofag francuski wygodnym będzie. Aż tu naraz zaczęło do niej docierać, że ciotka Wanda z przytakującą pastelową Agniesią ubolewały nad czymś zgoła innym. Mianowicie nad tym, że Andrzej, biedny miś, najwyraźniej puścił ją w trąbę, na co rzekomo uczciwie sobie zapracowała, będąc, cóż, Tereską.

– Andrzej mnie nie rzucił – zaczęła metodą krótkich, prostych komunikatów w nadziei, że to pomoże im jakoś dotrzeć do celu i zagościć tam na dłużej. – Andrzej został w domu. Andrzej jest chory. Andrzej bierze antybiotyk i nigdzie nie wychodzi.

– Tak to sobie tłumacz, dziecko. Skoro tak ci łatwiej…

– Wiesz, Tereso, nie bierz sobie tego do serca – dodała bladozielona Agniesia, na chwilę przestając gmerać widelcem w jajecznicy – ale MÓJ mąż jest ZE MNĄ w tych trudnych dla nas chwilach.

– Tak. Zauważyłam – wycharczała Tereska, odstawiając kubek po kawie obok talerza z zimną jajecznicą. Czym prędzej zebrała odnóża, zanim zamiast z kuchni wyjdzie z siebie i stanie obok.

– Właśnie dlatego tu nie przyjeżdżałam – warczała do siebie, kuśtykając korytarzem w kierunku przedsionka. – Właśnie dlatego!!!

– Tesiu?

Na dźwięk tego głosu Tereska zatrzymała się jak wryta.

No tak.

No przecież.

Bo chyba nie sądziła, że zdoła unikać tego spotkania przez bite pięć dni, prawda?

– Cześć, tato.

Większość bliskich jej osób szła przez życie z przekonaniem, że Tereska Trawna to skóra zdarta z matki. Skóra – i charakter. Ale gdyby zobaczyli Henryka Jędrzejczyka, który stanął właśnie w korytarzu, blokując przejście oraz swobodną cyrkulację powietrza, nie mieliby żadnych wątpliwości, po kim Tereska odziedziczyła rozmach osoby własnej.

Jedyny przedstawiciel płci brzydszej z trojga rodzeństwa był mężczyzną wzrostu nadprzeciętnego i stosownej masy, o sylwetce raczej dostojnego kręgla niż posągowej kolumny, do tego zwieńczonego czupryną mimo upływu lat bujną i nieokiełznaną, choć bardziej już siwą niż nie. Nawet Marek zawsze wypadał przy nim wątło, rodzony zaś wnuk mógłby uchodzić za wulkan energii. Gdyż Henryk Jędrzejczyk miał ciało olbrzyma, umysł biegłego rewidenta, za to temperament kluski śląskiej. I to raczej wystygłej.

– No i co ty sobie zrobiłaś w tę nogę? – zapytał, przyjrzawszy się uważnie córce.

– Wychodzi na to, że skręciłam.

– Po co?

W innym przypadku palnęłaby pewnie, że nie wie, po co się zwykle skręca nogi, może dla rozrywki? Dla niepowtarzalnych doznań? Designerskiego zestawu kul ortopedycznych? Zbyt dobrze jednak znała swojego ojca. Był człowiekiem rozumującym w sposób niespieszny i konsekwentny, w związku z czym nie uznawał koncepcji pytania retorycznego. Każde pytanie wymagało udzielenia odpowiedzi, udzielenie odpowiedzi zaś uprzednich dogłębnych rozważań. Najlepiej wygłoszonych na głos do bezwolnych słuchaczy.

– Do wesela się zagoi – zbyła ojca z uśmiechem, który każda ogarnięta jednostka ludzka odczytałaby bezbłędnie jako zaproszenie do rączego porzucenia tematu. Ale nie Henryk. No skąd.

– To nie jest takie proste…

Teresce pociemniało w oczach, a jednocześnie przez jej umysł niczym deszcz meteorytów przemknęły wspomnienia z dzieciństwa, niby odległego, niby bezpiecznego, ale…

Jak wtedy, kiedy spędzali wakacje nad morzem i pięcioletnia Tesia podniosła głowę znad foremek i nieopatrznie zapytała tatę, dlaczego jedna chmurka jest taka pierzasta, puchata, a druga taka rozwleczona po niebie jak strzęp waty. Przez następnych czterdzieści minut słuchała wielowątkowego wywodu na temat mechanizmów powstawania stratusów, cumulonimbusów i innych cumulusów, podczas gdy wszystkie dzieci poleciały oglądać meduzy.

Albo uroczyste rozdanie świadectw ukończenia ósmej klasy, na którym wychowawczyni, żegnając się z Tereską, popłakała się rzewnymi łzami, a wraz z nią połowa

nauczycieli i drugie tyle rodziców. Jej ojciec przez osiem lat uczęszczał pilnie na każde zebranie. Siadał w pierwszej ławce, skąd pytał o wszystko i wszystko roztrząsał, z uwzględnieniem przepisów prawa, utartych zwyczajów i tak zwanego zdrowego rozsądku, którym szczerze się chlubił. A gdy przychodziło do wybrania trójki klasowej, zawsze pierwszy zgłaszał się na ochotnika. I z niepojętego dla siebie powodu nigdy nie został wybrany.

Nie wspominając już tamtego popołudnia w pierwszej licealnej, kiedy kolega z równoległej klasy wpadł do niej po lekcjach, żeby się razem pouczyć – trochę fizyki, a trochę biologii z elementami wychowania fizycznego – i już w progu natknął się na Henryka Jędrzejczyka, bardzo nastawionego na interakcję z młodym człowiekiem. Dalej, ku wielkiej żałości tak własnej, jak i Tereski, ów młody człowiek nigdy nie dotarł. Prawdę mówiąc, bał się spróbować.

– TATO! – ryknęła, przerywając ojcu fascynującą i nafaszerowaną dygresjami analizę ryzyka powstawania skrzeplin wewnątrz naczyń krwionośnych w przypadku urazów kończyn. Gdzieś za jej plecami zaterkotał ogłuszająco dzwonek do frontowych drzwi. Kolejna rzecz, która się tu nie zmieniła.

– Tak?

– Do brzegu.

– OTWORZĘĘĘ. – Głos Maciejki poniósł się przez dom, gdy tylko terkotanie umilkło.

Henryk Jędrzejczyk odchrząknął.

– Wanda mówiła, że zostajecie na święta.

– OTWIEEERAAAM – zaraportował z oddali Maciejka.

– No, tak jakoś wyszło. Chciałam spędzić te święta inaczej niż zwykle, tak… fajniej, ale wiesz, jak to bywa. Człowiek sobie marzy, planuje, a tu zawsze coś, jak nie urok, to przemarsz wojsk austriackich… Tak, tak, wiem – uprzedziła, bo ojciec już otwierał usta, żeby rozpocząć wywód. – Święta nie są od tego, żeby było fajnie.

„Ależ skąd”, dodała w myślach, wykonując zwrot przez bakburtę i ruszając dziarskim kuśtykaniem w kierunku przedsionka, skąd dobiegał dziwnie podekscytowany głos Maciejki. „Święta są od tego, żeby ciotka Wanda mogła dyrygować wszystkimi do woli!”.

Na początek konwersacji między synem a tajemniczym przybyszem nie zdążyła się załapać. Ale ostatnie słowa już jej nie umknęły. Wprost przeciwnie, dotarły do niej aż nadto wyraźnie.

– …komisariat policji w Wałbrzychu. Czy możemy wejść?

ROZDZIAŁ | 8

Tereska Trawna pierwszy raz w życiu gnała tak zawzięcie na tak niewielu kończynach.

Na rumor, jaki przy tym uczyniła, stojący we frontowych drzwiach Maciejka obejrzał się przez ramię. Jeśli sądzić po jego minie, był półprzytomny jeszcze bardziej niż zwykle, a do tego spodziewał się zobaczyć co najmniej szarżę oddziału husarii. Jeśli z kolei sądzić po minach policjantów, którzy czekali grzecznie po drugiej stronie progu, spodziewali się prawdopodobnie wszystkiego, ale nie galopującej o kulach kobiety z gołymi nogami wystającymi spod koszuli nocnej w kwiatki wystającej spod swetra, ze wstrząśniętą koafiurą oraz delikatną sugestią obłędu w wybałuszonych jasnoniebieskich oczach.

– Małoletni! Małoletni! – wysapała Tereska. Wcisnęła się między syna a mundurowych, po czym wyrzęziła: – MATKA. W czym… rany… boskie… pomóc?

Starszy aspirant Ktoś Tam raz jeszcze przedstawił siebie oraz sierżanta sztabowego Jakiegoś Tam. Wystawiona na bezpośrednie działanie rodziny Tereska chwilowo nie miała głowy do nieistotnych szczegółów, dlatego poza szarżami obydwu mundurowych nie zarejestrowała wiele więcej.

– Mamy kilka pytań o niejakiego Tadeusza Popiełowskiego – oznajmił starszy aspirant.

Tereska, nauczona ponadprzeciętnym doświadczeniem na tym polu, wiedziała doskonale, że w kontaktach z policją warto zachować zdrowy rozsądek i powściągliwość, nawet gdy się coś wie. Czy raczej – szczególnie, gdy się coś wie. Nic tak bowiem nie pogrąża niewinnego człowieka jak nadmiar wiedzy w pewnych tematach. Na przykład w temacie miejsca wiecznego spoczynku niezbyt lubianego sąsiada czy tym podobnych krępujących drobiazgów.

Jednak nie tym razem. Czy to przeciwnik wziął ją podstępem, czy to instynkt Tereski wciąż spał po ciężkiej nocy i kawie bez kasztanka i nie zwęszył żadnej pułapki, w każdym razie wybałuszyła na policjantów wielkie porcelanowe oczy i odparła:

– A o co tu pytać? Tadeusz Popiełowski nie żyje.

– Skąd pani posiada taką wiedzę? – spytał ostro sierżant sztabowy.

– Pan kpi czy o drogę pyta?

– Mamo, bo cię wsadzą! – usłyszała za plecami.

– To nie jest jakaś wiedza tajemna, proszę pana – powiedziała Tereska, ignorując dramatyczny szept syna. – Wszyscy wiedzą, że Tadeusz Popiełowski nie żyje.

Starszy aspirant mało się nie zatchnął na tę informację.

– Już się rozeszło? – rzucił półgębkiem do kolegi. – Ale jak?! Kiedy?!

– Skąd wiedzą? – drążył sierżant wciąż tym samym ostrym tonem, który z jakiegoś niepojętego powodu nie robił większego wrażenia na tej przerażającej kobiecie.

– No jak to skąd? Z autopsji.

– Niemożliwe. Autopsji jeszcze nie było.

– No. I z tego, co wiem, to raczej nie będzie.

Obaj policjanci spojrzeli po sobie, ogłupiali już tak doszczętnie, że w Teresce wreszcie obudziło się coś na kształt litości.

– Dobra. Może niech panowie jednak wejdą. Bo to chyba trzeba będzie rozrysować. Wam lub mnie… – dodała już ciszej.

Kuśtykając przodem, Tereska Trawna przeprowadziła obydwu umundurowanych policjantów oraz jednego ukalesonowanego syna przez parter na tyły domu. Pochód zamykał zaintrygowany Henryk.

Reszta rodziny ściągnęła tymczasem do kuchni prawie w komplecie i cisnęła się przy stole, podczas gdy ciotka Wanda miotała na lewo i prawo porcjami jajecznicy oraz chleba z masłem. Marek przedzierał się metodycznie przez stertę na swoim talerzu i starannie udawał, że całkowicie mu umyka obecność szwagra. Jan Jakub siedział na przeciwnym krańcu stołu, pod oknem, i sączył herbatę, obserwując pogodę za szybą z taką miną, jak gdyby mu wyrządziła osobistą krzywdę. Śnieg w grudniu! Też pomysły! Alina z Dużą Olą przesunęły się życzliwie, żeby zrobić Maciejce nieco miejsca przy stole. Chłopak nie zdążył nawet pisnąć, a już miał przed nosem talerz z porcją, która powinna zaspokoić jego apetyt na długo. No, co najmniej do następnego posiłku.

Wszyscy milczeli, w skupieniu jedząc i zbierając siły do rodzinnego sprzątania, dekorowania i świętowania z atrakcjami towarzyszącymi. Ale nikt się nie spodziewał umundurowanej policji.

– Ciociu, panowie chcieliby porozmawiać o Je… znaczy, o wujku Pułkowniku.

– Świeć Panie nad jego duszą – wymamrotała bezwiednie ciotka Wanda. Odstawiła pustą patelnię na kuchenkę i przycisnęła ścierkę do piersi. – A o co chodzi?

– Pani jest…? – zapytał zwięźle sierżant sztabowy, dokonawszy przewidzianej procedurą prezentacji sił mundurowych, sztuk dwie.

– Wdową po Pułkowniku, proszę pana. Popiełowska Wanda.

– Jezu… – wyrwało się młodszemu policjantowi.

Sierżant sztabowy, jak przystało na profesjonalistę w tym fachu, nie tracił jednak opanowania. Wyciągnął notatnik i odnalazł właściwą stronę.

– Wdową po Popiełowskim Tadeuszu Konstantym, czy tak?

– Jakim znowu Konstantym? – Ciotka Wanda spojrzała na nich jak na ciężki przypadek omamów z niedożywienia. – Józefie!

– Jednak Konstantym.

– Konstantym – potwierdził starszy aspirant, zapuszczając żurawia do notatek kolegi. – Jak wół.

Ciotka Wanda aż poczerwieniała. Bez słowa miotnęła ścierą i truchtem wybiegła z kuchni. Wróciła po paru minutach, nieco zdyszana, niosąc pudełko po butach. Za nią szła Krystyna, nie do końca obudzona, lecz zaalarmowana tym nagłym poruszeniem swej starszej siostry. Biedny Maciejka musiał uciekać ze swoim talerzem, kiedy pudełko wjechało na stół, a spod uniesionej pokrywki buchnął zapach kurzu i starego papieru.

– Proszę! Proszę! – fukała ciotka, okazując zebranym niezbity materiał dowodowy. Pudełko aż po brzegi wypełnione było wszelkiej maści dokumentami, dającymi świadectwo

żywota oraz dokonań świętej pamięci obywatela pułkownika Popiełowskiego. I na każdym stało – istotnie, jak wół – że obywatel pułkownik Popiełowski, syn Adama, nosił imiona Józef Tadeusz.

– O ja cię smolę… – Maciejka aż na chwilę zapomniał o jedzeniu, tak go pochłonęło podziwianie zawartości pudełka. – Ale tu są skarby! Order Odrodzenia Polski, legitymacja żołnierza zawodowego, legitymacja wzorowego żołnierza, wzorowy… wzorowy czołgista?! – Wyłowił pierwszą z brzegu książeczkę i otworzył.

Tereska wyciągnęła szyję, żeby się lepiej przyjrzeć. Z czarno-białego zdjęcia patrzył na nich umundurowany żołnierz o gęstej jasnej czuprynie, równie jasnych brwiach stykających się niemal nad orlim nosem i wyrazistych ustach. Ojciec Marka i Agniesi był mężczyzną uderzająco przystojnym. Tereska pamiętała też jego głos, radiowy, jak to się mówiło, i niebywały urok, którym czarował na lewo i prawo. Nic dziwnego, że ciotka Wanda czciła ziemię, po której stąpał. Czy Józef, czy Tadeusz, mniejsza z tym.

Chociaż Marek ewidentnie był innego zdania. Wyglądał, jak gdyby razem z uderzeniową dawką cholesterolu strzelił go piorun.

– Jak… jak to Józef? – zwrócił się do matki z ewidentnym żądaniem wyjaśnień. – Skąd Józef?!

– No… no ze chrztu. A skąd?

– Wujek Pułkownik miał na pierwsze Józef?! – Tereska też nie posiadała się ze zdumienia, gdyż pierwsze słyszała.

– A jak miał mieć? – Wanda nieustannie dziwiła się ich zdziwieniu. – Józef Tadeusz przecież. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy są tacy zaskoczeni.

– Chyba możemy uznać, że zaszła jakaś pomyłka – podsumowała Krystyna, zwracając się do policjantów, na moment nieco zapomnianych, kiedy Duża Ola szeptem streściła jej sytuację. – Znaczy, kilka pomyłek, ale skupmy się może na tej najważniejszej. My znamy pułkownika Popiełowskiego, najwyraźniej Józefa, choć w rodzinie zwanego Tadeuszem, czyli świętej pamięci męża mojej siostry. A o kogo pytają panowie władze?

– O Tadeusza Popiełowskiego, notariusza z Wałbrzycha.

– Którego zapewne spotkała jakaś życiowa przykrość – domyśliła się Tereska. – Inaczej nie zjawialibyście się tutaj tak wcześnie.

– Można to tak ująć – odparł sierżant wymijająco. Odchrząknął i wyprostował się nieznacznie w ten charakterystyczny sposób, zdradzający kogoś, kto zamierza zadać cios i już się szykuje na jego nieuniknione następstwa. – W dniu dzisiejszym, we wczesnych godzinach rannych, Tadeusz Popiełowski został znaleziony w swoim samochodzie na parkingu rozładunkowym za minimarketem PHU Halinka. Był martwy.

Akurat tego nie musiał dodawać. Po takim wstępie wszyscy zebrani w kuchni byliby chyba bardziej zaskoczeni, gdyby się okazało, że notariusz Popiełowski został znaleziony w stanie wskazującym na przeżycie. Co innego nieboszczyk. Nieboszczyk w tym kontekście brzmiał całkiem logicznie.

– Ej! To ten gość! – zakrzyknął Maciejka, kiedy niższy szarżą policjant zaprezentował im powiększone zdjęcie starszego mężczyzny.

– Państwo go rozpoznają?

– No przecież – potwierdziła Krystyna. – Był tu wczoraj.

– I na cmentarzu – dodał Marek.

– Na cmentarzu też?

– Podobno. Tereska z Maciejką go widzieli.

– Kto taki, przepraszam? – zapytał sierżant sztabowy, pstrykając długopisem, żeby przystąpić do sporządzenia notatki.

Wzmiankowana Tereska zaczerpnęła głęboko powietrza i przystąpiła do recytacji:

– Teresa Trawna z domu Jędrzejczyk, córka Brygidy i Henryka, oraz Maciej Trawny, małoletni, co podkreślam z całą mocą opiekuna prawnego, a poza tym syn Teresy z domu Jędrzejczyk i Andrzeja z domu… znaczy, po prostu Andrzeja, oboje zamieszkali w Marcinowicach…

– A ty co taka obeznana z procedurami? – zapytała Krystyna, kiedy Tereska skończyła dyktować wszelkie możliwe dane, ze znakiem zodiaku włącznie.

– Uśmiejesz się, jak ci opowiem – odparła półgębkiem i zwróciła się ponownie do policjantów, zanim ktokolwiek zauważył, że zrobiło jej się gorąco. – Tak czy siak, nasz Popiełowski Tadeusz, czyli wujek Pułkownik, nie żyje od dawna. A ten Popiełowski Tadeusz… coś tam, owszem, zjawił się wczoraj na pogrzebie babuni Sławy. Widziałam go tam ja, widział go mój syn.

– Oraz tutaj? Pod tym adresem?

– Nie, tu go nie widziałam – sprostowała stanowczo. – Ja, Trawna Teresa i tak dalej. Zaraz po powrocie z cmentarza skręciłam nogę. – Uniosła jedną kulę na dowód swej prawdomówności. – Całe popołudnie i większość wieczoru spędziłam na szpitalnym oddziale ratunkowym, próbując nie za… znaczy, próbując dojść do porozumienia z personelem medycznym w temacie skręcenia stawu skokowego. Dotarłam tu dopiero około… Która to była? – zapytała Marka.

– Między siódmą a ósmą wieczorem? Gdzieś koło tego.

– Czy ktoś to może potwierdzić? – zapytał sierżant.

Tereska ruchem głowy wskazała na kuzyna.

– Marek Popiełowski – przedstawił się, acz niechętnie. – Syn Ta… wróć. Przyzwyczajenie. Syn Józefa i Wandy z domu Jędrzejczyk.

– Właśnie on – przytaknęła Tereska. – Robił za transport i wsparcie moralne.

„Oraz bojowe", już miała dodać, lecz w porę ugryzła się w język. Taki dowcip mógł zostać opacznie zrozumiany. I to nie tylko przez organy ścigania.

– Czy ktoś to może potwierdzić? – dopytywał uparcie policjant. – Znaczy, poza panem? Żeby nie było, że wy się tak… nawzajem…

– Kryjemy? – domyślił się Marek. – Nie no. Ktoś nas chyba widział?

– Ja i Ola – zadeklarował Maciejka, czując, że to jego moment, by zabłysnąć w tej rozmowie. – Znaczy, ta Duża. Widzieliśmy na własne oczy, jak mama z wujkiem wrócili.

– A ktoś pełnoletni? I może niespokrewniony z państwem dla odmiany?…

– Ale pan wie, że tu wszyscy są ze sobą spokrewnieni w mniejszym lub większym stopniu? – upewniła się Krystyna. – Tak jakby siłą rzeczy?

– Ortopeda z wczorajszego dyżuru! – podsunęła Tereska w przypływie olśnienia. – Będzie mnie pamiętał, zapewniam.

– Coś poza tym? Jakieś dowody materialne?

– Nie wiem, w sumie mogę panu okazać nogę…

– Może wypis ze szpitala? Albo paragon z apteki? Zapis z monitoringu? Logowanie telefonu komórkowego? – Duża Ola sypała propozycjami jak z rękawa, budząc powszechne zaintrygowanie. – No co? Bindżuję tru krajmy.

– I ty na to pozwalasz?… – zwróciła się do synowej ciotka Wanda, nie kryjąc zniesmaczenia.

– Najwyraźniej – odparła Alina bez cienia emocji.

Ani wizyta policji, ani pretensje teściowej w ogóle jej nie ruszały. Tereska coraz bardziej lubiła tę kobietę.

– Chwila. Robisz co z czym?

– Bindżuje tru krajmy – powtórzył usłużnie Maciejka, po czym zlitował się i wyjaśnił, bo matce ta odpowiedź ewidentnie nie wystarczyła: – Czyli że wciąga nosem podcasty, seriale i inne takie dokumentalne o prawdziwych zbrodniach. Szalenie popularne hobby.

– I szalenie praktyczne… – rzuciła półgębkiem Tereska, zapisując sobie w pamięci, że musi w wolnej chwili podpytać Dużą Olę, co konkretnie by polecała komuś nawykłemu do obcowania ze zbrodnią w stopniu bliższym niż to powszechnie przyjęte. Tak dla podbudowy ściśle teoretycznej, rzecz jasna.

Sierżant sztabowy desperacko próbował wrócić do sedna:

– Czyli Tadeusz Popiełowski zjawił się wczoraj pod tym adresem? Już po pogrzebie?

– Tak, zjawił się tutaj podczas stypy. Około… nie wiem, siedemnastej? – Krystyna obejrzała się na Alinę, która pokiwała głową. – Dokładnie nie potrafię określić, ale na pewno było już ciemno od dłuższej chwili.

– Zjawił? – powtórzył Jan Jakub z niesmakiem. – Nazywajmy rzecz po imieniu. Wtargnął, proszę pana! Wszedł jak do siebie! Zawłaszczył przestrzeń, znieważył święte prawo własności, zelżył mir domowy!

– Ale czy to się godzi tak o nieboszczyku?… – wtrąciła ciotka Wanda, marszcząc czoło na znak konfliktu wewnętrznego.

– Mama jest za dobra dla ludzi. Jeszcze go chciała posiłkiem podjąć!

– Och, ty mi nie przypominaj… – Ciotka jedną ręką chwyciła się za gors, drugą zaś za kuchenny blat. – Ja się do dzisiaj pozbierać nie mogę, proszę pana władzy.

– Czy do czegoś doszło?

– Rosół mi wystygł! Pan sobie wyobraża? – Zawiesiła głos i tak długo wpatrywała się wyczekująco w starszego aspiranta, aż ten pokręcił głową, że skądże, w życiu, kto to widział! Sierżant sztabowy na wszelki wypadek poparł kolegę. Usatysfakcjonowana tym konsensusem przedstawicieli władzy ciotka Wanda podjęła: – Kupny, bo kupny, ale jednak rosół. Nie to co mój, bo na samym kurczaku, a ja to robię porządny, proszę pana, cztery rodzaje mięsa: kura, wołowina, indyk i kaczka, koniecznie, bo kaczka daje tłustość i posmak. Niby w obliczu śmierci to nawet wypada, żeby tak bardziej postnie, chociaż to aż wstyd ludziom podawać, no ale synowa się uparła…

Ignorując starszą siostrę, która przystąpiła do wykładania policjantom swojej filozofii względem rosołu i synowej, Krystyna przyjrzała się uważniej zdjęciu na stole. A właściwie to kiepskiej jakości czarno-białemu wydrukowi powiększonego zdjęcia. Charakterystyczne ujęcie od razu nasunęło jej skojarzenie z dowodem osobistym.

– Chwileczkę. – Podniosła wzrok na policjantów, zdezorientowanych nieoczekiwanym wątkiem rosołowym toczącego się śledztwa. – Rozumiem, że zbieżność imion i nazwisk mogła

być myląca, ale najwyraźniej jesteście w posiadaniu dokumentów tego człowieka. To jest zdjęcie z dowodu osobistego. Skoro macie jego dowód, to dokładny adres zamieszkania możecie ustalić bez pudła w minutę. Więc po co tak właściwie przyszliście tutaj?

Starszy aspirant zerknął na sierżanta sztabowego, po czym uciekł spojrzeniem gdzieś w bok, jakby uznał, że to wykracza poza jego szarżę i kompetencje.

– Przy Tadeuszu Popiełowskim znaleziono listę nazwisk – wyjaśnił sierżant. – Były to nazwiska… chwileczkę… zaraz znajdę… O, proszę: Henryk Jędrzejczyk, Krystyna Jędrzejczyk, Agnieszka Kubasiuk z domu Popiełowska, Wanda Popiełowska z domu Jędrzejczyk, Marek Popiełowski, Teresa Trawna z domu Jędrzejczyk. Jeśli dobrze rozumiem, chodzi o państwa. No. Razem z nazwiskami zapisany był ten adres i wczorajsza data. Podkreślona dwukrotnie, kolorem czarnym.

– I to było w tej kopercie? – zapytał zaintrygowany Maciejka, podczas gdy wyczytani wraz z małżonkami trwali w chwilowym stuporze. Mało kto spodziewa się własnego nazwiska na liście świeżego nieboszczyka.

– W czym było?

– No w tej kopercie. Takiej bardziej podłużnej niż… poprzecznej? – Palcami wolnej ręki nakreślił w powietrzu kształt. – Nie wiem, jak to opisać.

– Format de-el – podsunęła Tereska, która formaty kopert znała na wyrywki.

– De-el… – Sierżant sztabowy zanotował tę informację. – Jakiego koloru?

– Takiego… białawego? Białawo-żółtawego? Numeru rejestracyjnego nie widziałem – dodał Maciejka, uprzedzając wszelką myśl, w tym własną – ale na sto procent ten pan miał ją przy sobie, kiedy wparował wczoraj do jadalni. I kiedy wyparowywał też.

Sierżant sztabowy zapisał wszystko co do słowa. Zamykając notatnik, rzucił starszemu aspirantowi spojrzenie – ot, przelotne, niepozorne takie, szybsze niźli błyskawica i niewinne niczym cały batalion noworodków wciąż pachnących wodami płodowymi. Ale nie z Tereską te numery, nie z nią. Już ona znała takie spojrzenia! W ostatniej chwili ugryzła się w język, zachowując ten triumf dla siebie.

Gotowa była pójść o zakład, że policjanci nie znaleźli przy nieboszczyku żadnej koperty.

ROZDZIAŁ | 9

Józef? Mama tak poważnie? – zapytał Marek, kiedy policjanci, spisawszy dane i alibi wszystkich osób z listy nieboszczyka, raczyli się wreszcie odczepić i rodzina została znów we własnym radosnym gronie.

– No Józef, Józef. – Ciotka Wanda z namaszczeniem kiwała głową. – Tylko wolał, żeby mu mówić Tadeusz, no to mu się mówiło. Nie wiem, coś ty się tak tego Józefa uczepił.

– Też nie wiem, mamo. – Marek na moment przycisnął dwa palce do nasady nosa, jak gdyby w ten sposób dało się zdusić w zarodku wzbierający ból głowy. – Może dlatego, że wszędzie, w każdym posiadanym dokumencie, mam Wandę i Tadeusza…

– No to źle masz – skwitował Jan Jakub, wstając od stołu. – Do kogo te pretensje?

– Akt urodzenia, akt ślubu… – wyliczała cicho Alina, zapatrzona w przestrzeń.

– Ślub? A kredyt? Kredyt, księga wieczysta, niech to jasna cholera… – Marek złapał się za głowę i jęknął. – Będę to rok odkręcał!

Ciotka Wanda była jednak nieprzejednana. Rozpacz rozpaczą, ale dochodziła dziesiąta, czwartek trwał w najlepsze, a wigilia wypadała w niedzielę. W związku z tym schowała pudełko na miejsce i orzekła, że dość tego leniuchowania, najwyższy czas brać się do świątecznych przygotowań! Proszę się ubierać, proszę się szykować!

– Trzeba nastawić barszcz i grzybową – zaczęła wyliczać, kiedy w kuchni zrobiło się luźniej i zostały przy stole w piątkę: Wanda, Agniesia, Alina i Tereska z Krystyną. – Przygotować farsz do uszek. Do pierogów. Kapustę. I kompot z suszu. I ryby, ale ryby to dopiero w niedzielę, żeby były na świeżo. Ale to potem. Najpierw… najpierw trzeba umyć okna.

Tereska zlustrowała uważnie kuchenne okna. Może nie łapały się do kategorii kryształ odpicowany na przybycie brytyjskiej królowej, ale też daleko im było do wyzwania dla glonojada. Bardzo daleko. No, przynajmniej zdaniem Tereski, która podchodziła do życia praktycznie i kierowała się zasadą, że im rzadziej się sprząta, tym wyraźniej widać efekty. A na brudnych oknach brokat lepiej się trzyma. Coś jej jednak mówiło, że ciotka nie przyjmie tego argumentu do wiadomości, sięgnęła więc po inny, mocno wsparty na faktach.

– Przecież jest mróz.

– I co z tego, że mróz? To na mrozie mogą być brudne? – Ciotka ściągnęła usta w ciup, dając wyraz głębokiemu zniesmaczeniu tym pomysłem. – Nie, ja tak w brudzie nie potrafię, mróz czy nie mróz. Wrzątkiem się myje, bardzo dobrze wychodzi.

– Aha. A już na pewno szybko…

– W tym domu zawsze się myje okna na święta – pouczyła Wanda bratanicę. – Krysia umyje, Krysia ma wprawę. Agniesia przyszykuje stroiki, bo Agniesia ma gust. Alinka przeprasuje obrusy i rozwiesi firanki. Tylko porządnie, żebym znów nie musiała poprawiać!

A ty… – Zadumała się, szukając czynności, której w jej mniemaniu podołałaby osoba pokroju Tereski. Widać dylemat był srogi, bo długo biła się z myślami. – Ty pomyjesz podłogi.

– Podłogi? Ze skręconą kostką? – Krystyna nie wyglądała na przekonaną.

– Nikt jej przecież nie każe biegać. A to się nawet dobrze składa. Im wolniej będzie myć, tym lepiej. Dokładniej.

Tereska powoli uniosła brew, szczerze zaintrygowana koncepcją, którą zrodził umysł ciotki.

– A jak według cioci mam myć te podłogi? Na kolanach?

– A jak ty byś chciała myć?

– Powiedziałabym, że mopem, jak człowiek, ale właśnie zaczęłam wątpić we własne człowieczeństwo.

– Mopem?! – Pod ciotką aż się nogi ugięły na to bluźnierstwo przeciw świętemu obrządkowi. – Myć to trzeba porządnie, a nie byle jak! Porządnie!

– Porządnie, czyli jak? – dociekała uparcie Tereska, podczas gdy jej początkowe zaintrygowanie radośnie wypuszczało nowe odnogi. Bardzo możliwe, że niektóre z nich miały też kolce.

– Czyli szmatą! Przemyć, wypłukać, wyżąć. Mopem! Mopem to się rozmazuje brud z kąta w kąt, a nie myje podłogi! – oświadczyła ciotka Wanda, dobijając bratanicę spojrzeniem pełnym wzgardy wobec tak daleko posuniętej abnegacji.

Tyle że Tereska nie czuła się dobita. Wprost przeciwnie. Mimo niedoboru kasztanków, który coraz wyraźniej odczuwała w zakończeniach nerwowych. Sam podział obowiązków domowych w obliczu nadciągających świąt był dla niej oczywistą oczywistością i nie zgłaszała w tej kwestii zastrzeżeń. Wszystko rozbijało się, jak zawsze, o drobne szczegóły.

– Czyli tak. Jeśli dobrze zrozumiałam, Kryśka bierze się za okna, Agniesia za stroiki, gdyż ma gust, Alina za firanki i obrusy, gdyż nie ma gustu, a ja za podłogi. Na kolanach. A reszta?

– A to potem, mówiłam przecież. Ty nie słuchasz. Ale czego ja się spodziewałam. Agniesia zawsze słucha, bo to jest dobre dziecko, wychowane. Jednak co ojciec, to ojciec. Nasz tatuś niczego nie zaniedbał, nakładł nam do głowy, co trzeba.

– Nie pytam o resztę roboty, ciociu, tylko o resztę towarzystwa – zaćwierkała słodko Tereska, mrugając przy tym intensywnie, żeby rozpędzić tę krwawą mgłę, która próbowała jej zasnuć oczy. – Łącznie sześć sztuk, czyli troje nastolatków, ojciec, Marek i Jan z Jakubem – wyliczyła. – Czym oni się zajmą?

– Heniu pojedzie po choinkę – odrzekła ciotka z namaszczeniem. – A Marek po karpia. Marek zawsze jeździ po karpia. A Heniu…

– Zawsze jeździ po choinkę, tak, tak. – Tereska gładko weszła ciotce w litanię. – No żeby się przypadkiem nie spocili z nadmiaru wrażeń. A czemu ojciec nie pojedzie po choinkę oraz po karpia? Jedno z drugim raczej mu się zmieści w samochodzie, bo coś wątpię, żeby poruszał się resorakiem. Marek może w tym czasie obskoczyć okna, a Jan z Jakubem weźmie się za podłogi. Albo na odwrót, raz się żyje!

– No wiesz. – Agniesia aż się zapłoniła, co w połączeniu z konsekwentnie seledynowym odcieniem jej cery dało niezbyt twarzowy efekt kolorystyczny. – Jan Jakub musi odpocząć. On PRACUJE i zarabia na dom.

– Ja też – odparowała Tereska bez choćby drgnienia powieki.

– Ty pracujesz? – zdziwiła się ciotka Wanda.

– Tak, ciociu. Prowadzę biuro księgowe. Tak jakby od kilkunastu lat.

– Co ty powiesz! I tobie za to płacą?

– Spróbowaliby nie.

– Ale to jest ZUPEŁNIE inna sytuacja. Jan Jakub pracuje często do PÓŹNYCH godzin! – Niezrażona Agniesia wytoczyła następne działo.

– Ja też.

– A jak nie pracuje, to się nadal ROZWIJA, żeby zarabiać więcej.

– No patrz, zupełnie jak ja.

– Być może. Ale Jan Jakub ZASŁUGUJE na chwilę odpoczynku.

– To tak jak… a nie, wróć. Ja najwyraźniej nie.

– No wiesz, ale ON się nie uskarża. A tobie to zaraz coś nie pasuje. Nie możesz się przemęczyć?

– Oni tak nie umyją – zawyrokowała ciotka Wanda, jak gdyby to wszystko przesądzało w sposób oczywisty i niepodważalny.

Tereska jednakże miała w tej kwestii zdanie odrębne, którego nie omieszkała zgłosić.

– A czemu nie?

– Bo to trzeba umieć!

– A żeby umieć, to się trzeba nauczyć – odparowała twardo Tereska. – Proszę bardzo, mój Maciejka, niechże posłuży za wciąż żywe *exemplum*. Sierota społeczna, na dodatek bezczelna, bo mi jeszcze powtarza, że jakim go stworzyłam, takim go mam, ale warzywa na sałatkę sieka jak maszyna. Co więcej, nigdy nie obciął sobie przy tym ani jednego palca, choć za paznokcie nie ręczę. Zmywa, zamiata, a drogę do lodówki znajduje bezbłędnie. Ja go cioci chętnie udostępnię do prac społecznych, ciocia tylko zgłosi zapotrzebowanie.

W oczach ciotki Wandy odmalowało się takie zgorszenie, jak gdyby Tereska zaproponowała właśnie, żeby w ramach świętowania rozebrali się do naga i pomalowali jak pisanki.

– Ja nie wiem, co z ciebie za matka.

– Wyrodna, rzecz jasna. A jak ciocia to sobie wyobraża? Oni będą siedzieć na tyłkach i dojrzewać przez następne dwa dni do piętnastominutowej przejażdżki, a ja mam się w tym czasie czołgać ze szmatą w zębach, obrabiając hektary ze skręconą kostką?

– Ty się już tak nad sobą nie rozczulaj – fuknęła ciotka. – Agniesia też tak kiedyś miała w nogę. I jej przeszło. Bez żadnych takich… fanaberii. Tobie też przejdzie.

– Tak, to prawda – poświadczyła Agniesia. – Nadwerężyłam raz kostkę, ale nie pozwoliłam, żeby mnie to POWSTRZYMAŁO przed czerpaniem z życia garściami. Można wszystko, jeśli się CHCE. Bo wiesz, Tereso, to trzeba mieć TUTAJ.

– Wiesz co, Agniesiu? Mimo wszystko wolę chyba mieć nierówno w kostce niż TUTAJ – wyznała Tereska, pukając się palcem w skroń, po czym rozwinęła żagle i odpłynęła do chlewika, niesiona potęgą urażonego majestatu.

W chlewiku jednakże warunki nie sprzyjały nawet podtrzymywaniu funkcji życiowych, dlatego Tereska w pośpiechu wysupłała z torebki trzy awaryjne kasztanki i czmychnęła z lodowej groty na tyle dynamicznie, na ile pozwoliły jej kule. Postanowiła rozsiąść się w jedynym sanktuarium, jakie miała w tym domu, czyli saloniku babuni.

Był to pokój niezbyt wielki, przypominający przytulną pieczarę małego zwierzątka. Przechodziło się z niego dalej, do sypialni dziadków, gdzie nie miał wstępu nikt poza głównymi zainteresowanymi. Babunia Sława zawsze wysoko ceniła sobie prywatność, a na gości – tych mniejszych i tych większych – czekała tutaj, w starym przepastnym fotelu, skąd miała doskonały widok i na wyłożony boazerią przedsionek, i na osiedlową uliczkę za narożnym oknem, którą latem przesłaniały zagony bajecznie kolorowych ostróżek.

Tereska z błogim westchnieniem zapadła się w fotelu. Skręconą nogę oparła wygodnie na podnóżku. To tu przysiadali, będąc dziećmi, ilekroć mieli do babuni jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę. Ścigali się, żeby zająć najlepsze miejsce, to pośrodku, a potem sprzeczali, kto się bardziej rozpycha. Babunia słuchała tego znad swojej robótki. „Ja tu jestem, moi złoci, ja się nigdzie nie wybieram", powtarzała.

No cóż.

Koniec końców gdzieś się jednak wybrała.

Tereska Trawna wyciągnęła telefon z kieszeni swetra. Szybki przegląd internetu ujawnił przykrą prawdę. Mogli wrócić do domu komunikacją, za przeproszeniem publiczną, tyle że z siedmioma przesiadkami. Żeby dodać podróży nieco pikanterii, między przesiadką drugą a trzecią mieliby aż trzy minuty na brawurową zmianę peronu, za to między szóstą a siódmą skromne dwie godziny i trzynaście minut. Do celu dotarliby jutro. A najlepiej by było, gdyby wyruszyli wczoraj.

Cóż. Jeżeli Tereska jeszcze utrzymywała przy życiu jakieś złudzenia, że spędzi te święta w swoim domu, to właśnie ostatnie z nich wyzionęło ducha, rzężąc przy tym cichuteńko.

Na taplaniu się w rozpaczy przegryzanej kasztankiem zastały ją Krystyna z Aliną, obie już w strojach roboczych.

– Ja po obrusy – objaśniła krótko Alina i skierowała się prosto do starego kredensu w kącie pomieszczenia.

– A ja po informacje – dorzuciła Krystyna. Z gumowymi rękawiczkami w garści przycupnęła na skraju podnóżka i wpiła w bratanicę zaniepokojony wzrok. – Słuchaj, to prawda? Rozstałaś się z Andrzejem?

– A żeby je jasna cholera… – Tereska wygasiła telefon z takim impetem, że mało jej obudowa nie pękła w dłoniach. – NIE, NIE ROZSTAŁAM SIĘ Z ANDRZEJEM. Znaczy… no. Andrzej ma… Zapalenie pęcherza ma. Bierze antybiotyk i sika chyba co pięć minut, modląc się o zmiłowanie. Musiałabym chyba stawać co dziesięć kilometrów, żeby z nim tu dojechać, a zważywszy mój obecny poziom stresu, któreś z nas mogłoby tego nie przeżyć!

– Pierwszy trup i tak już padł – przypomniała Krystyna.

– Czyli na jedno wyszło… Ona serio poprawia po tobie te firanki?

Zagajona Alina uniosła brew.

– Weź mnie nie rozśmieszaj. Rok w rok od kilkunastu lat tłumaczę, że nie, nie rozwieszę jej firanek, choćbym się skichała, bo nawet z drabiny nie sięgam tu do żadnego karnisza.

– Oj tam, oj tam. – Krystyna wzięła się pod boki. – Kto chce, szuka sposobów, kto nie chce, szuka powodów!

– A pewnie! – przytaknęła Tereska. – Jak Alina przestanie w końcu szukać wymówek i się postara, to na bank urośnie dwadzieścia centymetrów. A, co mi tam. Dwadzieścia pięć!

No, Alina. Skup się!

– Już się rozpędzam – zapewniła Popiełowska, otwierając dolne drzwiczki kredensu, za którymi piętrzyły się starannie złożone obrusy w każdym możliwym odcieniu bieli. – Mało kapci nie zgubię.

– No dobra, to kto rozwiesza te firanki, że je potem trzeba poprawiać?

– Marek przecież, a kto? Marszczy firanki jak zawodowiec. Tylko ani słowa Wandzie, bo znów zbiorę po uszach, że się biednym mężem wyręczam.

– Rany boskie… – westchnęła Tereska i na moment przymknęła powieki. – Moje pierwsze wspólne święta z ciotką od ćwierćwiecza jeszcze się nawet nie zaczęły, a już mam ochotę uciec stąd z krzykiem. Jak ty to wytrzymujesz tak rok w rok?

– Mam swoje sposoby – odparła wymijająco Alina.

– Podzielisz się?

Drobna dłoń Aliny zastygła na moment na gładkości obrusu, po czym sięgnęła głębiej w czeluść kredensu i postawiła na stoliku przed Tereską sporą, acz zgrabną butelkę z ciemnego szkła, bez etykiety.

– Proszę bardzo.

– To chyba nie nerwosol, co? – zapytała Trawna z zaciekawieniem.

– Blisko. Nalewka kawowa domowej roboty. Według sekretnego przepisu babuni Sławy… niech jej ziemia lekką będzie.

– Rozumiem – przyznała Tereska. – Nie popieram, ale rozumiem.

– No wiesz! – Krystyna skrzywiła się z delikatnym potępieniem. – Alkohol to nie jest rozwiązanie.

– A spadaj na drzewo – odparowała życzliwie Teresa. – Takaś mądra, bo tobie się trafił potulny Baranek bez rodziny w pakiecie. Nie wiesz, jak to jest się użerać z teściową.

– Och, no już bez przesady. Wanda chyba nie jest taka najgorsza, żeby ją trzeba było zapijać.

– Ale znieczulić się lekko nigdy nie zaszkodzi. Mam teściową, mówię z doświadczenia.

– Cóż, być może. – Krystyna wzruszyła ramionami. – Nie znam twojej teściowej.

– A kojarzysz może moją matkę?

– Ha. Też fakt.

– Spokojnie, Kryśka, ty się o mnie nie martw. – Alina wyciągnęła jeszcze trzy kieliszki, po czym zamknęła drzwiczki. – Już i tak wszystko robię nie tak. Nie tak wyglądam, nie tak gotuję, nie tak składam ręczniki, nie tak karmię jej syna, nie tak wychowuję jej wnuczkę. Nawet urodziłam nie tak. Mogę zostać pijaczką do kompletu, czemu nie.

– Ale po co ty to sobie w ogóle robisz? Bo nie rozumiem. Ja bym takiej teściowej pokazała drzwi od drugiej strony.

Alina nic nie odpowiedziała, jedynie uśmiechnęła się do siebie, rozlewając kawówkę do trzech kieliszków. Krystyna nadal nie rozumiała, za to Tereska załapała w mig, o co chodzi. Bądź co bądź sama nie takie rzeczy robiła z myślą o Andrzeju.

– Gdyż Marek – wyjaśniła zwięźle ciotce. – Chodzi o Marka.

– Oczywiście, że o Marka. Marek kocha matkę, chociaż to… trudna miłość, a ja kocham Marka, zatem koniec tematu – podsumowała Alina. – Okej, przyznaję uczciwie, Wanda mi nigdy żadnej realnej krzywdy nie zrobiła. Tak, truje odwłok, że uszy więdną, mózg puchnie, ale ja też już nie mam dwudziestu lat, nauczyłam się nie słuchać. Na jej szczęście od głupiego

gadania jeszcze nikomu język nie usechł, więc niech sobie truje na zdrowie. – Uniosła kieliszek w międzynarodowym geście toastu. – Markowi też truje, żeby nie było, że tylko mnie się tak czepia. A ja… – Urwała nagle i zerknęła kontrolnie do kieliszka, jak gdyby szukała w resztce nalewki nie tylko ukojenia, lecz także odpowiedzi. – Okej, ale to zostaje między nami? Tak? TAK?

Tereska z Krystyną przytaknęły energicznie, że no tak, oczywiście, no przecież! Co się wydarzyło w babskim kręgu, w babskim kręgu pozostaje, co zostało przypieczętowane szybką dolewką trunku.

– No więc jak my tu przyjeżdżamy – zaczęła zarumieniona Alina, wciąż z lekkim wahaniem – i ja się tak nasłucham tego jej trucia, to potem… Jak potem wracamy do domu, to jestem taka… taka przeszczęśliwa, że Marek wdał się w swojego ojca, a nie w matkę, że… że aż… no.

– NO BEZ JAJ! – poniosło się po saloniku, kiedy Tereska z Krystyną w końcu załapały przekaz.

– Boże, wreszcie to z siebie wyrzuciłam. – Rumieniec na twarzy Aliny przeszedł z delikatnego różu w czerwień. – Nie wiem, słuchajcie, może ze mną jest coś nie tak…? Że mnie to kręci?

– Nie no, znam gorsze przypadki… – powiedziała Krystyna pocieszająco.

– I Marek się nie zorientował? – dopytywała Tereska, również z wypiekami, bo babunia nalewki istotnie pędziła uczciwe. – Nie zauważył tej, no, korelacji? Matka truje dupę, seks stulecia mieć będziesz?

– Nie wiem!!! – wydusiła z siebie Alina, krztusząc się własnym śmiechem. – Przysięgam, że nie wiem! Chociaż… chociaż to on zwykle daje sygnał do wyjścia. I to raczej tak prędzej niż później…

– Rany boskie… – mruknęła Krystyna i chyba uznała, że alkohol może nie rozwiązuje problemów, ale czasem nie zawadzi, bo jednym haustem osuszyła swój kieliszek.

– Logiczne. – Tereska Trawna z namaszczeniem pokiwała głową. – On też musi wyjść, żeby dojść.

– Zazdrościsz, bo sama nie dojdziesz.

– Na pewno nie normalnie!

Tego już żadna nie zdzierżyła. Wybuchły takim śmiechem, że zadźwięczały wszystkie szybki w kredensie, aż Tereska przez chwilę miała wrażenie, jak gdyby babunia wtórowała im z zaświatów.

Cóż, nalewka była pyszna, butelczyna spora, a Kryśka z Aliną cudownie normalne. Może jednak nie będzie tak źle, może jakoś przetrwa te rodzinne święta z zaskoczenia…

ROZDZIAŁ | 10

Teresce nadal szumiało przyjemnie i w głowie, i w duszy, kiedy w celach badawczych rozsiadła się na podłodze w przedsionku. Już samo przejście ze wsparcia kulą ortopedyczną do klęku zajęło jej kilka minut, a co dopiero rozgryzienie, jak się przesuwać z nogą usztywnioną bandażem, oszczędzając sobie przy tym doznań bólowych. W rezultacie doszła do optymistycznego wniosku, że do świąt więcej niż przedsionka zapewne i tak nie obskoczy. Ale przynajmniej była szansa, że ciotka Wanda przez ten czas nie będzie jej zawracała odwłoku.

– Co ty robisz? – usłyszała naraz męski głos. Zobaczyła nad sobą Marka. Wpatrywał się w kuzynkę z głębokim zwątpieniem, choć nie potrafiła oszacować, w co dokładnie powątpiewał: jej poczytalność czy talent do operowania szmatą po powierzchniach płaskich. Gdyby ktoś pytał, na jego miejscu obstawiłaby ostre niedobory na obydwu polach.

– Możesz strzelać – odparła beztrosko. – Opcja a, prowadzę badania terenowe; be, szukam poniemieckich skarbów albo ce, przymierzam się do pucowania podłogi.

– Na głowę upadłaś?

– No… tak. Owszem. Między innymi.

– Ty weź się nie wydurniaj.

– Ależ ja się nie wydurniam – zapewniła Tereska. – Ogółem nie migam się z pomocą jako taką, choć do mycia podłóg na klęczkach mam akurat takie warunki jak do kankana. A zapał jeszcze mniejszy. Tyle że twoja matka jak zwykle się uparła i jak zwykle nie słucha żadnych racjonalnych argumentów. Ma być tak, jak ona chce, i już. Więc im prędzej utwierdzę ją w przekonaniu, że nie nadaję się do operowania szmatą, tym lepiej dla wszystkich. Tu mi, na przykład, zejdzie tak z pół dnia. Cały, jeśli się przyłożę.

– To się chyba nazywa sabotaż – wytknął jej Marek.

– Ty mówisz sabotaż, ja mówię implementacja zaawansowanych strategii w zarządzaniu zasobami ludzkimi – wyłożyła gładko Tereska. – Oraz stosowanie przeliczania powierzchni i proporcji w życiu codziennym. Albo sabotaż. Tak. Sabotaż w sumie też pasuje.

– Mówię, żebyś się nie wydurniała – powtórzył Marek. – Tyle. Ja to przecież zrobię. No co tak patrzysz? Wstawaj z tych klęczek, zanim drugą nogę skręcisz.

– Wstałabym, gdybym… gdybym… do jasnej cholery, przez ciebie zaczynam trzeźwieć!!!

Marek przewrócił oczami i nachylił się, żeby wziąć kuzynkę pod łokieć i dźwignąć z tych skomplikowanych klęczek, gdy naraz tuż za jego plecami zaterkotał dzwonek. Zrezygnowawszy chwilowo z dżentelmeńskich porywów, poszedł otworzyć.

– Dzień dobry – przywitał się z nim mężczyzna w długim dwurzędowym płaszczu. Na głowie miał grubą czapkę z pomponem, mocno kontrastującą z pozostałymi komponentami

wizerunku człowieka poważnego, acz bez wątpienia ciepłą. – Czy zastałem może panią Wandę?

– Proszę. – Marek cofnął się o krok, robiąc przejście. – Mama jest w kuchni.

– Dziękuję, dziękuję. Dzień dobry. – Mężczyzna natychmiast ściągnął czapkę i skłonił się z galanterią wciąż klęczącej na podłodze Teresce, a potem wrócił spojrzeniem do Marka. – Przepraszam, ale… gdyby pan mógł mnie…

– Co?

– Pokierować.

Marek uniósł rękę, żeby spełnić prośbę przybysza – i tak już został. Na jego twarzy powoli, acz skutecznie rozlał się wyraz. Czego dokładnie? Tego Tereska nie potrafiła określić, nawet mgliście.

– Ej. EJ. Marek! Ty masz wizję czy wylew? – wyszeptała z poziomu podłogi.

Zmieszany przybysz strzelał wzrokiem to na Marka z wyrazem, to na klęczącą Tereskę, aż tu nagle znieruchomiał z rozdziawionymi ustami i bezbrzeżnym zachwytem w oczach. Gdyż oto w przedsionku objawiło się zjawisko.

Po porannych mdłościach nie pozostał żaden ślad; niosąca z głównego strychu naręcze girland ze złotej metalizowanej folii Agniesia znów prezentowała się nienagannie – tym razem w luźnym swetrze z dłuższym tyłem i dżinsach podkreślających jej zgrabne nogi. Jasne włosy zebrała w warkocz i upięła w koronę, policzki musnęła rozświetlaczem. Cała była w złotym brokacie, który przy najmniejszym poruszeniu sypał się ze świątecznych łańcuchów.

– Cześć, Aguś… – wyszeptał błogo przybysz, wpatrując się w nią niczym w metr pięćdziesiąt trzy cudu objawionego. Albo gwiazdkę, która raczyła spaść z nieba, by rozświetlić ten ziemski padół swym łagodnym blaskiem.

Delikatnie zarumieniona od wysiłku Agniesia rozchyliła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążyła. Ciotka Wanda była może niska i krępa, za to niewywrotna i umiała przeć przed siebie jak taran, zwłaszcza gdy w grę wchodziły obowiązki. Nie bacząc na protesty córki, przepchnęła się na pierwszą linię i w mgnieniu oka przejęła inicjatywę.

– Przemciu! A ciebie co tu sprowadza?

– Pani Wando. – Przybyły Przemcio ukłonił się jak uczniak, chociaż linia czoła zdradzała, że etap walki o trójczynę ze sprawdzianu z fizy miał już dawno za sobą. – Przepraszam, że tak bez zapowiedzi…

– A pan to kto? – przerwał mu Jan Jakub, który szedł za swoją żoną, dzierżąc karton z pozostałymi ozdobami oraz osobiste oczekiwania. Nie podobał mu się ten łysol i gdyby dało się przesylabizować „kto”, najlepiej z pogardą, Jan Jakub niewątpliwie dokonałby teraz tego fonetycznego cudu i zapisał się złotymi zgłoskami w dziejach gramatyki opisowej języka polskiego.

– No to jest Przemcio, przecież wiesz – wyjaśniła usłużnie Wanda. – Syn tej mojej koleżanki, Elizy. Tej z koła gospodyń podmiejskich. Wejdź, Przemciu, wejdź. Zjesz coś?

– Pani Wando, przepraszam, ale przyszedłem tu tak bardziej oficjalnie. Państwo pozwolą. Przemysław Jończy, notariusz – przedstawił się i po tych słowach wziął głęboki wdech. – Otóż działając w zastępstwie świętej pamięci notariusza Tadeusza Popiełowskiego…

Nie dane mu było dokończyć tej myśli, bo w ułamku sekundy w przedsionku i okolicach podniósł się tumult nie z tej ziemi. Wszyscy mówili naraz, jeden przez drugiego, ściągając pozostałych Jędrzejczyków wraz z przyległościami z najodleglejszych zakątków

domu. Nawet Mała Ola raczyła się zjawić, aczkolwiek nie wyglądała na szczególnie uszczęśliwioną tym faktem. Jak na jej gust w tym domu było stanowczo za dużo zamieszania. I korytarzy. I ludzi. Zwłaszcza niektórych.

– PAŃSTWO POZWOLĄ!!! – Przemysław Jończy przekrzyczał z trudem to rodzinne zbiegowisko, starając się zachować przy tym jako taką kulturę, chociaż pot perlił mu się już na przedłużonym czole.

– Nie żebym coś sugerował – wtrącił Maciejka donośnym głosem – ale tamtemu wczoraj przerwaliście i skończyło się zgonem!

Podziałało. Zebrana w przedsionku rodzina ucichła, wpatrując się intensywnie w przybyłego i dla odmiany wciąż żywego Jończego. Który odetchnął.

– A zatem. Działając w zastępstwie świętej pamięci notariusza Tadeusza Popiełowskiego, zgodnie z nałożonymi zobowiązaniami, przybyłem, żeby odczytać państwu testament.

– To nie może poczekać? – warknął Jan Jakub. – Musimy już, teraz, zaraz? Tak między stypą a karpiem?

– Boże jedyny, karp! – zakrzyknęła ciotka Wanda. – Marek, ty musisz zaraz jechać na targ po karpia!

– Karp zaczeka – odparł sucho Marek. – Nóg raczej nie dostanie.

– Ale targ zamkną!

– Nie zamkną.

– Karpia wyprzedadzą!

– Nie wyprzedadzą, mamo, to nie osiemdziesiąty piąty.

– Zrobisz, jak uważasz – wtrącił Jan Jakub wciąż z wyżyn schodów – ale miej świadomość, że ja karpia z marketu do ust nie wezmę.

– Tak z czystej ciekawości zapytam – wysyczała do niego Tereska. – Ty się taki urodziłeś czy brałeś korepetycje?

– Nałożone zobowiązania natury prawnej i finansowej – podjął Jończy rzeczowym tonem, jak gdyby liczył, że w ten sposób zapobiegnie eskalacji wzbierającego konfliktu międzyludzkiego – obligują mnie do odczytania tego testamentu po pierwsze, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od pochówku Przybysławy Jędrzejczyk z domu Wolniak, po drugie, w obecności następujących osób: Henryk Jędrzejczyk, Krystyna Jędrzejczyk, Agnieszka Kubasiuk z domu Popiełowska, Wanda Popiełowska z domu Jędrzejczyk, Marek Popiełowski, Teresa Trawna z domu Jędrzejczyk – wyrecytował gładko z pamięci.

– Lista nieboszczyka! – pisnęła radośnie Duża Ola.

– Co proszę?…

– Listę dokładnie tych nazwisk miał przy sobie Tadeusz Popiełowski. Ten, któremu się zmarło na parkingu za sklepem – uściśliła prędko Krystyna. – Nie ten nasz.

– A tak, tak. Wiem. Dlatego tu jestem. Jak już wspominałem, działam w zastępstwie świętej pamięci Tadeusza Popiełowskiego. Co w zaistniałej sytuacji nie byłoby możliwe, jako że oryginał testamentu stanowi obecnie dowód rzeczowy w sprawie. Lecz z uwagi na nadzwyczajne okoliczności, zobowiązania prawne oraz pewne… wzajemne przysługi policja zgodziła się udostępnić mi urzędowo poświadczoną kopię dokumentu znalezionego przy świętej pamięci Tadeuszu Popiełowskim. A zatem, aby niezbędnym formalnościom stało się zadość… Przepraszam, czy możemy gdzieś usiąść?

Przedyskutowawszy szybko sprawę, wszyscy przemieścili się z przedsionka do jadalni, gdzie po małym zamieszaniu z wtarabanieniem Tereski przez pół podestu i dwa ostre zakręty nastąpiło zajęcie miejsc oraz okazanie dokumentów tożsamości. Gdy zostało już ustalone ponad wszelką wątpliwość, że wszyscy widniejący na liście są zarazem żywi i obecni, co zostało skrzętnie zaprotokołowane, Przemysław Jończy wyciągnął papierową teczkę, a z niej kopię dokumentu i zaprezentował wszem wobec pieczęcie i podpisy poświadczające zgodność z oryginałem.

– Czy… czy mogę? Tak? Dobrze. A zatem: „Czarny Bór, dnia dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku" – zaczął uroczyście. – „Testament z poleceniem. Ja, niżej podpisany Alfred Henryk Jędrzejczyk…".

Tym razem notariusz nawet nie próbował walczyć z żywiołem, który rozpętał się w czterech ścianach jadalni. Po prostu zaczekał, aż członkowie rodziny przestaną się nawzajem przekrzykiwać i zechcą wysłuchać ciągu dalszego.

– Przepraszam, sądziłem, że państwo wiedzą – przemówił ponownie, gdy wokół stołu znów zapanowała względna cisza, teraz podszyta jednak namacalnym wyczekiwaniem. – To nie jest testament pani Przybysławy Jędrzejczyk, tylko jej świętej pamięci małżonka. Alfreda Jędrzejczyka.

– Tak, znamy gościa – uspokoiła go Krystyna.

– A testament babuni? – zapytała Tereska.

– Nic mi nie wiadomo na temat ewentualnego testamentu pani babuni. Znaczy, pani Przybysławy Jędrzejczyk. Czy mogę kontynuować? To dość… ważne.

Jedenaście głów skinęło zgodnie.

– „Ja, niżej podpisany Alfred Henryk Jędrzejczyk – podjął Jończy – zamieszkały w Czarnym Borze przy ulicy Zacisze dwanaście, legitymujący się dowodem osobistym o numerze a pe dwa zero dwa osiem zero jeden dziewięć oświadczam, iż do spadku w postaci domu jednorodzinnego mieszczącego się w Czarnym Borze przy ulicy Zacisze dwanaście powołuję najstarszego żyjącego potomka zrodzonego ze związku małżeńskiego, jaki zawarłem dnia drugiego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku z Przybysławą Jędrzejczyk z domu Wolniak, co robię pod następującymi warunkami. Po pierwsze, że przekazanie wspomnianego spadku nastąpi dopiero po śmierci Przybysławy Jędrzejczyk z domu Wolniak. Po drugie, że do tego czasu spadkiem zarządzać będzie Przybysława Jędrzejczyk z domu Wolniak, a spadek ten nie zostanie podzielony ani spieniężony do momentu upublicznienia poniższego testamentu. Po trzecie i ostatnie, że Przybysława Jędrzejczyk z domu Wolniak do tego czasu, to jest do swojej śmierci, pozostanie wdową. Gdyby jednak wstąpiła w nowy związek małżeński, całość spadku należy niezwłocznie przekazać na rzecz Domu Weterana Walki i Pracy".

– Co?…

– Nie no, to są jakieś dyrdymały!

– Weterana czego?

– „Jednocześnie – kontynuował Jończy – powołuję na wykonawcę testamentu Tadeusza Konstantego Popiełowskiego, notariusza, syna Longina i Gertrudy z domu Ratajczak, bądź, w przypadku jego śmierci, osobę przez niego wskazaną"… to właśnie ja, „i zobowiązuję go, aby zapisy poniższego testamentu upublicznił w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od pochówku Przybysławy Jędrzejczyk z domu Wolniak, nie wcześniej i nie później, w obecności

wszystkich żyjących zstępnych Przybysławy Jędrzejczyk z domu Wolniak, do drugiego pokolenia. Taka jest moja wola, którą wyraziłem świadomie". Podpisano własnoręcznie: „Alfred Jędrzejczyk" – zakończył notariusz i odłożył pożółkły dokument na obrus.

Zgromadzona przy stole rodzina w długim, głębokim milczeniu mierzyła się z informacjami, jakie na nią spadły. Dopiero Krystyna jako pierwsza przemówiła ludzkim głosem:

– Czy to jest w ogóle zgodne z prawem?

– A skąd! To absurd! – orzekł kategorycznie Jan Jakub. – Ab-surd! To się w żadnym sądzie nie utrzyma. Jestem prawnikiem i wiem, co mówię.

– Prawnikiem? – Siedząca naprzeciwko niego Tereska prezentowała sobą niewinność doskonałą, istny wzorzec z Sèvres. – Ty patrz. A ja zawsze myślałam, że administratywistą.

– Ukończyłem wydział prawa i administracji, zatem jestem prawnikiem! To chyba logiczne.

– A ja finanse i rachunkowość, ale to nie robi ze mnie ministra finansów…

– Szczerze mówiąc, sam jestem trochę w kropce – przyznał Jończy, starannie udając, że nie wyczuwa narastającego napięcia. – Obecnie działamy na podstawie kodeksu cywilnego z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego, oczywiście z późniejszymi zmianami, a ten testament jest wcześniejszy. Nie znam się tak dokładnie na przepisach, które wtedy obowiązywały, muszę jednak założyć, że… cóż. Muszę założyć, że Tadeusz Popiełowski wiedział, co robi, potwierdzając testament notarialny tej treści.

– Ale czy tak można? – dopytywała Krystyna. – Tak stawiać warunki, że to ma być teraz, to potem, a to nigdy?

– Jak najbardziej – potwierdził notariusz. – To tak zwane polecenie testamentowe. Nakłada na wskazaną osobę obowiązek konkretnego działania albo wprost przeciwnie, obowiązek zaniechania jakiegoś działania. Również konkretnego.

– CO?

– Może ja spróbuję ująć to tak bardziej po ludzku – zaoferowała Tereska. Na co dzień siedziała po uszy w ustawach, rozporządzeniach i innych formach urzędniczo-legislacyjnego bełkotu i była mniej więcej oswojona. – Testator stawia warunek. Przykładowy Iksiński odziedziczy po nim spadek, jeśli najpierw zrobi coś, na czym zależało testatorowi. Nie wiem, rozsypie jego prochy nad Amazonią, przeprowadzi się do Białegostoku albo zatańczy kankana na placu Zamkowym, ubrany w strój bawarskiej dojarki. Albo odwrotnie, odziedziczy spadek, jeśli czegoś NIE zrobi, na przykład…

– Aż do śmierci nie wyjdzie powtórnie za mąż – dokończyła Krystyna głucho.

Przemysław Jończy skinął głową.

– Tak, tak to mniej więcej działa. Z tym że ta wskazana w poleceniu osoba niekoniecznie musi być sama powołana do spadku – podkreślił. – W tym przypadku nie jest, pani Przybysława została pominięta w testamencie. Niestety, nie potrafię powiedzieć dlaczego.

ROZDZIAŁ | 11

Pragnąłbym zwrócić państwa uwagę na jeszcze jeden szczegół – powiedział Przemysław Jończy, zbierając się do wyjścia. Formalnościom stało się zadość, dokumenty spoczęły w teczce. Dalszy ciąg nie wymagał już oficjalnej obecności notariusza, wprost przeciwnie. Jończy za żadne skarby nie chciał być świadkiem tego, co teraz nastąpi w tej rodzinie. Jeszcze mu potem każą zeznawać, wskazywać potencjalnego sprawcę. Nie-nie-nie. On wychodzi. – Spadek został zapisany najstarszemu żyjącemu potomkowi Alfreda Jędrzejczyka i Przybysławy Jędrzejczyk z domu Wolniak. Tak to właśnie ujęto.

– Czyli ciotce Wandzie – podsumowała Tereska.

– Ale gdyby pani Wanda nie żyła – zauważył Jończy – wówczas, wedle tego zapisu, spadkobiercami nie zostaliby jej zstępni, jak ma to miejsce w prostym dziedziczeniu ustawowym, tylko następny w kolejności najstarszy żyjący potomek. Albo pan Henryk Jędrzejczyk, albo pani Krystyna Jędrzejczyk. Można oczywiście próbować to podważyć w sądzie, ale… marne szanse.

– Czyli wujek Henryk i ciocia Krystyna nie dziedziczą nic? – Duża Ola patrzyła po twarzach dorosłych, szukając odpowiedzi. – To chyba takie… średnio sprawiedliwe.

– Mogą wystąpić o przysługujący im zachowek, ponieważ nie zostali wydziedziczeni, ale poza tym… – Jończy urwał i rozłożył ręce.

– Święta wola nieboszczyka – podsumował Jan Jakub uroczyście, uznając temat za zakończony. – To jest mamy dom, jak zawsze powtarzam.

– Ale to i tak dziwne – stwierdził Maciejka, kiedy notariusz pożegnał się ze wszystkimi i udał w stronę wyjścia, kierowany przez Marka. – To całe „potomek zrodzony ze związku małżeńskiego". Po co to tak komplikować? Nie prościej napisać, że dziedziczą dziecko a, dziecko be lub dziecko ce, sprawdzić, które aktualnie żyje i jest aktualnie najstarsze?

– Ogółem tak, aczkolwiek nie – zaczął Henryk, nie docenił jednak ciekawości wnuka.

– Czemu nie?

– Nasz ojciec zmarł przedwcześnie – wyjaśniła Krystyna. – Kiedy spisywał ten testament, był mężczyzną w sile wieku i nie mógł wykluczyć, że jeszcze nie doczeka się jakiegoś dziecka poza Wandą i Henrykiem. Widać założył, że tak. No i założył słusznie, bo urodziłam się ja. Jestem pogrobowcem – dodała, uśmiechając się do chłopaka prawie że przepraszająco.

– Okeeej… o tym nie wiedziałem. Pogrobowiec to coś jak templariusz?

– Ogółem tak, aczkolwiek nie – powtórzył Henryk. – Słowo, którego szukasz, to bożogrobca i choć brzmi podobnie, odwołuje się do innego zestawu skojarzeń natury historycznej. Otóż kiedy w roku tysiąc dziewięćdziesiątym piątym Gotfryd z Bouillon odpowiedział na apel z Clermont…

– To znaczy – Krystyna dynamicznie weszła bratu w słowo – że mój ojciec zmarł, zanim się urodziłam.

– A! No to ma więcej sensu niż templariusze w rodzinie – przyznał Maciejka. – Ale wiedział, że się urodzisz, tak?

– Siłą rzeczy nie pamiętam – zauważyła słusznie Krystyna. – Choć… wydaje mi się, że tak? Mama nigdy nie wspominała, żeby to przed nim jakoś ukrywała. – Odwróciła się do brata.

Henryk Jędrzejczyk poskrobał się za uchem.

– To nie jest takie proste. Może i wiedział, może nie wiedział… Po tylu latach trudno określić, nie tylko z perspektywy dziecka. Bądź co bądź psychologia rozróżnia tak zwane fałszywe wspomnienia od wspomnień prawdziwych, kiedy to pamięć generatywna, sięgając do wiedzy o typowym przebiegu pewnych sytuacji…

– Czyli nie wiadomo – podsumowała Tereska bez sentymentów.

– Myśmy o takie rzeczy nie pytali – przyznała ciotka Wanda, skrępowana faktem, że rozmowa zeszła na temat pożycia małżeńskiego jej rodziców. – A wtedy się tak szybko nie mówiło, no bo to różnie mogło być. Mamusia też nie była już młódką, nikt się nie spodziewał, że jeszcze… że może jej się przydarzyć. Aż nagle tatusiowi się zmarło. To był dla niej wstrząs. Wielki wstrząs. Boże ty mój… – Otarła oczy skrajem fartucha, a i tak, gdy spojrzała na młodszą siostrę, szkliły jej się od łez. – Ja tak sobie zawsze myślę. Może gdyby nią tak nie wstrząsnęło, to ty byś była normalna?

Tereska dałaby sobie rękę uciąć, że w tym momencie Krystyna drgnęła. Niemal niezauważalnie, jak gdyby nie było to jej pierwsze rodeo, jak gdyby już wcześniej siedziała w tym siodle i walczyła o przetrwanie, chwytając się choćby powietrza.

– Mnie to nadal brzmi dziwnie… – upierał się Maciejka. – Cały ten testament.

– A może dziadunio tak się zafiksował, bo miał jakieś nieślubne dzieci? – strzeliła tymczasem Duża Ola. – Może chciał to ukryć przed babunią i stąd taki dziwny zapis?

– Albo – podjął Maciejka z błyskiem w oku – albo babunia się o tym dowiedziała, zrobiła mu jesień średniowiecza z części wiadomej i dziadunio zgodził się tamte nieślubne dzieci po tajniacku wydziedziczyć, a majątek migusiem zapisał dzieciom z legalnego małżeństwa, zanim babunię już całkiem poniosło z argumentami.

– Ja sobie wypraszam! – zagdakała ciotka Wanda niczym kwoka na widok kołującego jastrzębia. – Mój tatuś był człowiekiem wysokiej moralności! Wysokiej!

– Ależ my tego nie kwestionujemy, babciu – zapewniła Duża Ola.

– Mój tatuś walczył podczas oblężenia Berlina! Bohatersko walczył!!!

– O! A po której stronie? – wciął się Maciejka z pytaniem, od którego Henryk znowu się ożywił.

– Ciekawe pytanie. I bardzo zasadne. Bardzo! Otóż w chwili wybuchu drugiej wojny światowej ziemie, na których się obecnie znajdujemy, wchodziły w skład Trzeciej Rzeszy. Jeszcze na początku lat pięćdziesiątych w Czarnym Borze, niegdyś Schwarzenwaldau, żyło wielu niemieckich fachowców, inżynierów chociażby, ale też kolejarzy czy…

– Wszyscy skupiają się na mniej istotnych szczegółach – przerwał mu Jan Jakub z niesmakiem. – A mnie tymczasem zastanawia coś innego. Agnieszko, dlaczego ten mężczyzna się z tobą spo-u-fa-lał?

– Że co ze mną robił?…

– AGUŚ? A-GUŚ? A…

– CHYBA JUŻ ZAŁAPAŁA! – ryknęła Tereska, której powieka już drgała razem z ręką. Nadmiar doznań i niedobór kasztanków dawały o sobie znać coraz wyraźniej.

– Och, to. – Agniesia wdzięcznie machnęła dłonią. Zwerbalizowana i przesylabizowana zazdrość męża wyraźnie jej pochlebiała. – Bo myśmy się kiedyś SPOTYKALI. Przemek i ja.

– Ja sobie nie przypominam – wtrąciła ciotka Wanda z urazą.

– Oczywiście, że mama sobie nie przypomina. Myśmy się spotykali POTAJEMNIE. A wy dwie? – zwróciła się do Krystyny i Tereski. – Takie byłyście zajęte tym wymykaniem się przez okno, że nie miałyście POJĘCIA, co się dzieje za waszymi plecami. Bo ja się TEŻ wymykałam – wyznała z nieskrywaną dumą Agniesia.

– Którędy?!

– Chciałybyście wiedzieć.

Była bardzo zadowolona, że po takich sensacjach cała uwaga zebranych skupia się teraz na niej. Niestety, wszystko popsuł Marek, który zdążył wrócić do jadalni i podchwycić, o czym mowa.

– No jak? Przez klapę w podłodze – zdradził bez żadnych ogródek.

– Jaką znów klapę w podłodze? – zapytał Jan Jakub.

– Drewnianą taką. Podnoszono-opuszczaną. Część tego małego stryszku, na którym teraz śpicie, ta bliżej drzwi, znajduje się nad chlewikiem, gdzie śpi Tereska. A część w głębi sięga dalej, już nad stodołę. Stodoła przylega do chlewika, mają wspólną ścianę. Dlatego z jednej strony stryszku podłoga tak pracuje, a zimą ciągnie jak z chłodni.

– No i co w związku z tym?

– Tam się kiedyś przechodziło bezpośrednio ze stodoły na górę, na stryszek. Przez klapę właśnie. Pamiętam, bo jeszcze żeśmy z wujkiem Heńkiem wnosili tamtędy opony do wartburga. I oni tamtędy łazili, Agniesia i ten jej dochodzący absztyfikant.

– Agniesiu! No wiesz?! – Wanda nie posiadała się z oburzenia. – Przecież… przecież ty jesteś w ciąży!!!

– Wtedy raczej nie była… – zauważyła Krystyna dość słusznie, lecz ani jej starsza siostra, ani siostrzenica, ani też mąż siostrzenicy nie zwrócili na nią uwagi. Jan Jakub kipiał i fukał, Wanda trwała w zgorszeniu, Agniesia zaś trzepotała rzęsami, pławiąc się w emocjach i zainteresowaniu.

W tych okolicznościach szorowanie na kolanach hektarów podłogi nagle wydało się Teresce nie tyle torturą i okrucieństwem, ile okazją do błogiego relaksu ze szmatą z dala od rodzinnych dramatów i dramacików, które w żadnym stopniu jej nie dotyczyły. Wyleciała z jadalni niemalże na skrzydłach. Ledwie dokuśtykała do przedsionka, gdy kilka kroków za nią objawił się Maciejka.

– Mamo, a ty byś tak zrobiła? – zapytał z marszu. Coś go wyraźnie gryzło.

– Tak, czyli jak?

– Że zapisałabyś wszystko jednemu dziecku, a drugiemu figę? Bo ja tego nie ogarniam.

Tereska Trawna nabrała głęboko powietrza. Tam, przy stole, postanowiła nie zabierać głosu, chociaż musiała się solidnie ugryźć w język. Bądź co bądź, była tu tylko chwilowym, nie tak do końca chcianym gościem. Teraz ponownie przejechała po nim zębami, żeby nie powiedzieć zbyt wiele, bo przed oczami stanęła jej twarz ciotki Krystyny sprzed ledwie parunastu minut. Wpierw porażona przebłyskiem zaskoczenia, zaraz potem ściągnięta bolesną

świadomością, że stało się coś, co już się nie odstanie. Że pewne drzwi zamknęły się na zawsze.

– Nie, synu, ja bym tak nie zrobiła – odparła wreszcie Tereska, nie wdając się w szczegółowe rozważania. – Ale ja to ja. Dziadunio Fredek widać uważał inaczej i tak też zrobił.

– Ale to niesprawiedliwe!

– Jak to raczył ująć Jan z Jakubem, święta wola nieboszczyka. Dziadunio miał prawo obdarować…

– Tak, ale nie wykluczyć!

Tereska znieruchomiała, uderzona nagłą myślą niczym obuchem. Maciejki nie wzburzyło to, że jednemu z rodzeństwa przypadało wszystko, lecz fakt, że pozostała dwójka nie dostała nic. Niby inny dobór czasownika, niewielka różnica, ot, drobne przesunięcie akcentów. Ale tak właśnie był skonstruowany testament dziadunia Fredka. Nie żeby kogoś obdarować ponad miarę – tylko żeby kogoś za wszelką cenę wykluczyć. Dlaczego?

Żadne z nich nie zauważyło, że tej krótkiej rozmowie przysłuchiwała się Krystyna. Podeszła teraz do Maciejki i chciała go pieszczotliwie pogładzić po łopatce, spostrzegła jednak, że na dłoniach ma gumowe rękawiczki nie pierwszej świeżości. Widać nie tylko Tereska postanowiła rozładować emocje, biorąc się do zaległego sprzątania.

– Bywa i tak – powiedziała Krystyna spokojnie, lecz zarazem stanowczo, na znak, że nie zamierza więcej do tego wracać. – Chwilowo mam pilniejszy problem – zwróciła się do bratanicy. – Błagam, powiedz, że ogarniasz internet od strony technicznej.

– Obawiam się, że bardziej ogarniam szmatę, co powinno dać ci pewien ogląd sytuacji – przyznała Tereska.

– Czyli tragedia.

– W trzech aktach. Za to mój syn prawdopodobnie urodził się ze światłowodem zamiast któregoś z ważniejszych naczyń krwionośnych. Jak Maciejka ci skonfiguruje łącze, to nawet NASA będzie zazdrościć przepustowości.

Na myśl, że w ramach dobrego uczynku będzie mógł pogrzebać w ustawieniach, chłopak rozpromienił się i pognał za cioteczną babką wniebowzięty niczym labrador wabiony patyczkiem. Tereska tylko przewróciła oczami, bo cóż innego jej pozostawało? Maciejka Trawny był nieodrodnym synem swego ojca.

Tak jak Wanda była nieodrodną córką Alfreda Jędrzejczyka.

Wszyscy tak zawsze mówili, babunia, ojciec, sąsiedzi – że Wanda to cały Fredek. Jego najlepsze dziecko. Oszczędna jak on. Gospodarna jak on. Zaradna i pracowita. Jak on, wypisz wymaluj. Dziadunio Jędrzejczyk zbierał na wszelki wypadek każdą deskę, deseczkę i gwoździk, Wanda zaś gromadziła na zapas skarpetki, kalesony i prześcieradła. A do tego była wpatrzona w przedwcześnie zmarłego ojca jak w obraz, jak cielę we wrota malowane, do tego stopnia, że nawet męża wybrała sobie z podobnej sztancy. I jeszcze coś ich łączyło. Coś, o czym Tereska osobiście słyszała wiele razy z ust babuni Sławy; jak gdyby wspólny kręgosłup dwóch bliźniaczo ukształtowanych charakterów. Podobnie jak Wanda, tak i dziadunio Fredek tyranem nie był – ale wszystko zawsze musiało być tak, jak on sobie umyślił. Dokładnie tak i nigdy inaczej.

– No to będzie… – mruknęła do siebie Tereska, sunąc wzrokiem po wciąż brudnej, niewypucowanej podłodze przedsionka. – Będzie właśnie tak.

Wtem po domu poniósł się donośny trzask, po nim zaś łoskot.
A równo z łoskotem – okrzyk bólu i zaskoczenia.

ROZDZIAŁ | 12

CO SIĘ STAŁO?! – wrzasnęła Tereska, unieruchomiona z kulami na amen u podnóża felernych schodów, tych samych, z których zaledwie poprzedniego dnia tak pechowo się zwaliła. Wyciągała szyję, próbując coś dojrzeć. – Co tam się dzieje, do jasnej cholery?!

– Wujek w dziurze!!! – odwrzasnął posłusznie Maciejka z wyżyn ćwierćpiętra.

– Czekaj, czekaj, nie tak, inaczej… – dobiegł ją flegmatyczny głos ojca.

– …RWA MAĆ!!! – Marek dołączył do nich donośnie i soczyście, co było na swój sposób komunikatem uspokajającym, gdyż dowodziło, że żył.

– W jakiej dziurze?! W JAKIEJ DZIURZE?! – Tereska domagała się wyjaśnień uparcie, lecz na próżno. Wydarzenia na ćwierćpiętrze toczyły się bez jej udziału i nikt nie miał teraz głowy, żeby informować ją na bieżąco. Musiała albo cierpliwie czekać, albo przystąpić do działania.

Cóż. Tereska Trawna nie byłaby sobą, gdyby wybrała bramkę numer jeden.

Szybko oszacowała liczbę i szerokość schodów, wzięła poprawkę na ostry zakręt, podest i dalsze komplikacje natury architektonicznej. W tej części domu dziadunia naprawdę poniosło… Mowy nie było, żeby zmieściła się w tym przejściu z kulami – za to z tyłkiem już tak. Ledwo, ledwo, ale jednak. Prędko wcisnęła obie kule pod pachę, wykręciła piruet, od którego najpodlejsza baletnica dostałaby trwałej migreny, po czym opadła tyłkiem na najwyższy stopień, jakiego zdołała dosięgnąć. Zapierając się zdrową stopą i rękami, zaczęła wspinać się po schodach, szorując kulami po świętej boazerii.

Gdy spocona jak mysz w połogu dobrnęła w końcu na ćwierćpiętro, zastała tam scenę niepojętą.

Krystyna z Aliną stały z boku, obie blade i znieruchomiałe nad wiaderkiem z wodą niczym postaci ze świętych obrazów. Maciejka z dziadkiem klęczeli obok Marka, który siedział na podłodze pod wykuszowym oknem, częściowy spowity bielusieńką firanką niczym panna młoda, której wreszcie przynieśli tę suknię z welonem. Ale siedział jakoś tak dziwnie, bo ni to zgarbiony, ni to skulony, i oddychał ciężko, wyraźnie spięty. Tereska prędko dźwignęła się do pionu i nachyliła, żeby lepiej widzieć.

Prawa noga Marka niknęła w dziurze.

Tereskę przeszył zimny dreszcz. Stanowiący część wykuszu fragment podłogi zrobiony był z drewna. Bardzo starego drewna, które najwyraźniej nie wytrzymało ciężaru dorosłego postawnego mężczyzny. I pękło.

– Ostrożnie, bo to pracuje… – usłyszała cierpliwy głos ojca instruującego Maciejkę. – Tam chwyć. Tam. I spokojnie. Pod spodem masz belkę wspornikową, nie polecisz. Spokojnie.

Tereska już chciała się rzucić i odciągnąć drugorodnego jak najdalej od pułapki, która zakleszczyła jej kuzyna, zdała sobie jednak sprawę, że naruszone drewno mogłoby nie

wytrzymać jej nabytego ciężaru i wrodzonej gracji. Zresztą i Maciejka, i Henryk zachowywali spokój. Zdawali się wiedzieć, co robią. Obaj położyli się płasko na podłodze, każdy z innej strony wykuszu, jak gdyby pod sobą mieli zamarzniętą taflę wody, a nie deski, i bardzo ostrożnie pracowali nad poszerzeniem otworu na tyle, żeby uwolnić Marka.

Pomału wypuściła powietrze z płuc i odwróciła się do zastygłych kobiet.

– Co się stało? – zapytała cicho na wszelki wypadek, żeby ich nie spłoszyć.

– Myłam okna… – wybełkotała Krystyna, w oszołomieniu wpatrując się w uwięzionego siostrzeńca. Z gumowych rękawiczek, które miała na dłoniach, kapała woda.

– Markiem?!

– Nie, rękami…

– To co tam robi Marek?

– Wieszałem firanki – rzucił przez ramię do kuzynki.

Cóż, to tłumaczyło białe tumany, które kłębiły się wokół niego na podłodze.

– No to wybrałeś ciekawą metodę, nie powiem.

– Kryśka miała właśnie myć to okno, kiedy zadzwonił bieżący Baranek – pospieszyła z wyjaśnieniami Alina. Chociaż to jej mąż tkwił w nieplanowanej dziurze, nie traciła opanowania. – Chciał skonfigurować jakiś program do Wigilii, więc Kryśka poszła po laptopa. Ale coś im długo schodziło, no to wzięłam i przeleciałam raz-dwa, żeby Marek od razu zawiesił firankę. Tylko że jak stanął na tym drewnie, to ono pod nim nagle pękło…

– Pękło? Jak to pękło? Jak się programuje Wigilię? I czym, do jasnej cholery, jest bieżący baranek?! – Tereska wyrzucała z siebie pytanie za pytaniem, bo wcale nie czuła się usatysfakcjonowana, wprost przeciwnie. Nie doczekała się jednak żadnej odpowiedzi, gdyż na ćwierćpiętro wspiął się Jan Jakub. Lecz zamiast ruszyć z pomocą, przystąpił do święcenia triumfu.

– I tak to się kończy! – obwieścił na widok uwięzionego Marka. – Tak to się kończy, jak się marginalizuje, nie bójmy się tego słowa, mar-gi-na-li-zu-je potrzeby starszego człowieka. Proszę, do czego musiało dojść. Do tragedii! Już od dawna powtarzam, że tak się nie da żyć, że tu trzeba wkładu, finansowego, ludzkiego. Ale nie, każdy tu ma swoje sprawy, ma swoje życie, a stara matka niech sobie kark skręci. No i proszę. Proszę!

– A może byś tak pomógł dla odmiany, co? – podsunęła Krystyna ze złym błyskiem w oku.

Jan Jakub nic nie odpowiedział, tylko prychnął pyszałkowato, obrócił się na pięcie i zbiegł z powrotem na dół. Na tym jednak nie poprzestał – nawet tu dochodziło echo jego utyskiwań na upadek rodzinnego gniazda, wyrodne potomstwo, niedoróbki, ZUS oraz podatek od nieruchomości i wzbogacenia się.

– On się prosi… – wycedził Marek przez zaciśnięte zęby.

– Głośno i wyraźnie – potwierdziła Tereska. – Niestety, tak się pechowo składa, że oboje niedomagamy chwilowo na nóżkę, więc gada nie dogonimy. Ale jak stamtąd wyleziesz, to nie ma sprawy, ja ci rączkę rozbujam.

– Dobra! Teraz powoli, powoli…

Chwilę później Maciejka i Henryk wspólnymi siłami wreszcie wydobyli Marka z podłogi i wszyscy odetchnęli z ulgą. Ich szczęście nie trwało jednak długo – Wanda Popiełowska, zaalarmowana przez zięcia, wspięła się na półpiętro w towarzystwie

krótkowłosej kobiety. Wepchnąwszy się bezpardonowo przed Alinę, dopadła poturbowanego syna.

– A po co ty wieszałeś firanki? – ruszyła z przesłuchaniem. – Dlaczego ona się tobą wyręcza? Ona cię wykończy! Ty się mogłeś zabić, Boże drogi, to trzeba nie mieć sumienia! Wstydu nie mieć, żeby się tak wyręczać niewinnym człowiekiem!!!

Jakimś cudem Alina nie zadusiła teściowej na miejscu, chociaż wszyscy wykazaliby spore zrozumienie, a może nawet znalazłby się ochotnik, który pomógłby jej ukryć zwłoki. Zamiast tego zwróciła się do krótkowłosej kobiety:

– Bogna, mogłabyś?

Ta kiwnęła głową, że istotnie, może, i przyklękła przy Marku. Podciągnęła mu nogawkę dżinsów i w skupieniu zaczęła omacywać uwolnioną nogę.

– Uuu, taka lekko mieloneczka… – Maciejka gwizdnął pod nosem. Istotnie, połamane deski miejscami zdarły skórę do żywego.

Korzystając z tego, że uwaga wszystkich skupiała się na najnowszym poszkodowanym, Tereska nachyliła się do syna i zapytała szeptem:

– Wiem, że to głupio zabrzmi, ale… kto to jest?

– A bo ja wiem? – odszepnął. – Jakaś pani. Ale była wczoraj na stypie. I żyje!

– Kości całe, ruchomość stawu zachowana. Lekki obrzęk i powierzchowne otarcia, będziesz żył. Przemyć, zdezynfekować, opatrzyć – podsumowała Bogna i zanim uświadomiła sobie, co robi, czule poklepała Popiełowskiego po głowie. – Ach, wybacz. Odruch.

Krystyna odetchnęła i porwawszy wiaderko, wróciła do mycia okien w pozostałych pomieszczeniach. Maciejka z Henrykiem pomogli Markowi wstać, a potem sprowadzili go po schodach, chociaż opędzał się od nich, ile sił w gębie. Alina zgarnęła z podłogi kłęby firanki, bąknęła coś o przepraniu i czmychnęła, zanim jej teściowa przypomniała sobie o oburzeniu haniebną postawą synowej.

– My się chyba nie znamy – zagaiła Tereska, zanim krótkowłosa kobieta też zdążyła się zmyć.

Była dość mocnej budowy, a przy tym zadbana w sposób świadczący zarówno o sporych możliwościach finansowych, jak i zdrowym umiarze. Dobiegała sześćdziesiątki i nie zamierzała tego ukrywać ani przed światem, ani przed samą sobą.

– No jak? Nie? Bogusiu, to jest Teresa, córka Henia. A to Bogna, Henia żona. Bogna jest lekarzem – zdążyła się jeszcze pochwalić ciotka Wanda, zanim zeszła na dół, biadolić dalej nad losem syna, tak doświadczonego przez los, małżeństwo i wady konstrukcyjne podłogi.

– Lekarzem weterynarii – uściśliła Bogna, na co Tereska zgrzytnęła zębami z taką mocą, że aż jej chrupnęło w stawie. Cała ciotka, jednego nie dosłyszy, drugie zmyśli. – Przepraszam, czy… czy pani?… To jakiś problem?

– Och, nie. Nie mam nic do pani, pani Bogno – wyjaśniła prędko Trawna, zauważając konsternację w oczach dopiero co poznanej kobiety. – Ale mojego ojca chyba zaraz rozerwę na strzępy. Tak jakby zapomniał przekazać jedynemu dziecku, że się powtórnie ożenił.

– A nie, nie! To nie tak! To w ogóle… w ogóle nie tak! Tylko… – Bogna rozejrzała się nerwowo i zniżyła głos. – Tylko proszę to zachować dla siebie, dobrze? Będę zobowiązana. – Wzięła głęboki wdech, jak ktoś, kto ma zaraz skoczyć na głęboką wodę. – My z Henrykiem tak naprawdę nie jesteśmy małżeństwem.

– Nie?

– A skąd! Boże uchowaj…

– Aż tak pani nie chce za niego wychodzić? – zdziwiła się Tereska. – Nie żebym oceniała. Albo potępiała. W sumie… moja matka nie pogoniła go tak całkiem bez powodu.

– A po co? – zdziwiła się z kolei Bogna. – Pytam poważnie, po co? Mam swój majątek, dom, klinikę, całe życie. Układałam je sobie przez pięćdziesiąt siedem lat. Kocham pani ojca, pani Tereso, dobrze nam razem, ale umówmy się, ręki do tego nie przyłożył. Co ja gadam, palca! Dlaczego to on miałby odziedziczyć wszystko po mojej śmierci, a nie moja siostra i jej dzieciaki? Siostra mnie zawsze wspierała, myślą, mową i uczynkiem. Starszy siostrzeniec poszedł na weterynarię, dobrze sobie radzi… – Odetchnęła głęboko i potrząsnęła lekko głową, jakby przestawiając myśli na inny tor. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie mam nic do ukrycia. Dzieci z tego przecież nie będzie, oboje mamy już swoje lata. I swoje rodziny. To chyba normalne, że każdy grabi do siebie, żeby tę rodzinę jakoś zabezpieczyć, prawda?

– Rozumiem. – Nie był to grzecznościowy frazes, Tereska naprawdę rozumiała. – Ale dobrze, że babunia o tym nie wiedziała… Dopiero by było!

– Oczywiście, że wiedziała.

– Jak to?!

– Powiem pani więcej. To ona wymyśliła, żeby to Henryk pogadał z Wandą o tym naszym „ślubie". I tak z nią pogadał, że nic z tego nie zrozumiała i przyjęła to za fakt dokonany.

– A to jest bardzo dobra metoda! – zapiała Tereska z zachwytem. – Powiedzieć Henrykiem. On jak zacznie jedną myśl, to hamować zaczyna dopiero w okolicach siódmej, nikt za nim nie nadąży. Jak pani to wytrzymuje, pani Bogno?

– Och, zwykle od rana do wieczora siedzę w klinice, a moi pacjenci nie mówią za wiele. Dobowo to się nawet wyrównuje. Mniej więcej.

Przy tej uwadze Tereska już nie wytrzymała i wydała z siebie radosne parsknięcie. Podobała jej się ta kobieta. Przyjaciółkami na śmierć i życie raczej nie zostaną, zwłaszcza że nowa partnerka ojca zdawała się wykazywać upodobanie do ćwiczeń siłowych i budowania gorsetu mięśniowego, ale istniały spore szanse, że znajdą wspólny język.

Bogna, teraz też nieco uspokojona, przeprosiła szybko i zniknęła. Musiała dopilnować, żeby Marek dokładnie oczyścił ranę z drzazg.

Ostrożnie, żeby nie nastąpić na naruszony fragment podłogi, Tereska zajrzała do dziury. Między poszarpanymi kawałkami desek bieliła się zaspa. O ile dobrze pamiętała, gdzieś tam, pod tym śniegiem, kryły się różane krzewy tak umiłowane przez ciotkę. Umiłowane… i otoczone płotkiem z kutego żelaza.

Lodowaty dreszcz przeszedł jej po plecach, bo dotarło do niej, że ciotka Wanda miała rację. Gdyby Marek nie utknął, tylko przebił deski i spadł, naprawdę mógłby się zabić.

PIĄTEK

ROZDZIAŁ | 13

Późnym czwartkowym popołudniem śnieg przestał sypać, a wraz z zapadnięciem zmierzchu nadciągnął mróz. Może nie trzaskający, ale na tyle solidny i uczciwy, że temperatura w chlewiku osiągnęła wartości prawdopodobnie nieludzkie. Wskutek intensywnego dnia Tereska Trawna padła jednak jak pies Pluto i miała w nosie lokalne przymrozki. Symulowanie porządków okazało się prawie tak samo wyczerpujące jak rzeczywiste pucowanie podłóg, zwłaszcza w warunkach wzmożonego napięcia emocjonalnego. Ciotka Wanda to biadała i rozdzierała podomkę nad smutnym losem syna swego jedynego, to znów utyskiwała na wszystko i wszystkich, że nie tak, nie tędy, mniej, bardziej, inaczej, i przeganiała ich niczym pies pasterski stado bezmyślnych owiec. Marek warczał na lewo i prawo, że noga mu przecież nie odpadła i wszyscy mają się od niego odchromolić, Agniesia dla równowagi obnosiła się z rozstrojem nerwowym. Jan Jakub też doznał wzmożenia, bo najpierw łaził po całym domu i przeprowadzał domorosłą kontrolę budowlaną, póki miał dzienne światło, a gdy na zewnątrz zrobiło się już ciemno, wdał się z Henrykiem w dyskusję na temat wytrzymałości materiałów budowlanych. Podobno zatrzymali się dopiero na wytwarzaniu glazurowanych cegieł w starożytnym Babilonie.

I jakby Tereska nie miała już dość skumulowanych atrakcji, odkryła, że w torebce zostały jej zaledwie dwa awaryjne kasztanki. Nic dziwnego, że po tylu emocjach przez całą noc dręczyły ją koszmary! A właściwie jeden koszmar, jak gdyby zapętlony – o domu trzeszczącym w szwach rytmicznie, to tu, to tam, niżej, wyżej, na lewo bądź prawo, domu na opak, aż nie wiedziała, gdzie kończy się podłoga, a zaczyna boazeria… bądź na odwrót.

Gdy bladym świtem Tereska otworzyła wreszcie oczy, przez chwilę miała wrażenie, że ten koszmar nadal trwa. Zewsząd wciąż dobiegały ją te same skrzypnięcia, jęki i trzaski drewna. Aż wreszcie odetchnęła z ulgą, gdy uzmysłowiła sobie, że to przecież czyjeś kroki przemierzające dom i zbliżające się nieuchronnie do przedsionka.

– …no i proszę! Pro-szę! – piał Jan z Jakubem. – Najpierw podłoga, teraz ściany. Wszystko tu się sypie, wszystko się wali! A przecież to mamy dom, tak nie można!

– Tatuś się w grobie przewraca! – usłyszała biadolenie ciotki Wandy.

– Och, nie sądzę – odparł jej rezolutny jak zawsze głos Krystyny.

– A niby czemu?!

– Bo raczej już zdążył zmienić stan skupienia.

– Czy ja się dowiem, o co ten zgiełk, czy się nie dowiem? – Półprzytomna Tereska wyłoniła się z chlewika. Czuła się wymemłana wewnętrznie i zewnętrznie. Po dwóch dniach i dwóch nocach, które w nim spędziła, jej sweter coraz bardziej przypominał coś pomiędzy legowiskiem dla psa a worem pokutnym, pachniał zaś jeszcze ciekawiej. Zapas świeżych majtek miała zapewniony, ale potrzebowała na gwałt czystej odzieży bardziej wierzchniej,

takiej do ludzi. I to najlepiej nie z drogocennych zapasów ciotki, żeby się znowu poczuć człekokształtnie, tak dla odmiany.

– A co ty taka… taka? – Wanda Popiełowska wykonała nieokreślony gest dłonią, który wbrew pozorom doskonale oddawał bieżący stan tak ciała, jak i ducha Tereski Trawnej. Nawet mina Krystyny, zwykle bardzo życzliwej bratanicy, dowodziła niezbicie, że coś było na rzeczy.

– A bo mi znów pół nocy wszystko wokół trzeszczało – wymamrotała Tereska. – Aż miałam koszmary, że coś chodzi po domu i się na mnie czai z pyskiem…

– Jakim znowu pyskiem?!

– No… no przykrym takim…

Krystyna z Maciejką posłali jej współczujące uśmiechy. Ciotka Wanda wzniosła oczy ku niebu i nic nie powiedziała, bo już jej słów brakowało na to dziewuszysko.

– Oczywiście, że trzeszczało! – fuknął Jan Jakub. – Gdyż, w przeciwieństwie do co poniektórych, drewno pracuje. A jak pracuje, to trzeszczy, każdy średnio inteligentny człowiek powinien to wiedzieć!

– Jak dobrze, że mamy ciebie.

– To nie jest takie proste – zwrócił uwagę Henryk. – Mówiąc, że drewno pracuje, rozumiemy przez to, że pochłania parę wodną z powietrza lub ją oddaje, co zawdzięcza swym właściwościom higroskopijnym. Ale! Ale! – Uniósł wyprostowany palec. – Obecnie mamy mróz, co oznacza niską wilgotność powietrza, a wewnątrz domu jest ciepło, a zatem w tych warunkach drewno…

– W którym miejscu? – Tereska zapytała ojca. – Pytam poważnie, w którym miejscu jest ciepło? W tym domu? Ja się tam chętnie przeniosę, doczołgam nawet.

– Aż tak źle? – zapytała współczująco Krystyna.

– Cóż, jeśli sądzić po temperaturze, którą osiągnęłam tej nocy, to wraz z nadejściem odwilży zacznę wonieć intensywnie i jednoznacznie.

– Zasadzić ci na grobie orchidee?

– Byle nie anturium. Za anturium będę cię nawiedzać i przyprawiać o chroniczne zatwardzenie. I pryszcze.

– Mróz czy nie mróz – Jan Jakub nie zamierzał dłużej słuchać tej idiotycznej wymiany poglądów – ten dom jest w stanie ogólnym katastrofalnym, co powtarzam od dawna z głębokiej troski. I proszę bardzo. Proszę! Tak nie można żyć, nie można! Chyba nie zaprzeczycie?! – Zamaszystym ruchem ręki wskazał na boazerię. W jednym miejscu, na styku dwóch desek, ziała długa dziura typu podłużnego, najeżona drzazgami i zadrami.

Henryk Jędrzejczyk podszedł bliżej, podciągnął spodnie na udach i nachylił się z cichym stęknięciem, żeby lepiej widzieć.

– O ile znam się na drewnie, wygląda mi to raczej na uszkodzenie mechaniczne niż zmęczenie materiału w rezultacie…

– Czynnik czysto osoboludzki – skorygowała Tereska, jak na skostniałe zwłoki rumieniąc się całkiem żwawo. – To akurat moja sprawka. Ale to nie było specjalnie! – podkreśliła prędko, zwracając się do ciotki Wandy. – Mówiłam przecież cioci, że kot naszczał i ja w to wlazłam po ciemku. Wpadłam w poślizg, a masa razy prędkość dała ten tam pęd, rozpęd oraz inne skutki uboczne. A tak mi się nawet wydawało, że coś pękło…

– Ale jak naszczał, jak kota od przedwczoraj w domu nie ma! – oburzyła się na tę insynuację ciotka Wanda.

– Nie ma? To kto tu naszczał?

– Ja nie – zastrzegł na wszelki wypadek Maciejka.

Matka zgromiła go wzrokiem.

– Poważnie pytam. Kto? Tamtej nocy tu była kałuża. O tu, proszę, w tym miejscu! – Pokazała kulą. – Więc skoro to nie był kot, to kto?

– Ty i te twoje pomysły – rzuciła ciotka Wanda i oddaliła się, a za nią Jan Jakub z Henrykiem.

– Pewnie ktoś naniósł śniegu – uznała Krystyna.

– Kto? Jak? Kiedy? – wypaliła Tereska z jasnością umysłu zaskakującą nawet dla niej samej. – Przecież było sucho, kiedy wracaliśmy ze szpitala.

– Jesteś pewna?

– Kryśka, umówmy się. Gdyby wtedy padał śnieg, Marek musiałby mnie albo wnosić tu w zębach, albo wieźć z powrotem na SOR z kolejnym urazem części dowolnej. Ani jednego, ani drugiego raczej się nie zapomina.

– Na swój osobliwy sposób matka ma rację – przyznał Maciejka.

– Tyle że wczoraj rano było już biało – powiedziała Krystyna. – Czyli zaczęło padać w nocy, kiedy nikt już nie wchodził ani nie wychodził.

– Chyba nie tak do końca nikt. – Tereska spojrzała na Maciejkę. Maciejka spojrzał na Tereskę oczami równie wielkimi i porcelanowymi. Oboje ewidentnie myśleli o tym samym i żadne z nich nie czuło się zbytnio uspokojone tą międzypokoleniową zgodnością.

– Mamo, ty chyba… chyba nie?…

– Chyba jednak tak.

– Kolejny raz odnoszę wrażenie, że ominęło mnie coś ciekawego – wtrąciła Krystyna, przyglądając się uważnie obojgu Trawnym.

– Nie masz bladego pojęcia… – wymamrotała Tereska. Powoli godziła się z faktem, że prędzej czy później będzie musiała nieco wtajemniczyć ciotkę w swoje nietypowe przygody. Ale nie teraz. Bo teraz Henryk Jędrzejczyk we własnej olbrzymiej osobie wrócił. Co więcej, wychylał się zza węgła i wykonywał osobliwe ruchy. Albo coś go oblazło, albo przywoływał do siebie córkę w sposób teoretycznie dyskretny. Kiedy się przybliżyła, odwrócił się i oddalił na kilka kroków, po czym sprawdził, czy Tereska aby na pewno za nim podąża niczym Mary Lennox za rudzikiem. Owszem, Tereska podążała, choć z narastającym zmieszaniem, od którego jej oczy, jasnoniebieskie jak krucha porcelana, wytrzeszczały się coraz bardziej, co w przypadku dłuższej wędrówki mogłoby grozić nieodwracalną przykrością. Odetchnęła z ulgą, gdy tym sposobem dotarli do pokoju zegarowego.

Dawno temu był to po prostu pokój jej ojca, choć z trudem mieściło się to w ludzkim pojmowaniu, gdyż i sam Henryk ledwo mieścił się w tej niewielkiej przestrzeni. Teraz też musiał przygarbić szerokie plecy i wtulić głowę w ramiona. Wciśnięty między niski sufit, pękatą komodę a podwójne łóżko, nad którym tykał stary zegar z wahadłem, zwiesił nos na kwintę i wyglądał jak ucieleśnienie frasunku najgłębszego z głębokich. Tereska zacisnęła zęby. No tak. Pierwszy raz od tylu lat znalazł się sam na sam z jedyną córką. To musiało boleć.

– Wiesz, Tesiu, czasem patrzysz na mnie zupełnie jak on.

„Jak kto?", chciała zapytać, gdy odpowiedź sama do niej przyszła.

No tak. Jak dziadunio.

Siłą rzeczy musiała w tej kwestii polegać na rodzinnych przekazach, ale sądząc chociażby po Wandzie, córce nieodrodnej, Henryk Jędrzejczyk nie mógł się bardziej różnić od swojego ojca. Nawet ją nosiło, gdy teraz stał przed nią niczym człowiek-klucha. Wiecznie ze wszystkim spóźniony, bo on zawsze miał czas, nigdy niczego nie mówił ani nie robił ot tak, tylko dookoła, przez opłotki. Nawet rozwieść go musiała o wiele bardziej żywiołowa żona, bo i tego by nie ogarnął w terminie, pochłonięty wszystkim naraz, a zarazem niczym. Temperament Henryka był wybitnie niekompatybilny z temperamentem Tereski, która cierpliwość nieziemską i nieskończoną wykazywała wyłącznie względem liczb. Oraz Pindzi.

– Myśmy nigdy do siebie nie pasowali, co, Tesiu? Zawsze się przy mnie męczyłaś i nie mów, że nie, bo ja może nie zawsze nadążam, może nie zawsze rozumiem, ale widzę. I jakoś sobie to, co widzę, pomalutku przetwarzam.

Tereska bardzo starała się wyrazić dwadzieścia pięć lat żalu w sposób cywilizowany, możliwie bez użycia przemocy, chociaż to by jej wiele ułatwiło. Ale nie rozwiązałoby niczego.

– Kiedy moja matka się z tobą rozwiodła – zaczęła – spakowałeś manatki i wypisałeś się z mojego życia. Razem z tobą jedno po drugim wypisała się połowa moich krewnych. Ot tak odcięliście tę gałąź rodziny, na której samotnie sobie dyndałam.

Henryk jakby się skurczył, jakby przywiądł na te słowa.

– Myślałem, że tak będzie lepiej. Mnie było. Mój ojciec… Ojciec nie był tyranem, ale bez niego zawsze jakoś tak… łatwiej mi się oddychało. Myślałem, że ty też odetchniesz, kiedy się od ciebie odsunę.

Dziadunio nie był tyranem.

Tereska poczuła, że gdy usłyszy to jeszcze raz, zacznie rwać włosy z głowy. Czemu oni tego nie pojmują? Tyran nie musi krzyczeć, tyran nie musi bić i kontrolować. Ale gdy cała rodzina chodzi jak w zegarku i nic nie mówi, bo wszyscy wiedzą, że żaden sprzeciw nie zostanie wzięty pod uwagę, to tak właśnie wygląda tyrania. Dziadunio Fredek był tyranem, choćby jego rodzina nie wiadomo jak zaklinała rzeczywistość. Albo wspomnienia. Wanda się w niego wdała. Krystyna go nie poznała. A ojciec? Ojciec… uciekł. I tak mu już chyba zostało.

– Tato, litości. Nie wszystko trzeba roztrząsać jak gówno na kiju – powiedziała zachrypłym nagle głosem. Odkaszlnęła. – Pewne rzeczy się po prostu wie, pewne rzeczy się po prostu robi. I już. Dorosłe dziecko to nadal dziecko. Odsunąłeś się aż za bardzo.

– No widzisz, Tesiu, widzisz, jakoś tak śmiesznie wyszło…

No śmiesznie, że boki zrywać, pomyślała Tereska z goryczą, ale zachowała to już dla siebie.

– Coś chciałeś? – przypomniała.

– A… a tak. Tak. Przyjrzałem się – obwieścił ojciec, po czym zamilkł.

– Tato, wiem, że wiele wymagam, ale czy mógłbyś tak… nie wiem, choć raz wycyrklować z komunikatem? – zasugerowała Tereska, kiedy to milczenie przeciągnęło się o kolejną minutę. – Trochę więcej, ale też nie za bardzo?

– Poszedłem zabezpieczyć tę dziurę po Marku i przyjrzałem się uważniej podłodze w wykuszu – zaczął raz jeszcze. – Nie jestem ekspertem od drewna, aczkolwiek w młodości zdarzyło mi się uczestniczyć w wycince drzew na Sądecczyźnie, przepiękne okolice, przepiękne, zawsze chciałem tam wrócić, może się pobudować, kto wie, no i oczywiście w szkole, na zajęciach praktyczno-technicznych, do dziś pamiętam, prowadził je profesor Orzechowski, prywatnie wielki pasjonat…

– NIE JESTEŚ EKSPERTEM, ALE…?!

Henryk Jędrzejczyk przez chwilę wpatrywał się w jedynaczkę, niby wymemłaną życiem i porankiem, a jednak jakąś taką… energiczną. Skupioną. Wyczekującą. Znów żądała od niego niemożliwego – skupienia, zwięzłości. Pamięci. A przecież dopiero co ustalili, że pamięć nigdy nie była jego mocną stroną…

A jednak coś w oczach Tereski sprawiło, że Henryk podjął ten nadludzki wysiłek i wyraził się zwięźle.

– Nie jestem ekspertem, ale te deski z jednej strony zostały delikatnie podpiłowane.

ROZDZIAŁ | 14

Marek Popiełowski wpatrywał się w dziurę po Teresce, jak gdyby spodziewał się, że lada moment coś stamtąd wychynie. Zapewne coś z mackami, solidnym uzębieniem oraz wybitną skłonnością do destrukcji, bo przecież Tereska nie przywołałaby czegoś niekrwiożerczego. Rany boskie… Jak to możliwe, kłębiło mu się w głowie, jak to możliwe, żeby jedna zwyczajna kobieta sprowadzała na innych taki chaos i zniszczenie?

Fakt, Tereska zawsze była osobnym żywiołem. Ilekroć zjawiała się z całym impetem bujnego charakteru i pomysłów, które w niej kiełkowały jeden za drugim, życie Marka, Krystyny i Agniesi nabierało tempa. Wspólne wakacje, ferie czy przerwy świąteczne przypominały wytęsknioną, wyczekiwaną przejażdżkę na karuzeli – oślepiającej kolorami i światłem, ogłuszającej dźwiękami, zapierającej dech. A przynajmniej tak było, dopóki nie zaczęli dorastać i Tereska, do niedawna słodka blondyneczka w szytych przez ciotkę Brygidę sukieneczkach, nie weszła na kurs kolizyjny z ciotką Wandą.

Żałował, kiedy pewnego lata nie przyjechała jak zawsze.

Żałował, ale nie do końca.

A teraz gapił się w tę dziurę i zachodził w głowę, czy to aby na pewno przypadek, że Tereska zjawiła się tu po dwudziestu pięciu latach – i dwa dni później dom się sypał i rozpadał, a rodzina trzeszczała w szwach? Nie no, gdzie. Bez przesady. Owszem, Tereska odpowiadała za tę konkretną dziurę w boazerii i może odrobinę roztrzęsienia, jednak to nie ona napisała ten przeklęty testament, tylko dziadek Fredek. Dziadek zostawił wszystko Wandzie, a pozostałe dzieci pominął, jak gdyby nic im się nie należało, jak gdyby nie były dość ważne. Ale nikt nic nie powiedział. I nikt nic nie powie.

– No i co tak stoisz? – usłyszał za sobą głos umiłowanego szwagra. – Samo się nie zrośnie.

– Czekam na instrukcje.

– Proszę bardzo. – Sarkazm ze świstem minął Jana Jakuba i pomknął hen, w świat szeroki, by szukać warunków bardziej sprzyjających życiu. – Należy usunąć połamane deski, następnie zeszlifować brzegi pozostałych, dociąć precyzyjnie deski nowe i wstawić, a na koniec zabezpieczyć łatę lakierobejcą w kolorze możliwie zbliżonym do oryginalnego. Proste.

– No to usuwaj, szlifuj i docinaj, skoroś taki ekspert po kursach.

Od prychnięcia, jakie wydał z siebie Jan Jakub, Markowi ścierpła skóra.

– Wyszło twoje nieobycie. Teraz to się takich rzeczy można nauczyć w kwadrans na YouTubie.

– Masz dwa. Bo ja to zerwę po całości, oczyszczę, zaszpachluję i przeciągnę farbą.

– Mowy nie ma! – zaprotestował z całą mocą Jan Jakub, aż dziw, że się boazeria do cna nie odkształciła. – Nie będziesz niczego zrywał, stanowczo zabraniam! Nie dość twojej matce

rewolucji w życiu, zamierzasz jej więcej strat przysparzać?!

Marek zacisnął zęby i przełknął to, co już cisnęło mu się na usta. Lepiej tak, wtedy Jan Jakub szybko się znudzi i pójdzie w cholerę. A on może rzeczywiście weźmie się za tę dziurę, zanim ktoś zrobi sobie krzywdę, na przykład nadzieje się na te drzazgi. Znając życie, tym kimś byłaby zapewne Tereska.

Przebrał się, przyniósł młotek i łom z kanciapy i zabrał się do dzieła zniszczenia.

Nieoczekiwanie mocowanie się z uszkodzoną boazerią okazało się całkiem dobrym sposobem na upuszczenie pary i po pięciu minutach Marek całkiem zapamiętał się w robocie. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to nie mogło pęknąć tak po prostu, nawet pod impetem Tereski. Aż krzyknął z triumfem, kiedy trzy najbardziej uparte deski ustąpiły z trzaskiem i padły jak długie.

Nieoczekiwanie w ślad za nimi rozlała się jasna, szeleszcząca struga. Kilka sekund później podłoga w przedsionku usłana była jakimiś gazetami i innymi papierzyskami.

– Jasna cholera… – westchnął Marek. – Dziadunio i jego pomysły.

Alfred Jędrzejczyk słynął z życiowej zaradności, choć nie brakowało głosów, nieco cichszych, że zaradność to uprzejmiejsze określenie zwyczajnego skąpstwa. Bez względu na interpretację dziadunio był człowiekiem pomysłowym, pracowitym i potrafił zrobić coś z niczego – chociażby cały ten dom. Izolacja ze starych gazet i innych papierów brzmiała jak jeden z jego pomysłów oszczędnościowo-racjonalizatorskich.

– …nie wiem, o której wrócę. – Z jednego z korytarzy dobiegł naraz głos Bogny. Kilka sekund później przemknęła przez przedsionek i dopadła wieszaka z płaszczami. – Z tego, co mówił Wojtek, może nam zejść do nocy. Co ci ludzie mają w głowach, żeby tak psa na kolanach wozić! I to berneńczyka, wyobrażasz sobie?! Czy oni nie słyszeli o pasach bezpieczeństwa dla psów? O przeciążeniach?!

– Ty się nic nie martw, ty jedź i rób swoje – uspokajał ją Henryk. – A my z Olcią udamy się po choinkę, żeby już stała, jak wrócisz. Masz klucze?

– Nie no, skąd. Ty masz.

– Ja nie mam żadnych kluczy… czekaj no…

Ich głosy oddaliły się i ucichły wraz z zamknięciem frontowych drzwi. Usłyszawszy za sobą szelest, Marek obejrzał się szybko przez ramię.

– Olka! – zawołał siostrzenicę, która kończyła się szykować do wyjścia w ślad za Bogną i Henrykiem. – Weź mi to tylko ogarnij raz-dwa.

– Ja? Ale czemu ja?

– A czemu nie?

Mała Ola ściągnęła brwi.

– A czemu tak?

Marek wyprostował się pomału, splótł zakurzone ręce na piersi i spiorunował siostrzenicę wzrokiem, od którego pękały lodowce. Chcąc nie chcąc, Mała Ola wzięła się do zbierania papierzysk, przy czym ostentacyjnie pociągała nosem. Uzbierała tego solidną stertę. Trzymając ją w wyciągniętych rękach, żeby przypadkiem nie ubrudzić płaszcza kurzem i pajęczynami, zawróciła i pomaszerowała na poszukiwanie właściwego śmietnika.

– Co to? – zainteresowała się Duża Ola, która wyjrzała z kuchni. Za nią wyrósł nieodłączny Maciejka, który przeżuwał coś z oddaniem.

– Śmieci, chyba widać. Wujek kazał wyrzucić.

– Ale to by chyba trzeba najpierw przejrzeć. Tam może być coś ważnego.

– Wujek kazał wyrzucić, to wyrzucam.

– No co ty! Tak się nie robi!

– Ej! No weź! – protestowali jedno przez drugie, lecz Mała Ola była nieubłagana. Otrzymała instrukcje krótkie i proste i zamierzała się ich trzymać.

Pojemniki do segregowania odpadów stały w schowku za spiżarnią. Ten z niebieską pokrywą, przeznaczony na papier i karton, był wypełniony po brzegi, a nawet z lekką górką. Próby umieszczenia sterty na szczycie kończyły się niekontrolowanym rozsypaniem wszystkiego wszędzie.

– Widzę dwie śmiałe opcje – podsunęła Duża Ola, gdy jej młodsza imienniczka trzeci raz zgarnęła papierzyska z podłogi. – Możesz z tym iść do śmietnika na papier, tego przed domem, albo nawet… wiesz, jeśli lubisz zaszaleć… możesz wynieść od razu wszystko, co zalega w tym pojemniku.

– Nie mam czasu na GŁUPOTY – fuknęła Mała Ola z manierą godną Agniesi. – Jedziemy po choinkę, wuj Henryk już na mnie czeka w samochodzie. – Raz jeszcze położyła stertę na szczycie górki, po czym odbiła się i całym ciężarem ciała naparła na śmieci. Zanim przygniecione kartony zdążyły się rozprostować, dziewczyna zamknęła pojemnik i triumfalnie otrzepała ręce. Tym, że klapa podskoczyła, nie zamierzała się już przejmować.

Gdy tylko kuzynka zniknęła im z oczu, Maciejka i Duża Ola rzucili się do pojemnika. Bez ceregieli wyłowili łup i czmychnęli z nim na górę, do swojego pokoju.

– O rany… te gazety mają chyba z milion lat! – zakrzyknęła dziewczyna już po chwili grzebania w papierach. – Musimy to pokazać wujkowi Henrykowi, padnie ze szczęścia. Lata czterdzieste, lata pięćdziesiąte… sześćdziesiąte… Przecież to jest kawał historii!

Przejrzenie nieoczekiwanego znaleziska zajęło im więcej czasu, niż się spodziewali. Dziadunio Fredek najwyraźniej gromadził skrupulatnie nie tylko przestrzeń życiową, ale też przeróżne ślady codzienności – oprócz gazet, których w tej masie było najwięcej, natknęli się również na kartki z kalendarzy i starych zeszytów.

– Ej, Olka. Patrz na to! – Wprawny wzrok Maciejki wyłowił spośród papierów coś dużo mniejszego, złożonego na dwoje. Gdy wyprostował pożółkłą kartkę, zobaczył wypełniony kaligraficznym pismem urzędowy druk, zwieńczony czyimś zamaszystym podpisem oraz pieczęcią z orłem. – Odpis skrócony aktu urodzenia.

– Żartujesz? A czyj?

– No… – Maciejka przebiegł szybko wzrokiem po słowach, wypisanych starannie, choć trochę już wyblakłych. – Wygląda na to, że ciotki Wandy.

– Co? Pokaż.

– Czemu ciotka trzyma swój akt urodzenia w boazerii? – zapytał Maciejka, podając kartkę kuzynce. – To jakiś miejscowy zwyczaj?

– O kur… – Duża Ola urwała w kluczowym momencie, zapatrzona w pożółkły dokument. A potem poderwała się na równe nogi i wystrzeliła na korytarz, drąc się jak opętana: – TATO! TATO!!!

Marek Popiełowski tkwił właśnie po łokcie w robocie, choć sam zapewne ująłby to dosadniej. Boazeria, którą dziadunio Jędrzejczyk własnymi rękami przybił kilkadziesiąt lat temu, była solidniejsza niż cały dom razem wzięty. Gdy przeszedł się po domu, żeby trochę rozprostować nogi i plecy, z przykrym zaskoczeniem odkrył w jeszcze paru innych miejscach

pęknięcia, szpary i szczeliny, których wcześniej tam nie dostrzegał. Jak to możliwe? Skąd one się tam wzięły? Dobrze, że żadna nie była aż tak imponująca i najeżona drzazgami jak dziura Tereski, bo zdemontowanie i zasztukowanie lakierowanych desek tylko z tej jednej ściany w przedsionku zajmie mu całe święta. Jakim cudem Tereska ot tak wybiła w nich dziurę odwłokiem?!

– Co znowu?! – warknął, gdy zaaferowana córka zawisła nad nim razem z kuzynem i podsunęła pod nos jakąś kartkę. Była pożółkła, pachniała kurzem i starością.

– Znaleźliśmy to w tych papierach, które ci wypadły spod boazerii. To chyba akt urodzenia babci.

– I co ja niby mam z tym zrobić? Oddaj babci i już.

– Tato. Proszę. Rzuć okiem.

Coś w jej tonie sprawiło, że Marek przestał się upierać. Duża Ola wierzyła w przestrzeń osobistą i jeśli zawracała ojcu głowę w nie najlepszym momencie, to zawsze miała ku temu solidny powód. Skoro więc nalegała, musiało chodzić o coś ważnego. Wytarł dłonie o spodnie, wziął kartkę z rąk córki i zaczął czytać na głos:

– „Zaświadczam, że Wanda…" co?… – Urwał, wpatrując się w dokument z podobnym wyrazem twarzy co jego córka ledwie przed momentem. – Co to za wygłupy? Przecież to nie jest akt urodzenia mojej matki, tylko jakiejś Wandy… Löch?

– To się chyba czyta tak bardziej „Luuuch" niż „Loch" – podsunął Maciejka, uczynny jak zawsze. – Tak wiesz. Po niemiecku.

– Czytaj dalej – poganiała ojca Duża Ola. – NO CZYTAJ!!!

– „…urodziła się dnia dwudziestego piątego września…". Nie no, co to jest? – Podniósł wzrok na dzieciaki. – To jakiś żart?

– Nie, to żaden żart – zapewnił szybko Maciejka, po czym jeszcze szybciej dodał: – A jeśli nawet, to na pewno nie nasz.

– TATO. CZYTAJ. DALEJ.

– Dobrze, już dobrze, czytam. „…dwudziestego piątego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku w Czarnym Borze z ojca Uwego Löcha, zawód: inżynier, zamieszkałego w Czarnym Borze, i z matki…". – Marek Popiełowski zamrugał i wolną ręką sięgnął za siebie, szukając po omacku ściany, bo naraz zrobiło mu się dziwnie ciemno przed oczami.

Niczym przez mgłę dobiegł go głos rodzonej córki, która dokończyła za ojca ostatnie zdanie:

– „Z matki Przybysławy Wolniak, urodzonej Wolniak, zamieszkałej w Czarnym Borze".

Rany boskie. Jak on jej ma o tym powiedzieć?…

Obie nogi, i ta zdrowa, i ta pokaleczona, drżały Markowi solidarnie, kiedy szedł do jadalni, gdzie jego matka właśnie tłumaczyła synowej, jak wygląda należycie wyprasowany obrus długości trzech metrów i dlaczego zupełnie nie tak, jak uważała Alina. Alina trochę słuchała, a trochę wpatrywała się w gorące żelazko z jakąś taką osobliwą tęsknotą.

– Co ci jest, synu? – zapytała Wanda na widok bladego Marka. – Znowu ci coś pękło?

Duża Ola, która szła tuż za ojcem, wyciągnęła dłoń po dokument, gotowa wziąć to na siebie, ale Marek cofnął rękę i pokręcił głową.

– Zostaw. Muszę… muszę sam.

Odsunął sobie jedno z krzeseł i opadł na nie ciężko. Tak długo zbierał się w sobie, że do jadalni zdążyli zbiec się pozostali członkowie rodziny, zaalarmowani przez Maciejkę.

W absolutnej ciszy wysłuchali treści dokumentu poświadczającego narodziny Wandy Löch, córki Uwego i Przybysławy z domu Wolniak.

Babuni, którą dopiero co pochowali w rodzinnym grobowcu.

– Nie rozumiem. – Agniesia mozolnie mierzyła się z faktami, które na nich spadły. – Co to właściwie ZNACZY? O co tu CHODZI? Czy ktoś może mi to WYJAŚNIĆ?

Ale nikt jakoś nie garnął się do odpowiedzi. Jedynie Alina wstała bez słowa i wyciągnęła wtyczkę z kontaktu, po czym odstawiła wciąż gorące żelazko na parapet, jak najdalej od ludzkich rąk.

– Mamo? – Marek nawet nie mrugnął, tylko wpatrywał się w Wandę, poprzestawszy na tym jednym słowie, chociaż wszyscy doskonale wyczuwali, jak wiele emocji i pytań w sobie skrywało. Jak to możliwe? Czy to prawda? Wiedziałaś o tym? Mamo? Jak się czujesz? Oddychasz?

Wreszcie Wanda Popiełowska zamrugała i puściła skraj świątecznego obrusa, który przez cały ten czas przyciskała do podołka.

– To jakaś pomyłka. Niedorzeczna pomyłka – rzuciła i zdecydowanym truchtem opuściła jadalnię. Wróciła po chwili, tym razem dzierżąc starą prostokątną puszkę. Ani chybi po jakichś czekoladkach, bo Tereska od razu rozpoznała logo Goplany, widniejące pośród kwiatów i chyba kawiarnianych parasolek na radosnym żółto-zielonym tle.

– Mój akt urodzenia, proszę bardzo. Z pieczątkami, z podpisami. Wszystko jak należy, wszystko się zgadza. Stoi wyraźnie: Wanda, córka Alfreda Jędrzejczyka i Przybysławy Jędrzejczyk z domu Wolniak, urodzona dwudziestego piątego listopada, nie września, listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku – czytała, sunąc palcem po kartce, Agniesia zaś energicznie przytakiwała, że owszem, jest tak, jak mama mówi. –Tak? Tak? Akt ślubu rodziców też mam. Proszę. Wałbrzych, dnia drugiego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

– Drugi listopada? Dziwna data.

– A co w niej dziwnego? – Ciotka obejrzała się na Tereskę. – Data jak data.

– Ale taka raczej bardziej cmentarna niż ślubna.

– Chyba że komuś się spieszyło, a to był jedyny wolny termin w okolicy – mruknęła Alina.

– Oczywiście można by przyjąć, że ciocia urodziła się jako skrajny wcześniak, nie takie cuda działy się przed ołtarzami, ale…

– Ja NIC z tego nie rozumiem – oznajmiła ponownie Agniesia. – O czym wy ZNOWU mówicie?

Alina z Tereską błyskawicznie spojrzały po sobie i oceniły sytuację panującą w jadalni. Ani Marek, ani Krystyna chwilowo nie wyglądali na zdolnych do czegokolwiek poza tępym wpatrywaniem się w Wandę. Henryk, którego flegmatyczna natura mogłaby się bardzo przydać, jeszcze nie wrócił z polowania na choinkę. Na spokój i opanowanie reszty nie miały co liczyć nawet w bardziej sprzyjających warunkach, a co dopiero teraz.

– Mówimy o tym, że wybrano tak specyficzną datę, bo była najbliżej. – Popiełowska bardzo ostrożnie dobierała słowa. – A jeżeli akt urodzenia z boazerii jest prawdziwy i ta Wanda, córka Przybysławy, to NASZA Wanda, córka NASZEJ Przybysławy, urodzona nie w listopadzie, a we wrześniu, oznaczałoby to, że… Że dziadek Jędrzejczyk ożenił się z panną z dzieckiem. Cudzym dzieckiem.

ROZDZIAŁ | 15

Dopiero po tych słowach synowej w ciotkę Wandę jakby na nowo wstąpiło życie.

– Czy wyście oszaleli?! Ja chyba wiem, kim jestem! Ja mam na to dokumenty! Z dokumentami się nie dyskutuje!!! Żeby takie rzeczy porządnej kobiecie sugerować!!!

– Oczywiście, że mama wie! – poparł ją natychmiast zięć. – A ten… ten… ten świstek nie wiadomo skąd to jest ordynarna fałszywka. Ordynarna! Od razu widać.

– A co, tego też was uczyli na tej administracji? – zapytała jadowicie Tereska.

– Logika! – wycedził Jan Jakub tym samym tonem. – Logika wskazuje, że dokumentów tak istotnych jak akt urodzenia nie przechowuje się w miejscu tak niepoważnym jak boazeria w przedpokoju. BO-A-ZE-RIA! Ten świstek to jakaś kpina, urągająca wszelkim…

– Ty masz rację. Gdzie tam boazerii do puszki po czekoladkach!!!

– Dobrze. Chwileczkę. Bez nerwów. – Krystyna, bledsza od niedoprasowanego obrusu, wyprostowała się i przytknęła rozpostarte dłonie do blatu stołowego. – Rozważmy na spokojnie opcje. Może to fałszywka, może kpina i urąganie, a może dokument kogoś innego? – podsunęła. – Skoro trafiło się nam dwóch Tadeuszów Popiełowskich w promieniu dwudziestu kilometrów, to czemu nie dwie Wandy?

– W dwie Wandy to jeszcze bez trudu uwierzę – zgodziła się Alina – ale urodzone tego samego roku w odstępie dwóch miesięcy dwie różne Wandy, córki dwóch różnych Przybysław z domu Wolniak? W jednym Czarnym Borze?

– Sfałszowany, cudzy, jeden pies – podsumowała Tereska bezceremonialnie. – Czy ktoś potrafi wyjaśnić, co robił ten akt urodzenia za boazerią w przedsionku? Bo muszę przyznać… choć robię to z głęboką niechęcią, że to niestandardowy model przechowywania dość istotnych dokumentów.

– Ktoś go tam musiał wrzucić.

– Tego to ja się domyślam, ale kto? Kiedy? I po co?

– Może się zaplątał z gazetami? – zasugerowała Alina. – Leżał, ktoś nie popatrzył, zgarnął wszystko razem i wrzucił.

– Kiedy ojciec kładł tę boazerię? – zwróciła się do siostry Krystyna.

– Jakoś tak przed śmiercią…

– Byłoby ciut dziwnie, gdyby kładł ją po śmierci – wtrąciła Duża Ola.

– Nie bądź bezczelna! – fuknęła Wanda na starszą wnuczkę.

– Nie jestem bezczelna, babciu, tylko staram się myśleć logicznie. A tajmlajn może być istotny.

– Ty jej pobłażasz, Alinko, ty jeszcze zobaczysz! Z tego nic dobrego nie będzie!

– Mama mnie nie uczy, jak wychowywać dzieci – odparła Alina głosem całkowicie wyzutym z emocji. – Ja od kilkunastu lat żyję z jednym dzieckiem wychowanym przez mamę

i mogłabym zgłosić kilka konkretnych zastrzeżeń.

– Niby że jakich?!

Napięte do granic wytrzymałości nerwy puściły i przy stole wybuchła regularna awantura o wszystko. W tym ferworze nikt poza Maciejką, który siedział najbliżej drzwi, nie zorientował się, że Mała Ola i Henryk właśnie wrócili z choinką. Dziewczyna cofnęła się o krok, wystraszona, za to Jędrzejczyk wprost przeciwnie. Nie zamierzał jednak brać udziału w ogólnym poruszeniu. Zamiast tego odstawił drzewko do kąta, po czym usiadł obok wnuka i wcisnął na nos okulary. Przyjrzawszy się wpierw z zaciekawieniem obydwu spornym aktom, przystąpił do skrupulatnego przetrząsania puszki z papierami starszej siostry. Wyciągał z niej dokument za dokumentem – legitymacje, zaświadczenia, nieaktualne dowody osobiste. Większość po chwili odkładał na wieczko, nieustannie mamrocząc do siebie pod nosem, ale kilka rozłożył obok dwóch aktów urodzenia. Zaintrygowany Maciejka przysunął się bliżej, żeby lepiej słyszeć w tym harmiderze.

– A to się da szybko sprawdzić – zapewnił półgłosem, gdy się zorientował, co tak bardzo zajęło dziadka. – Czekaj, już patrzę…

– Bezprawne! Bez-praw-ne! – powtarzał Jan Jakub z pianą na pysku, tłukąc raz po raz pięścią w stół, aż się obrus jeszcze bardziej pomarszczył. – To są próby zagarnięcia majątku! Bezprawne! Niemoralne! Niehumanitarne! Żeby się tak posuwać!

– …ja się nie prosiłam! Nie prosiłam się! O nic!!! – darła się wniebogłosy ciotka Wanda, kompletnie głucha na młodszą siostrę, która próbowała się przebić z przekazem:

– Przecież nikt nie mówi, że się prosiłaś, zrozum to wreszcie! Tu nie o to chodzi!

– OCZYWIŚCIE, ŻE O TO! – Jan Jakub już nie huczał, on wprost eksplodował słowami. – TU CHODZI WYŁĄCZNIE O TO, ŻEBY OCZERNIĆ I PRZYWŁASZCZYĆ…

Tego już Marek nie zdzierżył. Z mordem w oczach poderwał się z krzesła, chwycił szwagra za fraki i miotnął nim ponad stołem. Tereska zdążyła tylko miauknąć żałościwie, kiedy Alina z Agniesią rzuciły się, żeby powstrzymać Marka przed eskalacją. Popiełowski dyszał chęcią mordobicia, a Jan Jakub zaległ Rejtanem na parkiecie po drugiej stronie stołu i szarpiąc się za koszulę, w której wskutek przemocy ubyło kilka guzików, darł się do rozjuszonego szwagra:

– No bij! Bij, mówię, bij, ty… ty bestio!!! I patrz, czy równo puchnie!!!

Ten właśnie moment wybrał sobie Henryk Jędrzejczyk, żeby zakończyć konsultacje z wnukiem wyposażonym w komórkę z dostępem do internetu i uprzejmie zagaić starszą siostrę:

– Przepraszam, Wanduś… Wandeczko…

– CO ZNOWU?! – ryknęła Wanduś, Wandeczka, pierwszy raz w życiu doprowadzona do ostateczności tak absolutnej i zwokalizowanej.

– Tu by trzeba fachowej ekspertyzy. – Henryk przystąpił do objaśnień, tak nieudolnie maskując speszenie tym siostrzanym wybuchem, że nawet Teresce zrobiło się go żal. Czego by o nim nie mówić, z natury był człowiekiem niezwykle cierpliwym i łagodnym. – Jakiegoś niezależnego eksperta, tak, to ekspert musiałby ocenić, po uprzednich analizach, oczywiście, w sposób wiążący, jako że w grę wchodzi urzędowy dokument, rozporządzenie mieniem, no i tożsamość, i to nie tylko jednostki, ale całej rodziny, no bo przecież…

– Tato. Skup się. BŁAGAM.

– Ja wiem, o co chodzi dziadkowi. – Maciejka raz jeszcze pośpieszył Henrykowi ze wsparciem. – Popatrzcie sami na te dokumenty. Chodzi o pieczęć z orłem, prawda?

Wszyscy – poza Janem Jakubem, który nie ustawał w Rejtanie na poziomie parkietu – zawiśli nad stołem jak sępy, żeby przyjrzeć się pieczęciom na prezentowanych dowodach natury materialnej.

– Tak. Tak właśnie. – Henryk Jędrzejczyk poprawił okulary, które zjechały mu nieco. – Tu by trzeba ekspertyzy, gdyż obie pieczęcie są niewyraźne, a datę dzienną na tym akcie coś rozmazało, czerwonawe takie, może klej, może… sam nie wiem, co to za smugi. Lecz po konsultacji czy też raczej skolacjonowaniu dokumentów ze źródłami, które tak zręcznie odnalazł Maciejka, jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że pieczęć z takim godłem jak to nie mogła się znaleźć na dokumencie sprzed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Polskie godło w tej postaci zostało przyjęte w pięćdziesiątym drugim na mocy tak zwanej konstytucji lipcowej, która to nazwa wzięła się od daty dwudziestego drugiego lipca…

– No i proszę! – zakrzyknęła Agniesia z nieskrywaną dumą, nie czekając, aż wujek wybrnie z dygresji. – Proszę! MÓJ MĄŻ od początku mówił, że to fałszywka!

– Tak było! To prawda!

– Ogółem tak, aczkolwiek nie – odparł Maciejka, łypiąc kontrolnie na dziadka.

– No i ZNÓW nie rozumiem. Czyli że co?! – zapiała Agniesia.

– Jeden z tych aktów urodzenia mógłby być zatem fałszywy – potwierdził Henryk. – Ale nie potrafię określić, czy ten z ojcem jako ojcem, czy też ten drugi. Jak już mówiłem, obie pieczęcie są na tyle niewyraźne, że bez ekspertyzy, bez kolacjonowania, czyli zestawienia z innymi oficjalnymi dokumentami, z rejestrami nie da się niczego potwierdzić ani wykluczyć, choć oczywiście samo ich istnienie oraz rozbieżności w treści mogą… mogą budzić pewne wątpliwości, pewne emocje…

Agniesia Kubasiuk osunęła się na najbliższe krzesło, wlepiając w wuja wielkie jasne oczyska.

– To znaczy… to znaczy, że ja mogę być NIEŚLUBNYM dzieckiem?!

– Mamo… – Oniemiała Tereska usłyszała tuż przy uchu szept Maciejki, który na moment odkleił się od dziadka i dokumentów i przysunął do rodzicielki. – A czym tak właściwie zajmuje się ciocia Agniesia? Wiesz, tak poza tym, że jest?

– Jeśli dobrze pamiętam, to chyba obrotem nieruchomościami – wymamrotała w odpowiedzi. Niczym urzeczona wpatrywała się w kuzynkę, licząc po cichu na kolejne eksplozje intelektu.

– Aha. Okej. – Maciejka przez chwilę przetwarzał uzyskane informacje. – A kto jej zawiązuje sznurowadła?…

Tymczasem ciotka Wanda jak zastygła w szoku, tak już została, podobnie Marek z małżonką wciąż kontrolnie uwieszoną jego łokcia. Krystyna tylko ukryła twarz w dłoniach i oddychała miarowo, żeby się uspokoić, co chyba nie do końca jej wychodziło. Agniesia wzbierała szlochem, balansując na granicy omdlenia, a rozchełstany na podłodze Jan Jakub przestał domagać się mordobicia i zamiast tego żądał natychmiastowych wyjaśnień od każdego w zasięgu wzroku.

– I kim, do jasnej cholery, był ten jakiś tam Uwe Löch?! – zakończył dobitnym okrzykiem.

– Inżynierem, tam jest przecież napisane…

W ciszy, która na moment zapadła po tych słowach Maciejki, równie oczywistych, co zaskakujących, głos Małej Oli poniósł się po jadalni jak złoto:

– To teraz testament dziadunia Fredka zaczyna brzmieć sensownie.

—

Po katastrofalnej konfrontacji faktów i domniemań członkowie rodziny rozeszli się po domu w podgrupach lub indywidualnie, jak gdyby mieli chwilowo dość towarzystwa pozostałych krewnych. Znaczy, wszyscy dorośli, bo Duża Ola z Małą Olą wytrzasnęły skądś zupki chińskie i rozsiadły się z nimi na podłodze chwilowo dziecięcego pokoju, omawiając żywo to, co zaszło w jadalni, i snując przeróżne teorie na temat dwóch ojców babci Wandy. Czy to prawda? Czy to w ogóle możliwe? Kim był tajemniczy Uwe Löch? Pierwszym mężem babuni? Czy może jej kochankiem? I co takiego się stało, że babunia przypadła innemu w pakiecie z dzieckiem, o nim zaś wszelki słuch zaginął? Umarł? Przepadł w zawierusze dziejów? Nie stanął na wysokości zadania i zamiast tego dał nogę na wieść o nadchodzącym nieuchronnie rozwiązaniu? Wszystko to do tego stopnia zajęło ich wyobraźnię, że nawet nie zauważyły, jak Maciejka zmył się po angielsku.

Chłopak nie miał za bardzo ochoty wałkować w kółko wydarzeń, które przecież widział na własne oczy. W rezultacie jeszcze mocniej utwierdził się w przekonaniu, że testament dziadunia Jędrzejczyka to jakaś masakra, rzeźnia i ogólna niesprawiedliwość. A w dodatku coś go gniotło nieznośnie, jakaś myśl… albo głód? Tak, głód, zdecydowanie. Postanowił zejść do kuchni po coś uczciwszego niż zalewany wrzątkiem chiński makaron z kubeczka. Nigdy nie wierzył jakoś głęboko w żywność typu instant, był natomiast żarliwym wyznawcą wyjadania zimnych resztek z lodówki. A coś mu mówiło, że u ciotki Wandy te resztki mogą być epokowe.

Zabawne, pomyślał, przemierzając korytarze, podesty i półpiętra. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? W całym domu niemal z każdej ściany spoglądał na niego Pułkownik Popiełowski uwieczniony na zdjęciach w przeróżnych sceneriach, pozach i okolicznościach. Pułkownik w mundurze, Pułkownik przy świątecznym stole, Pułkownik w tańcu, Pułkownik z niemowlęciem, Pułkownik z kotem, Pułkownik na plaży, Pułkownik w górach, Pułkownik na Kasztance… a nie, to akurat Piłsudski. Tu i tam trafiały się fotografie innych członków rodziny – wpierw szaro-żółte, potem czarno-białe, coraz bardziej kolorowe, coraz bardziej wyraziste, aż do współczesnych wydruków cyfrowych, na których uwieczniano uroczystą podniosłość rodzinnych wydarzeń, ale też radosny chaos wakacji czy dziecięcych wygłupów. Tak go to zaciekawiło, że prawie zapomniał o głodzie, podążając przez dom za kolejnymi zdjęciami. Ale tylko prawie. Kiedy Maciejka zszedł wreszcie na parter, czarowny zapach kapustki poprowadził go już prościuteńko do kuchni. Przez uchylone drzwi na korytarz wymykało się pasmo ciepłego światła.

– …przecież my wiemy, że to jest twój dom – usłyszał spokojny głos Krystyny. Odruchowo zwolnił kroku, aż wreszcie zatrzymał się przed progiem i ostrożnie zapuścił żurawia.

Mimo późnej już pory rodzeństwo Jędrzejczyków w komplecie siedziało przy stole. Krystyna z Henrykiem wpatrywali się z wyraźną troską w ciotkę Wandę, która w milczeniu lepiła pierogi. Jej dłonie zdawały się żyć własnym życiem, gdy sklejały krążki sprężystego ciasta wokół kapuścianego farszu, wieńcząc je zręcznie fikuśną falbaneczką. I znów, i kolejny,

pieróg za pierogiem, rządek za rządkiem, od brzegu po brzeg kuchennego stołu. Niezmordowanie.

– Wandeczko… już chyba dość nalepiłaś? – odezwał się dziadek niepewnie. – Zostaw już te pierogi i porozmawiajmy. To nie może tak… no, no nie może. Nie może tak być. To się sprawdzi, to nawet nie musi być prawda, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. A nawet jeśli nie będzie dobrze, to nie jest przecież powiedziane, że tak musi zostać, to nie jest tak, że się nie da nic… a nic, Wandeczko…

– Lepiej zrobić za dużo niż za mało. Dam wam do domu, zamrozicie sobie.

– Przecież wiesz, że nie lubię pierogów – przypomniała siostrze łagodnie Krystyna. – Odłóż to na chwilę, musimy porozmawiać. To się na pewno da jakoś wyjaśnić, rozwiązać, na pewno.

– Nie lubisz?

– Nie, zjeść zjem, ale nie lubię, nigdy nie lubiłam. Wanduś, błagam, skup się. Przecież nie możemy tego tak zostawić.

– No to dam ci uszek.

Chociaż próbowali i próbowali, dla Wandy nie istniał świat poza pierogami z kapustą. W końcu Krystyna spojrzała bezradnie na brata, lecz i on mógł co najwyżej wzruszyć ramionami. Wstali więc i wyszli, zostawiając najstarszą siostrę z jej dziełem stworzenia.

Ciotka Wanda odłożyła ostatni pieróg na stół, miskę po farszu wrzuciła do zlewu. Po namyśle wyjęła ją jednak i dała na bok. Napełniła wodą spory gar i odstawiła na kuchenkę.

– No, to pierogi ulepione, jeszcze tylko podgotować, olejem przeciągnąć… Ale to zaraz. Teraz by trzeba się zabrać pomału za sernik, sernik lubi odstać – mówiła do siebie i rozglądała się po pomieszczeniu, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze zostało do zrobienia z rzeczy najpilniejszych. – Twaróg przemielić, tak ze trzy razy najlepiej. Jaja ubić. I mak zagotować na masę, tak, koniecznie. To od razu grzyby nastawię, niech się moczą, bo grzyby muszą się dobrze namoczyć…

Lecz gdy do kuchni niespodziewanie wślizgnął się Maciejka, ciotka podniosła na niego bezradny wzrok, jak gdyby wiedziała wszystko, tylko nie najważniejsze: od czego zacząć? Jak żyć? Co robić?

– Zostaw to, dziecko, zostaw, idź się pobawić – powtarzała, lecz chłopak bez słowa zakasał rękawy, opłukał ręce pod kranem i zabrał się do mielenia twarogu. Każdy obrót korbką wymagał sporo siły, bo maszynka była żeliwna, ciężka i naprawdę stara. Maciejka nigdy wcześniej nie widział podobnego ustrojstwa, dlatego przyjrzał mu się z zaciekawieniem. W dolnej części, tej, która jak imadło zaciskała się na drewnianym blacie kuchennym, dostrzegł wypukłe litery układające się w napis: ALEXANDERWERK. Na ten widok naraz zamajaczyło mu mgliste wspomnienie, że przecież dziadek Henryk o czymś wspominał, o czymś…

– Co, ręka omdlewa? – Ciotce nie umknęło, że chłopak na chwilę przestał kręcić korbką, choć zinterpretowała to po swojemu. – Ciężko chodzi, ciężko, za to mieli jak złoto. Nie zamieniłabym jej na żadną inną, żadną! Chociaż Pułkownik mi kupił, i to taką elektryczną, Predom, wszystkie sąsiadki mi jej zazdrościły, jakby było czego. Marek też mi kupił, nawet niedawno, taką nowoczesną, z jakimiś tam końcówkami, że nic, tylko stać i patrzeć, jak się samo zrobi, ale gdzie tam, takie plastikowe byle co, to się nawet nie umywa. Ta najlepsza. Tylko to trzeba dbać, bo jak się dba, to służy. I proszę, jak mieli. Chociaż chodzi ciężko. Ale co

tu się dziwić, jak ona starsza ode mnie. A nie wygląda! Pamiętam, że to jeszcze Oma pokazywała ojcu, jak to rozkręcić, jak czyścić, smarować, co do czego, ojciec to bardzo szanował. Bardzo. Henryk tego nie pamięta, bo Omie się zmarło, jak on nawet jeszcze nie chodził. Ale ja pamiętam. Pamiętam doskonale, tu przysiadywała, na takim fotelu przy piecu, bo tu kiedyś piec stał, a przy nim fotel, ten, który teraz stoi u mamy, i Oma tak siedziała i lepiła te pierogi, że człowiek się ani obejrzał, a tu wszystko gotowe. Lubiła mieć zajęcie, bo mówić to za wiele nie mówiła. Znaczy, mówiła, tylko myśmy nic nie rozumieli, poza mamą, świętej pamięci, mama zawsze z nią pogawędziła, poszwargotała po ichniemu. Ale ojciec to był bystry człowiek, jemu nie trzeba było mówić, raz-dwa podłapał, jak mu się pokazało. No to mu Oma pokazywała, i w domu, i w sadzie, bo to trzeba dbać, powtarzała mamie, a mama nam, nieważne, czy my, czy oni, trzeba dbać o ziemię, o dom, o wszystko. Pamiętam. A ojciec to bardzo szanował, bardzo. Dla niego ten dom… ten dom to był jak gwiazdka z nieba. Tak zawsze powtarzał, ja to do dziś pamiętam. Jak gwiazdka z nieba. I że w życiu to się człowiekowi układa różnie, ale dom to dom.

Krzątając się machinalnie po kuchni, ciotka Wanda mówiła i mówiła, niby do niego, ale bardziej do siebie, a Maciejka kręcił korbką i słuchał. Bo choć nauczył się, że mówienie też ma przyszłość, to wciąż pamiętał, ile człowiek może osiągnąć, jeżeli czasem na chwilę zamilknie.

ROZDZIAŁ | 16

Tej nocy Tereska Trawna osiągnęła kres ludzkiej wytrzymałości.

Nadmiar odkryć, przeżyć i tak zwanego łona rodziny odbijał się teraz echem tętniącym pod jej czaszką. Przeciążona kostka też zgłaszała zastrzeżenia, a w zmęczonych ramionach i barkach rozkwitały zakwasy. Tereska miała dość, miała dość, miała tak serdecznie dość… Spowiła się kołdrą i kapą niczym kokonem, tak że na zewnątrz wystawały jej tylko twarz i dłoń, w której kurczowo ściskała komórkę.

– Mysza? No cześć… – Uradowany głos Andrzeja niczym miód oblepił jej serce.

– Andrzej, ja już nie mogę – wycharczała do telefonu. – Ja. Już. NIE MOGĘ. Nie idzie spać w tym przeklętym domu, nie idzie oddychać, nic nie idzie, co najwyżej w łeb sobie palnąć albo co, wszystko mnie już boli, gacie cisną mnie pod pachami, wyglądam jak ostatni obrzępała i do tego wszystkiego skończyły mi się kasztanki. Andrzej, ja tu nie wytrzymam, ja nie takich świąt chciałam!!!…

Żaliła się małżonkowi długo i kwieciście, a on słuchał cierpliwie, pocieszał i powtarzał, że gdy tylko zdoła, gdy tylko uniezależni się nieco czasoprzestrzennie, to wtedy natychmiast po nią przyjedzie i wyrwie ją z tego piekła, z tej rodzinnej otchłani. Za to jedno mogła przecież zrobić od razu, bez niczyjej pomocy, zauważył przytomnie. Bo tak właściwie to w imię czego męczyła się w tym chlewiku?…

Musieli kończyć, bo Andrzejowi nagle zaczęło się spieszyć. Choć do motyla wciąż było jej daleko, zbuntowana Tereska wyplątała się z kokonu, zarzuciła sobie kapę na plecy, poduszkę wcisnęła pod pachę i prawie dziarsko pokuśtykała z tym majdanem do saloniku babuni. Co prawda fotel nie mógł się równać z pełnowymiarowym łóżkiem, ale tu przynajmniej panowała temperatura bliższa żywemu ciału – nie to co w arktycznym klimacie chlewika, gdzie w każdej chwili mogłyby się zalęgnąć białe niedźwiedzie. Tereska aż westchnęła z lubością, moszcząc się w ciepełku, które biło od pobliskiego kaloryfera. Nim się obejrzała, zaczęła odpływać, świat przed jej oczami rozpływał się pomału w smugach i ciszy. I tylko przez ułamek sekundy, przez to ostatnie drgnienie powieki, które dzieliło jawę od snu, Tereska Trawna była gotowa przysiąc, że w cieniach przedsionka ktoś stoi.

Już prawie, prawie spała, gdy z błogiej nieświadomości wyrwały ją naraz dwa dźwięki: pisk i łomot. A może łomot i pisk?… Tak czy siak, gdyby nie wysokie podłokietniki starego fotela, Tereska jak nic zwaliłaby się twarzą w ślad za kulami – bo to one załomotały, przewróciwszy się na podłogę. Ale co tak piszczało?

– KTO TAM JEST?! – Tereska ryknęła zaczepnie w ciemność, prostując się na tyle, na ile pozwalały jej obolałe plecy. Lodowaty dreszcz przeszył zakwaszone mięśnie. Wspomnienie postaci w cieniu, która jak gdyby czaiła się tam, czyhała, wypatrywała morderczej okazji, dotarło do niej w ułamku sekundy. – POKAŻ SIĘ, DO JASNEJ CHOLERY!!!

– TE… TERESA?! – dobiegł drukowanymi literami trel tyleż słodki, co wyraźnie strwożony. I doskonale jej znany. Aż odetchnęła z mocą miecha kowalskiego.

– Oczywiście, że Teresa, a kto?! Duch Święty?!

W przedsionku rozległ się cichy rumor, a potem pstryknął włącznik, błysnęło światło i do saloniku zajrzało zjawisko w gustownym negliżu, zwane Agniesią. Oddychała ciężko z dłonią przyciśniętą do piersi.

– Przez chwilę… przez chwilę MYŚLAŁAM, że to babunia tam siedzi… Teresa, ty się MUSISZ ufarbować, ty nie możesz tak ludzi straszyć! Znaczy – zreflektowała się – jeśli ci nie PRZESZKADZA, że wyglądasz staro, to się nie farbuj oczywiście. Ja nie umiałabym się czuć TAKA brzydka, ale skoro pracujesz w domu i rzadko bywasz wśród ludzi… to czemu nie. W TYM wieku to już pewnie wszystko jedno, co?…

– A co ty tu robisz, Agniesiu?

– Ja… Ja… – Agniesia na próżno usiłowała odpalić zdanie, aż w końcu wpadła do saloniku, furkocząc dramatycznie szlafroczkiem, opadła na podnóżek i przyjęła pozę znamionującą głęboką rozpacz. – Och, ja przez niego OSZALEJĘ! Nie wiem, co mu strzeliło do głowy!

– Domyślam się, że Janowi z Jakubem? Co znowu?

– Ja już nie wiem, co z nim zrobić!

Cóż, Tereska miałaby kilka propozycji, w tym co najmniej jedną dość fantazyjną, ekstrawagancką wręcz, z akcesoriami i w ogóle, lecz przezornie zachowała je dla siebie. Tu nie chodziło o jej najdziksze pragnienia, a o pragnienia kobiety na skraju desperacji, nawet jeśli była to Agniesia. Nawet po śmierci babuni jej salonik wciąż magicznie przyciągał, choć już nie dzieci, lecz kobiety spragnione rozmowy. Albo sabatu.

– Tak podkręcił ogrzewanie w całym domu, że oka nie mogę zmrużyć w tym UKROPIE. Chociaż jako osoba NADPRZECIĘTNIE szczupła z reguły bardzo łatwo marznę – podkreśliła Agniesia. – Bardzo łatwo. Proszę, żeby skręcił, tłumaczę, że SAMA przecież nie pójdę DO PIECA, ja nawet nie wiem, jak się ten piec obsługuje, to nie jest przecież moją rolą, żeby wiedzieć takie rzeczy! A przecież oboje wolimy spać w chłodzie, a już zwłaszcza TERAZ, kiedy jestem w ciąży, aż mi niedobrze z tego gorąca, KOSZMARY mi się śnią, Teresa, noc w noc koszmary o płaczących dzieciach, takich zawodzących jękliwie, aż się budzę spocona i nadal je słyszę, w uszach mi dzwonią, ale NIE! On nie słucha, on wie lepiej, jak grochem o ścianę! A ja już nie mogę, TERESA, już nie mogę w tym gorącu, ja się muszę wyspać, mnie się z tego niespania zaraz OWAL posypie!!!

Tereską aż zatelepało. Agniesia również uprawiała komunikację międzyludzką metodą nalotu dywanowego. Chociaż należało podkreślić, że w przeciwieństwie do Henryka Jędrzejczyka czy jego starszej siostry robiła to niemal wyłącznie w chwilach emocjonalnego wzmożenia, jak teraz. Zrzucała na bezbronnego rozmówcę słowa w liczbie nieprzebranej, po czym odjeżdżała w stronę zachodzącego słońca, zanim oszołomiony człowiek zorientował się, co go trafiło. Refleksja docierała dopiero po fakcie, zazwyczaj przykra i spóźniona bardziej niż Pan Słowik na kolację. Boże drogi, przemknęło Teresce przez porażony tym odkryciem umysł, czyżby geny były aż tak nieprzejednane?…

– …trochę narzeka – dywagowała tymczasem Agniesia na temat dowolny – że czterdzieści pięć metrów to ciasnota, zwłaszcza z niemowlęciem, ale JA wychodzę z założenia, że można wszędzie widzieć PROBLEMY, a można widzieć PRZESTRZEŃ, widzieć OGROM

rozwiązań. Oczywiście, przeprowadzka to też opcja, mama zrozumie, mama sama przecież tak zrobiła, kiedy zaszła potrzeba, że tak powiem, WYŻSZA potrzeba. Ale czasem wystarczy się OTWORZYĆ i WYKREOWAĆ rozwiązanie…

Korzystając z tego, że jej kuzynka mimo wszystko musiała od czasu do czasu zaczerpnąć głębiej powietrza do dalszych spazmów i rozważań, Tereska w przebłysku natchnienia wykreowała rozwiązanie i cisnęła nim w Agniesię:

– Możesz się położyć w chlewiku, jeśli chcesz. W chlewiku nie ma kaloryfera, nic tam nie grzeje. Tylko przynieś swoją poduszkę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ja z dwojga złego wolę jednak spać w fotelu. Tam za bardzo marznę, aż mnie potem kostka rwie.

Agniesia przechyliła głowę na znak głębokiego zasmucenia tym faktem.

– No tak. No TAK. Kolagen? Skóra wiotczeje, stawy już nie te…

– Agniesiu… idź. Po prostu idź po tę poduszkę.

Trzeci raz nie musiała powtarzać. Promienista pastelowa Agniesia z furkotem negliżu pospieszyła na stryszek. Spełniwszy ten dobry uczynek, ani chybi w ramach okołoświątecznych cudów, Tereska mogła wreszcie powrócić do relaksu.

Niestety, nie cieszyła się nim długo.

– PŁACZE MI! – Od strony schodów poniósł się szloch Agniesi. – ONO MI CIĄGLE PŁACZE!!!

Tym razem narobiła takiego rabanu, że ściągnęła nie tylko Tereskę o kulach, lecz także Krystynę. Jej również dał się we znaki nadmiar emocji, bo od dwóch godzin usiłowała się wyciszyć i zasnąć. W końcu sięgnęła po książkę, licząc na to, że rozterki wewnętrzne Stanisława Wokulskiego i Izabeli Łęckiej zadziałają na nią nasennie, ale tylko jeszcze bardziej ją rozbudziły. Jedno głupsze od drugiego… Miała ochotę wpaść do tej dziewiętnastowiecznej Warszawy i rozgonić towarzystwo na cztery wiatry. A tu proszę, jakby nie dość jej było literackich uniesień, musiała jeszcze wyleźć ta ciućma i szlochać na korytarzu. Durna ciućma, bez dwóch zdań…

– Ale że co ci płacze? – zapytała, zaciągając poły luźnego swetra na piżamę w kotki.

– No DZIECKO!

– To… to chyba trochę za wcześnie?… – Zaintrygowana Krystyna minęła siostrzenicę i wspięła się kilka stopni wyżej, znikając na moment Teresce z oczu. – Jasna cholera… – usłyszały po chwili. Krystyna zbiegła do nich z powrotem. – Faktycznie płacze!

– Ty też to słyszysz? – zdziwiła się Agniesia.

– Tak!

– Ale ty nawet NIE JESTEŚ w ciąży!

Gdyby Tereska stała ciut bliżej albo miała choć trochę dłuższą rękę, Agniesia doznałaby teraz bliskiego spotkania z kulą ortopedyczną w miejscu krępującym. Krystyna przymknęła na moment powieki i już miała powiedzieć siostrzenicy coś od serca, lecz w słowo wszedł jej znajomy burkliwy głos.

– Co znowu?

Trzy gracje, jedna zwiewna, druga kulawa i trzecia w kotki, odwróciły się do Marka, którego to nagłe poruszenie jak nic wyciągnęło z łazienki. Włosy miał wilgotne, a na uchu smugę z mydlin.

– Dziecko gdzieś płacze! Słyszysz?

– Że moja siostra ma hyzia na tle, to jeszcze rozumiem, ale wy dwie? – Wyraźnie zdegustowany Popiełowski wyminął Tereskę z Agniesią, a potem Krystynę. Tam zatrzymał się na kilka sekund, nasłuchując w skupieniu. Gdy ruszył po ostatnich stopniach na stryszek, ciotka z siostrzenicą natychmiast poleciały za nim.

Zdeterminowana Tereska ani myślała znów czekać, aż jej ktoś łaskawie streści, co się tam wyprawia. Cisnęła kule i ruszyła na czworakach w górę niestabilnych wymiarowo schodów, którym zawdzięczała kontuzję. Minęła okienko na ćwierćpiętrze, nabiła sobie kilka nowych siniaków i wgramoliła się na stryszek w tej samej chwili, kiedy Marek odsunął na bok drewnianą skrzynię. Schylił się, złapał za róg starego dywanu i pociągnął.

Pod spodem widniała sporych rozmiarów klapa. Służące do jej podnoszenia kółko zostało zdemontowane, ale między podłogą właściwą a ruchomą częścią była na tyle duża szpara, że Marek zdołał tam wcisnąć dwa palce i dźwignąć. Skrzypnęły zawiasy, dmuchnęło chłodem – i z odsłoniętego otworu w ułamku sekundy wystrzelił jasnorudy kształt, drąc się jak opętane niemowlę. Kilkoma susami pokonał stryszek, przesadził Tereskę i zniknął im z oczu.

– BIGOS!!! – zapiała Agniesia.

– No i zagadka rozwiązana. Jakiś geniusz zamknął kota w stodole. – Marek zmarszczył brwi, widząc kuzynkę na klęczkach. – A ty co?

– A ja w normie rozwojowej – wysapała twardo Tereska. Doczworakowała do dziury i z wielką ciekawością zajrzała do środka. Skoro już tu wlazła, musiała sprawdzić, gdzie też uwięziono Bigosa. Rzeczywiście, tak jak mówił Marek, pod tą częścią podłogi stryszku kryła się stodoła za dawnym chlewikiem. Tereska wyłowiła wzrokiem pierwsze szczeble drabiny przystawionej do klapy, a gdzieś dalej, w dole, pojedyncze smużki ulicznego światła, które przebijało się między deskami. Poza tym w stodole było ciemno jak w miejscu wiadomym. – Biedny kot… Musiał tam długo siedzieć.

Uwagę Marka przykuła tymczasem nowa zagadka. Łóżko Kubasiuków było puste, Jana Jakuba gdzieś wcięło. Niby mąż roku, zięć dekady, a żony przed omamami nie uratuje.

– A gdzie ten twój rozkoszny cud natury? – zwrócił się do siostry, wskazując na rozgrzebane łóżko. Puste łóżko. – Spłoszyło go łkanie dzieciątka czy nadal strzela focha?

– W łazience! – odparła Agniesia z godnością. – Zażywa ZASŁUŻONEGO relaksu po tym, jak został niewinnie POTURBOWANY.

– Niby której łazience? – drążył Marek, ale siostra naskoczyła na niego zapalczywie:

– A skąd ja mam WIEDZIEĆ?! Mój mąż ma prawo do PRYWATNOŚCI!!!

– Jakby to kogokolwiek obchodziło! – syknęła Krystyna, bo od nadmiaru drukowanych liter resztki cierpliwości uleciały z niej jak sen złoty. – Już! Do łóżka! Wszyscy! Mam dość dramatów jak na jeden dzień. Tydzień. Na całe życie!!!

Bez ceregieli pchnęła Marka w ślad za kotem, po czym chciała razem z Agniesią dźwignąć Tereskę z podłogi, ta jednakże wyraziła stanowczy protest. Jeśli miała znów schodzić po tych stopniach grozy, w dodatku z kotem ponownie grasującym po domu, to wyłącznie sprawdzoną metodą czteroliterową. Nawet jeśli zwali się na twarz, to przynajmniej lot będzie krótszy, a obrażenia lżejsze. Prawdopodobnie.

Kilka minut później wśród nocnej ciszy trzasnęły wreszcie drzwi dwóch sypialni i jednego chlewika, a Tereska raz jeszcze opatuliła się kapą w babcinym fotelu i przymknęła coraz cięższe powieki. Zasnęła twardo jak kamień.

I całkiem zapomniała o postaci kryjącej się w cieniu.

SOBOTA

ROZDZIAŁ | 17

Pierwsze oznaki świtu nieśmiało zarysowały się na horyzoncie, gdy po rodzinnym domu Jędrzejczyków kolejny już raz poniósł się rozpaczliwy krzyk.

Rozpaczliwy krzyk Henryka.

Dobra, może nie sprawdził się w roli ojca, może zafundował jedynaczce kilka urazów zamiast syrenki Barbie, zestawu Lego Paradise i prawie oryginalnego plastikowego kucyka z wzorkiem na zadzie, lecz nadal był jej ojcem, a ona nie życzyła sobie więcej pogrzebów, a już zwłaszcza TEGO pogrzebu, bo śmierć rodzonego ojca to jedno, a spazmy rodzonej matki nad trumną eksmałżonka drugie i takiej kumulacji Tereska już by chyba nie zniosła, nie zniosła i już – dlatego gnała. Gnała jak wiatr, trochę kulawy, trochę chaotyczny, ale wiatr. Z dzikim tętentem kul wpadła do właściwego korytarza, odbiła się wpierw od Krystyny, potem od boazerii, po czym we dwie weszły razem z drzwiami do zegarowego.

Wszędzie było pierze. W powietrzu, na meblach, wszędzie, jak gdyby w środku eksplodowała pierzyna. Dopiero gdy trochę opadło, ich oczom ukazała się pusta ściana, poniżej zaś kłębowisko pościeli, od strony wezgłowia zwieńczone starym zegarem z wahadłem.

Który spadł.

Rany boskie.

SPADŁ. ZE ŚCIANY.

– Tato!!! – wrzasnęła Tereska.

– Bogna!!! – krzyknęła Krystyna.

– BIGOS!!! – jęknął Henryk spomiędzy pościeli.

Tereska chyba drugi raz w życiu myślała, że jak nic zemdleje z ulgi. Cisnęła kule byle gdzie i razem z Krystyną rzuciły się na pomoc Henrykowi. Przy czym głównie pomagała Krystyna, a Tereska, balansując na jedynej zdrowej nodze, starała się chociaż nie dokładać ciotce zajęcia.

Ulga zaraz w niej wezbrała, gdy okazało się, że ojciec leżał w łóżku sam. W dodatku, z jakiejś niepojętej przyczyny, nie leżał w nim jak człowiek, lecz na ukos, ze stopami tam, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i powszechnie przyjętego obyczaju powinna się znajdować głowa Bogny. Tylko dzięki temu zegar spadł na pustą poduszkę, miażdżąc sprężyny starego materaca, zamiast zmienić czaszkę Henryka w krwawą miazgę.

Nic dziwnego, że Henryk cały aż drżał i był bledszy niż pościel, w której leżał.

– Jakim… jakim cudem?… – zapytała Tereska, gdy udało im się posadzić wstrząśniętego ojca.

– A bo… bo… bo Bogna… – zaczął Henryk i wyjątkowo nikt mu nie przerywał, nie kazał się streszczać, zwłaszcza że jak rzadko kiedy trzymał się jednego wątku, co już samo

w sobie dowodziło, w jakim musiał być szoku. – Bogna nie wróciła na noc, tak myślałem, że się ta operacja przeciągnie, to się można było spodziewać, ludzie to rzeczywiście bez wyobraźni, żeby tak berneńczyka… na kolanach… i tak się złożyło, że przyszedł do mnie Bigos, zawsze przychodzi, kiedy Bogny nie ma, on już tak ma, że lubi bliskość, tylko bez tłoku, i zasnęliśmy razem, ale tak się jakoś chyba przez noc przesuwał i przesuwał, i przesuwał, że i ja tak się jakoś chyba przesuwałem i przesuwałem, i przesuwałem, i… no i tak. Tak. Ja nie narzekam, naprawdę, nie narzekam, ale sam nie wiem, co mnie wystraszyło bardziej, ten zegar tak znikąd czy Bigos, kiedy mi nagle wystrzelił…

Dopiero teraz Tereska pojęła, skąd te cieniutkie krwawe sznyty na czole ojca. To były ślady po kocich pazurach – najwyraźniej czoło posłużyło spłoszonemu Bigosowi za coś w rodzaju pasa startowego, kiedy zegar runął ze ściany. Biedny kot… Te święta mocno odbijały się na jego nerwach. Tereska zaczynała z nim empatyzować.

Upewniwszy się, że Henryk dochodzi do siebie, pozwoliły mu wreszcie poczłapać do łazienki i doprowadzić się do porządku, a same zaszyły się w kuchni.

– Zaczynam wierzyć, że babunia przeklęła ten dom – wyznała półgłosem Alina, stawiając przed Tereską kubek świeżej kawy oraz talerz z bułkami. Warstwa dżemu truskawkowego była tak szczodra, że prawie rekompensowała poranną dawkę kasztanków. Święta kobieta, bez dwóch zdań…

– Myślisz? – wybełkotała Tereska z pierwszym kęsem w ustach. – W odwecie za machlojki dziadunia?

– A nie? Tej coś miauczy, tej trzeszczy, wszystko się sypie…

– Co znowu? – zapytała życzliwie, bo spostrzegła, że Maciejka, którego śniadanie przyciągnęło jak kolonię mrówek, wpatrywał się w nią z zastanawiającą intensywnością. Myślał. Myślał, jakby jutra miało nie być.

– Mamo, a właściwie to gdzie ci tak trzeszczało?

Tereska upiła łyk kawy i zmarszczyła czoło, jak gdyby to mogło pobudzić stosowne procesy.

– No… wszędzie – odparła wreszcie. – Serio, ten dom w nocy jest bardziej akustyczny niż opera narodowa. Pierdniesz w piwnicy, a w kuchni szklanki dzwonią. Wy może jesteście przyzwyczajeni, ja nie. A co? Czemu pytasz?

I wtedy stało się coś niewiarygodnego. Maciejka odłożył nietkniętą bułkę z powrotem na talerz, jak gdyby nie był głodny. Gorzej! Jak gdyby coś było ważniejsze od jedzenia!

– Muszę coś sprawdzić! – rzucił i w te pędy pobiegł do jadalni.

– Nie, nie, to nie na moje nerwy… – wybełkotała jego matka, dopiła kawę, zgarnęła kule i podążyła za drugorodnym. Najwyraźniej po wczorajszym dniu również i ten zamierzał przyjąć bardziej żywiołowy przebieg, gdyż czemu nie! Alina odprowadziła ją pełnym współczucia spojrzeniem.

– Testowaliśmy z bieżącym Barankiem parę opcji na wypadek jakiejś awarii na łączach – wyjaśnił Maciejka, kiedy Tereska dołączyła do niego w jadalni. Siedział przy laptopie i klikał coś raz po raz jak szatan. – Zostawiłem nagrywanie. I chyba… chyba…

– Czy ja się w końcu dowiem, o co chodzi z tym bieżącym barankiem, czy się nie dowiem? – zapytała Tereska na tyle uprzejmie, na ile pozwalała jej nadmierna dynamika kolejnego już poranka. Jak gdyby świat postawił sobie za cel przekonać ją wreszcie do

przytomnienia w ciągu pięciu minut od wypełznięcia z pościeli. Cóż, jak na gust Tereski stanowczo przesadzał ze środkami. Oraz z zapałem.

– Obawiam się, że to przeze mnie – przyznał Maciejka, uśmiechając się przepraszająco do matki i ciotki zza ekranu laptopa. – Ale jak ciotka powiedziała, że dzwoni do niej Baranek, to zaraz mi się skojarzyło z pieśnią narodową. No wiesz. „Na głowie kwietny ma wianek, w ręku zielony badyyyleeek, a przed nią bieży baraaanek, a nad nią lata motyyyleeek!" – zaryczał, trafiając mniej więcej w co trzecią nutę, po czym zakrzyknął donośnie: – TAK! Coś się nagrało!

Matka z cioteczną babcią natychmiast zawisły nad nim jak dwa wyrzuty sumienia. Kliknął, odpalając plik. Ich oczom ukazało się ujęcie na jadalnię i spory fragment korytarza, widoczny za otwartymi drzwiami.

– Synu, da się to jakoś w miarę szybko przejrzeć? – zapytała Tereska, bo nagranie z kamerki trwało ponad trzy godziny.

– Jasne, wystarczy odpalić przyspieszenie. Ale nie liczyłbym na wiele – podkreślił. – To nie jest demon wśród kamer, nie powala jakością obrazu.

– Brałam, co było – powiedziała Krystyna przepraszająco, bo rzeczywiście, obraz pozostawiał sporo do życzenia. Mimo to wpatrywali się w niego jak w bezcenne arcydzieło, skrywające tajemnice wszechświata. Kiedy do jadalni zajrzał Marek, uciszyli go równie bezlitośnie, co bezsensownie, jako że sama kamera nie rejestrowała dźwięku, a mikrofon w laptopie był wyciszony. Bardzo przezornie, uznała Tereska, inaczej ta rodzina miałaby spore szanse zostać hitem internetu.

Kamera uwieczniła dom pogrążony we śnie, bo wszystko było ciemne i znieruchomiałe. Tylko z przeciwległej strony korytarza rozlewała się blada poświata zostawionego w kuchni światła. Przyspieszone nagranie było tak statyczne, że Tereska raz czy drugi zerknęła, czy aby na pewno się dalej odtwarza. Nic. Absolutnie nic się nie działo. Minuta za minutą, ściśnięte teraz do sekund, płynęły i płynęły – aż naraz coś jakby mignęło. To było krótkie drgnienie obrazu, ledwo uchwytne; przeoczyliby je na bank, gdyby nie przyglądali się tak intensywnie.

Maciejka natychmiast zatrzymał nagranie i zaczął cofać z uwagą, powoli, klatka po klatce.

Przez otwarte drzwi jadalni widać było jak na dłoni, że korytarzem przemknęła ciemna, niezaprzeczalnie ludzka postać. Przypominało to trochę zdjęcia z rzekomym yeti czy innym fantastycznym stworem – na tyle wyraźne, żeby podsunąć obserwatorom mglistą sugestię, i na tyle rozmyte, by nie dało się jej ani potwierdzić, ani obalić. Nie dało się określić ani płci, ani wieku intruza, nie mówiąc już o jego tożsamości, ale jedno nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Na nagraniu widniał człowiek.

– Drewno pracuje, psia jego mać… Miałam rację! – triumfowała Tereska. – Ktoś się nocą kręcił po domu i trzeszczał!

– Ktoś obcy? – zapytała z niepokojem Krystyna.

– No raczej, swój by się chyba przyznał do trzeszczenia? Bądź co bądź to nie rzeżączka.

– Ale czego miałby tu szukać?

– Nie wiem, może się zgubił, może przechodził z tragarzami?

I w tym momencie Marek, który świdrował ekran laptopa wzrokiem, nie tracąc czasu na mruganie, doznał iluminacji.

– NIEBOSZCZYK! – wykrzyknął, wybałuszając oczy na Tereskę.

– W sensie, że Popiełowski? Co z nim?

– Wiedziałem, że coś mi tu nie gra! Jasna cholera… Ten łysy absztyfikant mojej siostry. Kiedy tu przyszedł z testamentem, poprosił, żeby mu wskazać drogę, co nie?

– Mógł się czuć nieco zagubiony – przyznała Tereska.

– Fakt – przytaknęła Krystyna. – Pewnie pierwszy raz nie wchodził do środka przez klapę, tylko drzwiami, jak człowiek.

– A ten tam Popiełowski? – ciągnął Marek. – Wejść do domu mógł łatwo, pewnie nikt nie przekręcił za sobą zamka. A potem co? No? Sam znalazł drogę do jadalni? Tak po prostu? W tym domu?!

– Masz rację – poparła siostrzeńca Krystyna. – Wystarczy, że pomyliłby portret Pułkownika z Piłsudskim, skręcił po złej stronie papieża i już trafiłby do suszarni zamiast do jadalni. I to w najlepszym razie!

– Czyli musiał znać drogę – podsumował Marek. – Czyli musiał tu być już wcześniej, jeszcze przed stypą. Wiedziałem, że coś mi tu nie gra!

– Ale że co? – Maciejka próbował nadążyć za rozumowaniem dorosłych. – To nieboszczyk tu się kręcił po nocy czy jak?

– Raczej nieżyjący – poprawiła Tereska. – Czyli… boszczyk. Bo jeśli się kręcił, to raczej przed swoją śmiercią niż po śmierci. Przednieboszczyk? Prawie że nieboszczyk? Wkrótce denat?

– Dobrze się bawisz? – przerwał jej te rozważania semantyczne Marek.

– Całkiem nieźle, dziękuję. Tak czy siak, nie wydaje mi się, żeby to był nieboszczyk Popiełowski. Zresztą w nocy po stypie to nie byłoby wcześniej, tylko później, czyli i tak nie znałby drogi.

– Co? – rzucił Marek, który kompletnie zgubił się w tym wywodzie. Nie on jeden, sama Tereska też zwątpiła.

– Nieważne. Ważne, że ktoś tu chodził i ktoś naniósł ten śnieg.

– No. Ten, co trzeszczał.

– Czekaj no… Synu, z której nocy jest to nagranie?

Po sprawdzeniu dat w plikach okazało się, że uwiecznili drugą noc, jaką Trawni spędzili w tym domu. Po tąpnięciu Marka, a przed upadkiem zegara.

Tereska zamyśliła się głęboko. Tak, ktoś chodził nocami po domu i trzeszczał. A potem w jednym pomieszczeniu załamała się podłoga, w drugim zaś spadł zegar, który wisiał tam od lat. Może była skrzywiona, może paranoja dywanowa pozostawiła po sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu, ale… To trochę za dużo nieszczęśliwych wypadków jak na gust Tereski.

Złapała kuzyna za łokieć, przyciągnęła do siebie i odezwała się półgłosem:

– Marek…

– Co?

– Weź ty rzuć okiem na ten zegar u ojca. Tylko dyskretnie, bo coś… coś mi tu śmierdzi.

Marek przez chwilę przyglądał się kuzynce, po czym skinął głową i poszedł, nie zadając żadnych pytań, za co była mu bardzo wdzięczna. Maciejka też się zmył, przypomniawszy sobie o porzuconym śniadaniu.

Śniadanie? To był właściwy trop, ten dzieciak miał łeb na karku. Zjeść śniadanie, wypić kawę, upodobnić się do człowieka. Tak. Stanowczo się upodobnić. Dopiero teraz

spostrzegła, że jej całodobowy sweter, już i tak proszący się o pranie, wzbogacił się nieoczekiwanie o pierze z pościeli i krew z czoła ojca. Dzieła dopełnił dżem truskawkowy z pospiesznie pochłanianej bułki. Tereska przełknęła ślinę i posłała ciotce błagalne spojrzenie.

– Kryśka, ratuj.

Ciotka szybko zlustrowała strój bratanicy i skwitowała krótko:

– O rany boskie… Dobra, czekaj, tylko wezmę torebkę, skoczymy szybko. Coś jeszcze powinno być dziś otwarte. Raczej nie dom mody, prędzej jakieś Tanie Odzianie.

– Może być nawet Noszę Za Grosze, byle czyste i mniej więcej w moim rozmiarze – zapewniła solennie Tereska. – Dzięki. Ratujesz mi może nie życie, ale resztki godności na pewno.

– Uznajmy, że odwdzięczam się za Maciejkę. Wstrząsająco ogarnięty młody człowiek z tego twojego syna, wiesz?

Trybiki w głowie Tereski wykonały niespieszny obrót. Nastąpiło zwolnienie blokady i jedno skojarzenie z hurgotem uderzyło o drugie.

– Kryśka… – podjęła – …a skąd ty tu w ogóle wzięłaś internet?

– Ja? Znikąd, już tu był, kiedy przyjechałam na pogrzeb.

– Internet? W domu nieremontowanym od dziesięcioleci? Zamieszkanym przez dwie kobiety pamiętające czasy metalowych kanek, repasacji pończoch i magnetofonów szpulowych?

– No tak. Wiesz, dziewczyny od dawna marudziły, że chciałyby czasem u babci odpalić sobie jakieś seriale. A potem się jeszcze okazało, że Rafał jedzie do tej Kanady i Wigilię możemy spędzić razem albo zdalnie, albo wcale. Więc się zgadaliśmy jakoś tak późną jesienią i zrzuciliśmy na ten internet. Teraz to są takie koszty, że śmiech na sali.

– Kto się zgadał?

– No ja, Marek i Agniesia.

– I kto podpisał umowę?

– Chyba… chyba Marek.

– A kto go zainstalował? Ten internet?

– Nie wiem. Ale czekaj. – Wspięła się na palce i sięgnęła po router, który stał obok kamery dla bieżącego Baranka, migając do nich zielonym światełkiem.

Na spodzie zgrabnego urządzenia ktoś przykleił taśmą karteczkę, na której wielkimi wołami stało: „HASŁO” wraz z ciągiem odpowiednich cyfr i liter, poniżej zaś przezorna adnotacja: „GDYBY NIE DZIAŁAŁO”, numer telefonu i nazwisko „P. Ruta” ujęte w nawias.

– Ruta, Ruta, Ruta… – powtarzała Krystyna w zamyśleniu. – Kojarzę nazwisko. To taka mała lokalna firma, robią różne rzeczy. Głównie montują i tak dalej.

– Możemy tam podjechać?

– Jasne, ale… po co?

– Wyjaśnię ci w samochodzie.

ROZDZIAŁ | 18

Przekazawszy Alinie, że muszą w trybie pilnym skoczyć do miasta, ciotka i bratanica ogarnęły się szybko i opuściły rodzinny dom wariatów. Odśnieżenie yariski zajęło im prawie kwadrans i gdy skończyły, obie spływały potem. Krystyna siadła za kółkiem i ostrożnie wyjechała z podwórka. Chociaż śnieg nie padał od ponad doby, osiedlowej uliczki nikt nawet nie posypał, nie mówiąc już o potraktowaniu pługiem. Na głównej drodze śnieg był na szczęście rozjechany do cna.

– O, Bogna wraca! – krzyknęła Tereska i odruchowo pomachała kobiecie w szarym fordzie, który jechał z naprzeciwka. Od tej wzmożonej aktywności ruchowej naszło ją na kolejne rozważania. – Weź mi wytłumacz jedną rzecz, bo znowu mam przebłysk – zwróciła się do Krystyny. – Jakim cudem Wanda odpuściła ci obowiązkowy związek małżeński z tym twoim bieżącym Barankiem? Przecież dla niej konkubinat to upadek moralny, dno i obraza boska.

– A to akurat bardzo proste. – Nie przestając patrzeć prosto przed siebie, Krystyna zacisnęła dłonie nieco mocniej na kierownicy. – Wanda uznała, że w moim wieku ślub to pierdoła i sprawa bardziej drugorzędna. Ważniejsze było, żebym zaszła w ciążę.

O tym nigdy nie rozmawiały. Wystarczyło, że Tereska wiedziała. Krystyna też wiedziała, że Tereska wie. Ale był to jedyny temat, którego żadna z nich nie podejmowała, chociaż obie nosiły go gdzieś z tyłu głowy. A teraz Trawna przypomniała sobie rzucane mimochodem uwagi kuzynki i ciotki – i aż się w niej zagotowało.

– No tak. Jasne. Bo kto to widział, kobieta bez dziecka, bez dziecka to nie kobieta! Bez dziecka, bez męża…

– Rany boskie, jak ty czasem nic nie rozumiesz! – Krystyna podniosła głos i aż się nim zachłysnęła. Wypuściła szybko powietrze przez usta, włączyła migacz i zjechała yariską na szerokie pobocze. Odpaliła awaryjne i przez dobrą minutę wsłuchiwała się w ich miarowe tykanie. – Okej, ale też nie za bardzo możesz rozumieć, skoro cię przy tym nie było. Przepraszam.

Tereska z namysłem skinęła głową.

– Zdarza się w najlepszej rodzinie.

– A co dopiero w naszej, co? – rzuciła z przekąsem Krystyna.

– Mów.

Chwilę potrwało, zanim Krystyna zebrała się w sobie.

– Największym wstrząsem w życiu mojej siostry była śmierć Pułkownika. Śmierć męża. I mówiąc wstrząs, mam na myśli katastrofę w skali „Titanic" kontra góra lodowa. Wanda po prostu… poszła na dno. Ani mama, ani Henryk, ani ja nie wiedzieliśmy, co robić, jak… jak jej pomóc, jak ją pozbierać. Nie wiem, czym by się to skończyło, gdyby nie jej dzieci, Marek i Agniesia. Wiesz, Wanda jest z zasady ślepa i głucha na wszystko, co wykracza poza jej

ustalone pojmowanie świata, ale to akurat dobrze sobie zapamiętała. Dlatego… dlatego kiedy byliśmy już spłukani do cna i stanęliśmy pod ścianą, wypruła się prawie ze wszystkich oszczędności, żeby nam dać na kolejne podejścia do *in vitro*. Nie dlatego, że bez dziecka jestem według niej nic nie warta albo że Rafał mnie zostawi, tylko żeby mnie kiedyś ktoś tak podźwignął, kiedy jego zabraknie. Bo jej już wtedy raczej ze mną nie będzie. – Włączyła migacz i w milczeniu czekała na przerwę w łańcuchu samochodów, żeby zjechać z powrotem na jezdnię.

Tereska tymczasem myślała. Nie spodziewała się tego po ciotce, ale cóż. Wanda Popiełowska najwyraźniej skrywała przed nią parę tajemnic.

– Marek jakoś to wtedy dźwignął – podjęła po chwili Krystyna – i postawił Wandę do pionu. Nie pytaj jak. Ale Marek w ogóle… dużo dźwiga, dużo więcej niż się Wandzie wydaje, i nie mam tu na myśli potajemnego wieszania firanek czy pucowania podłóg na należyty połysk.

– Dlatego tak się wkurza na Jana z Jakubem i to jego nieustanne chromolenie – domyśliła się w lot Tereska.

– Wiesz, jaki jest Marek. Milczy i po prostu robi swoje, bo tak i już. Cała babunia. A ten bałwan się nie certoli i truje otwarcie, jątrzy jak… jak… UCH. Mam go powyżej uszu. Nic mu się nigdy nie podoba, wszystko jest źle, wszystko trzeba skrytykować, wykpić, a najlepiej zrównać z ziemią i zrobić tak, żeby odpowiadało jaśnie panu. Kiedyś jeszcze próbowałam się z nim porozumieć, mówiłam jak do człowieka, ale… Ściana! Czy też, jak sam by to ujął: ściana!

Naraz Tereska uśmiechnęła się do myśli, która ją naszła. Nic dziwnego, że ciotka Wanda tak lubiła swojego zięcia. Pod pewnymi względami łączyło ich wiele podobieństw.

– Jak to jest w ogóle możliwe? – zapytała, zerkając z uśmiechem na ciotkę.

– Ale co?

– Że ty jako jedyna z rodzeństwa słuchasz, co się do ciebie mówi?

– Pogrobowiec, pamiętasz? – przypomniała bratanicy Krystyna, zajeżdżając z fasonem na wolne miejsce parkingowe pod kwadratowym pawilonem.

– No tak. Czyli to prawda, co mówią na dzielni. Nie jesteś taka do końca normalna.

– W skali od jednego do Jędrzejczyka? Mocne minus pięć.

Ku zgodnej konsternacji obydwu kobiet niebiesko-biały szyld nad wejściem głosił wszem wobec, że dotarły do siedziby przedsiębiorstwa DAR-INSTAL. Obok, z nieco mniejszym rozmachem, widniały wymienione liczne usługi na polu napraw i montażu – piecyków, klimatyzacji, rekuperacji oraz pomp ciepła. Stan zastany średnio im pasował do oczekiwań, mimo to Tereska z Krystyną postanowiły wejść do środka.

Wbrew ich obawom kobieta za kontuarem nie była ani trochę zaskoczona pytaniem o instalację internetu w pakiecie z junkersem.

– A to z tym do syna – poinformowała i pokierowała je dalej, na zaplecze oddzielone od sali głównej drzwiami z pleksi. U góry na szybie przyklejona była kartka: PIOTR-INSTAL – SERWIS KONSOL, INTERNET, SKUP I SPRZEDAŻ GIER, co miało już znacznie więcej sensu.

W środku zastały mężczyznę, zapewne imieniem Piotr, a nazwiskiem Ruta, mniej więcej trzydziestoletniego. Pod uprzejmym naporem zintensyfikowanej Tereski przypomniał sobie to i owo. Owszem, to on instalował internet na Zaciszu dwanaście. Na początku grudnia, może sprawdzić dokładnie, jeśli chcą. Jak to po co instalował? Żeby był. Że niby na święta?…

Wiele roboty z tym nie miał, podłączył router, sprawdził, hulało, hasło zapisał na karteczce i przykleił taśmą od spodu, bo starsi ludzie tak wolą, żeby broń Boże nie zgubić. Tak, bardzo dobrze pamiętał mocno starszą panią – siedziała w fotelu i do roboty się nie wtrącała. Syn się wtrącał, znaczy… chyba syn? No bo kto inny? Ojciec poświadczy, bo pojechali tam wtedy we dwóch, on do internetu na święta, a ojciec do pieca, Ruta Dariusz, przegląd serwisowy robił – więc ojciec poświadczy, że ten chyba syn kręcił się wtedy po domu i co chwilę patrzył im na ręce w sposób dość natrętny.

– A jak wyglądał ten chyba syn? – zapytała Tereska.

– No tak… nijak. Głowa, ręce, no… no normalny facet. – Piotr-Instal we własnej osobie był wyraźnie zmieszany tym pytaniem. Co innego, gdyby klientka wypytywała o model albo przepustowość routera, pewnie sypnąłby informacjami jak z rękawa. – Nie wiem, co paniom powiedzieć.

– Cokolwiek, jeśli łaska – odparła Trawna i zaczęła podsuwać opcję za opcją: – Niski, wysoki? Młodszy, starszy? Blondyn, brunet, szatyn? Łysy? Z grzywką? Piegowaty?

– Łysy z grzywką na pewno nie. Starszy ode mnie. I raczej młodszy od mojego ojca. Wyższy taki… chyba. Ale niech mnie pani zastrzeli, więcej nie pamiętam.

Tereska byłaby nawet gotowa skorzystać z tej propozycji, ale Krystyna wolała pozostać przy mniej inwazyjnym modelu konwersacji.

– I nic panowie tam więcej nie robili? – upewniła się prędko. – Żadnej przysługi dla starszej pani, która tak bardzo prosiła?

– Na przykład?

– Żeby jej wynieść śmieci, dokręcić śrubkę, wbić gwóźdź i powiesić obrazek? Albo ciężki w cholerę zegar z wahadłem?

Mina młodego mężczyzny dowodziła niezbicie, że byłby w stanie zainstalować internet nawet w samym sercu pierwotnej puszczy, natomiast nie za bardzo się orientował, jak się właściwie operuje młotkiem. Wyszły z pawilonu skołowaciałe do reszty.

– Marek?

– Cholera wie… – mruknęła Tereska. – Raczej by się nam przyznał, ale… trzeba go zapytać. Ciotka więcej synów nie ma, co?

– Nie no, skąd – odparła odruchowo Krystyna, by zaraz się zreflektować: – Chociaż po ostatnich odkryciach chyba lepiej się tak nie zarzekać.

—

Szybka przebieżka po miejscowym zagłębiu odzieżowym zakończyła się połowicznym sukcesem. Tereska zakupiła czyste ubrania zarówno dla siebie, jak i dla Maciejki. O ile w spodniach dżinsowych i bluzach na prawie dwumetrowego dryblasa mogła przebierać do woli, dobierając przeróżne warianty kolorystyczne, o tyle w swoim rozmiarze znalazła tylko dwie tuniki, za to zdobione na bogato, z użyciem wszystkiego, co fabryka dała. Pierwsza miała kolor budyniu waniliowego, w którym Tereska prezentowała się… cóż, adekwatnie. Na tym nijakim tle czyjaś fantazja postanowiła wypisać czerwonymi cekinami gromkie HO-HO-HO! dokładnie na wysokości biustu, a do tego tu i tam upstrzyć je bielutkimi pomponami. Druga tunika, dla odmiany w twarzowym odcieniu strażackiej czerwieni, pyszniła się naprasowanką tematyczną, zabawną jak kondukt pogrzebowy razem z koniem i sztywniejszą niż kręgosłup Tereski po nocy w fotelu. Nawet ocieplane legginsy, które wygrzebała po długich

poszukiwaniach, miały wzór norweski z użyciem reniferów, a najmniej pstrokaty pięciopak skarpetek, jakie wynalazła, i tak skrzył się brokatowymi nićmi. Krótko mówiąc, w nowym przyodziewku Tereska czuła się obrzygana świętami tak, że bardziej się nie dało. Choć zdecydowanie wolała to niż wizytową kieckę z brzoskwiniowego poliestru, zwieńczoną koronkowym bolerkiem, którą przemiła sprzedawczyni w butiku zachwalała jej jako „ostatni krzyk mody wśród pań w tym wieku". Istotnie, Tereska miała ochotę krzyczeć. Bardzo długo i bardzo głośno.

Po powrocie do domu zastały w przedsionku Marka Popiełowskiego, który wrócił do zmagań z lakierowaną materią boazerii. Z łomem w garści przypuścił na nią szturm z taką zaciętością, że mógłby wyrwać murom zęby krat. Na ten widok Tereska o czymś sobie przypomniała.

– Chodziłeś ostatnio do stodoły? – zapytała, kiedy Krystyna odwiesiła płaszcz i oddaliła się na tyle, by nie usłyszeć rozmowy kuzynostwa.

– Nie. A co?

– Nie wiem, żeby zamknąć kota? No pomyśl. Ktoś tam chyba był, skoro zamknął biedaka w środku. Od góry raczej nie schodził, czyli musiał wejść dołem. Od stodoły strony.

Marek przez chwilę wpatrywał się intensywnie w kuzynkę, a potem bez słowa, tak jak stał, obrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– W śniegu były jakieś ślady – potwierdził przypuszczenia Tereski, gdy wrócił po kilku minutach. – Ktoś tam się pętał, ale jakoś tak… nie wiem, nogami powłóczył czy tam szurał albo co. W środku też łaził, na moje oko grzebał w narzędziach. Nie ja, nie ty…

– Ojca też bym o to nie posądzała. Dzieciaki?

– A cholera ich wie. Teresa, co tu się wyprawia?

– Co właściwie masz przez to na myśli? – zapytała ostrożnie.

Marek skrzywił się nieznacznie.

– Sam nie wiem – przyznał. – Nie wierzę w żadne klątwy, ale… nie wiem. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

– To jest nas dwoje. Sprawdziłeś ten zegar u ojca?

– Potem sprawdzę. A co?

– Sprawdzisz, to pogadamy – ucięła stanowczo i zmieniła temat. – A jak ciotka?

Marek westchnął. Ciężko. W sumie to już wystarczyło za odpowiedź, mimo to wydusił z siebie coś więcej.

– Zacięła się na amen. Próbowałem, ale… – Odepchnął od siebie tę myśl. Musiał coś robić. – Dobra, dość pogawędek. Muszę się uporać z tym dziadostwem, zanim mnie tu opłatek zastanie. Podłogi też się same nie umyją.

Rzeczywiście, uświadomiła sobie Tereska z pewnym przerażeniem. Czas naglił, święta były coraz bliżej. Mimo kumulacji wstrząsających przeżyć przygotowania musiały w końcu ruszyć pełną parą, z czynnym udziałem ciotki Wandy bądź też bez jej udziału. Choć ta druga opcja groziła nieprzewidywanymi konsekwencjami.

– To co robimy? – zapytała, gdy razem z resztą podkuchennych zebrali się w komplecie na stanowisku bojowym. Jajka i ziemniaki dochodziły już na kuchence, pachniało zaczynem na ciasto drożdżowe i suszonymi grzybami, ale to przecież był dopiero początek. Przygotowania do świąt w tym domu zawsze przypominały operację specjalną, przy której

nawet Pułkownik uznawał wyższość szarży Wandy Popiełowskiej nad własną i przyjmował rolę potulnego kuchcika.

– No… to, co zawsze – odparła Alina.

– Doskonale – pochwaliła Tereska. – Czyli co?

– Co to za pytanie?

– Cóż, znam takich, którzy pokłócili się na śmierć i życie już przy wyborze majonezu. Więc?

– No… sałatka jarzynowa.

– Sałatka jarzynowa. Doskonale. – Tereska uśmiechnęła się szeroko. – A do tej sałatki ogórek kiszony czy korniszon? I ma być z groszkiem konserwowym czy bez groszku? Z jabłkiem czy bez jabłka? A może… z kukurydzą?

– Gdzie z kukurydzą! – zakrzyknęła Krystyna. – Jarzynowa?!

– Ja tam lubię… No dobrze, to jeszcze ustalimy, a tak poza tym co, lecimy świąteczną klasyką? Na początek barszcz z krokietami…

– Barszcz z uszkami – poprawiła Alina. – A potem grzybowa z makaronem.

– Jak to grzybowa? – zdziwiła się Bogna. – Przed rybną?

– Jaką znowu rybną?!

– U nas tak się jada, rybna, barszcz, grzybowa, zawsze w tej kolejności, żeby nie zmieniać talerzy…

Z początku zanosiło się na kłótnię o pryncypia, o podwaliny wigilijnej kolacji, lecz gdy opadło pierwsze oburzenie, szybko przeszły do coraz radośniejszej wymiany tradycji i przyzwyczajeń – na przykład u kogo na święta jadło się kutię, u kogo makiełki, u kogo kluski z makiem, a kto uważał, że już makowiec to szczyt wszystkiego i proszę mi to zabrać sprzed oczu. Obudziły się wspomnienia i tęsknota za dawną beztroską, za wypatrywaniem pierwszej gwiazdki na niebie, śpiewaniem kolęd, zapachem kubańskich pomarańczy i cichym trzaskaniem przepalonych lampek. Tu wszystkie były całkowicie i bezapelacyjnie zgodne.

Mimo różnic w przyjętych recepturach samo ustalenie menu zajęłoby im o wiele mniej czasu niż ten nostalgiczny przerywnik, gdyby nie obwarowania i ostrzeżenia do każdej z potraw, których musiała wysłuchać Tereska. Bo to trzeba było zrobić tak, a tamto inaczej, tłumaczyły Krystyna z Aliną, bo Wanda tak wolała, Wanda tak nie lubiła, Wanda tak nie gotowała, nie kroiła, nie mieszała. Tereska dowiedziała się zatem, że jak barszcz, to z uszkami, jak grzybowa, to z łazankami, jak śledzie, to w śmietanie, z drobniutko pokrojonym porem. Do tego sałatka jarzynowa – z korniszonami i groszkiem konserwowym, ale bez jabłuszka – ryba po grecku, biała fasola na maśle, pierogi z kapustą i kapusta z grzybami, wyłącznie z kapusty kiszonej – tylko takiej bez marchewki, więc jak się trafiła z marchewką, to trzeba siąść i wydłubać jak ten Kopciuszek – z dodatkiem suszonych śliwek. Na deser zaś popisowy sernik i makowiec z grubą warstwą lukru. Tereska przezornie nie dopytywała już o rodzynki, bo to mogłoby się skończyć tragedią, zważywszy na łatwy dostęp wszystkich zainteresowanych do noży.

Włączyły radio, które nadawało kolędy już właściwie przez całą dobę, po czym zabrały się do roboty.

Podczas gdy Krystyna zmagała się z przesolonymi śledziami, Bogna zagniatała ciasto drożdżowe na makowiec, przy okazji wyładowując nerwy po odkryciu, co zaszło w zegarowym pod jej nieobecność. Duża Ola skubała ugotowane na twardo jajka, obok niej Tereska

przymierzała się do gorących kartofli w łupinach. Maciejka rąbał warzywa na sałatkę jarzynową z takim zaangażowaniem, jak gdyby walczył o honor rodzaju męskiego na polu zmagań kulinarnych.

– I co? – Tereska skinęła wyczekująco na kuzyna, który przyszedł do kuchni z miną jeszcze bardziej marsową niż zwykle.

– Sprawdziłem, jak prosiłaś. Zegar wisiał na takich dynksach. Utrzymałyby słonia.

– Zmęczenie materiału? – podsunęła Krystyna, odwracając się od zlewu z rękami zanurzonymi aż po nadgarstki w misce z kąpielą śledziową. – Wiesz, ten zegar wisi tam od maleńkości. Znaczy, mojej maleńkości. Nie zegara.

Marek bez słowa podsunął kuzynce jeden ze wzmiankowanych dynksów niemal pod sam nos, żeby się przyjrzała.

– O, proszę. Pierwszy raz widzę materiał, który ze zmęczenia postanowił się pociąć – stwierdziła Tereska, marszcząc brwi.

– No. – Marek skinął głową. – Na moje oko ktoś tam solidnie majstrował, żeby to spadło.

ROZDZIAŁ | 19

Co to znaczy? – zapytała Krystyna.

– Było cięte – rzuciła krótko Tereska. – Jakąś piłką albo czymś. Weź to lepiej schowaj – poradziła półgłosem kuzynowi, wracając do wyłuskiwania ugotowanych kartofli z łupin. – Wiesz. Gdyby trzeba było komuś okazać…

Marek posłusznie schował dynks do kieszeni, za to Krystyna wyjęła ręce ze śledzi i urwała kawałek papierowego ręcznika.

– Chcecie powiedzieć, że to wcale nie był nieszczęśliwy wypadek? – spytała, patrząc to na siostrzeńca, to na bratanicę. Z suchymi już dłońmi przysiadła przy stole obok Bogny. – Że ten zegar nie spadł sam?

– Niestety nie. Ktoś postanowił mu w tym pomóc.

– Ktoś chciał zamordować wujka Henryka?! – Na samą myśl o zbrodni Duża Ola ożywiła się niczym wygłodniała pisarka w sklepie papierniczym. Trochę nie wypadało, bądź co bądź mowa była o rodzinie, ale pasja wzięła górę.

– Tak się może wydawać – odparła ostrożnie Tereska.

– Bo mu nie wyszło z tatą? – drążyła dziewczyna.

– No nie, to jakiś absurd – Bogna aż się żachnęła na tę myśl. – Mordować? Henryka?! Że niby kto?

– A na przykład ty – błysnęła Agniesia, która dołączyła do radosnego kółka gospodyń. Siedziała w kąciku i realizowała się artystycznie, wykrawając fikuśne wstążki z ogórka i marchewki.

– Ja?! – Zaskoczoną Bognę aż przytkało na kilka sekund. – Dlaczego miałabym mordować Henryka?!

– Dla spadku!

– Jakiego znowu spadku?!

– No… – Tym razem zawiesiła się Agniesia, która najwyraźniej nie spodziewała się takiego zestawu pytań. – No POŚMIERTNEGO chyba. A to są jakieś inne?

Tereska wzniosła oczy znad gorących kartofli ku niebu, prosząc wszelkie instancje o cierpliwość w ilościach hurtowych. Albo chociaż znieczulenie, najlepiej w podobnej dawce.

– Po pierwsze, ojciec nie skończył z zegarem zamiast czaszki wyłącznie dzięki Bognie – przystąpiła do objaśnień. – A tak dokładnie, to dzięki brakowi Bogny. Gdyby spali tam we dwoje, mieliby głowy na miejscu, a nie w nogach. Wiecie, o co mi chodzi.

– Mniej więcej.

– A po drugie… – Zamilkła i spojrzała pytająco na Bognę. Może i była narwana, ale za nic nie zdradziłaby ot tak cudzej tajemnicy.

Bogna po namyśle odpowiedziała jej krótkim skinieniem głowy, pogodzona ze swym losem. To i tak było nic wobec pozostałych wieści, które ostatnio spadły na tę rodzinę.

– No więc po drugie – podjęła na powrót Tereska – Bogna niczego by nie zyskała na śmierci ojca.

– Jak to nie?

– Konkubenci nie dziedziczą – wyjaśniła Bogna rzeczowo i bez zbędnych nerwów. Już dość ich sobie zszargała przez ten zegar, żeby się teraz przejmować zawiłościami własnego stanu cywilnego. – A przynajmniej nie z automatu.

– To wy nie jesteście MAŁŻEŃSTWEM?! – krzyknęła Agniesia.

– Nie.

– Ale jak to?! Od kiedy?! – dopytywała Krystyna, wpatrzona w niedoszłą, jak właśnie odkryła, bratową.

– Od zawsze.

– Czyli to DLATEGO… – wyszeptała natchniona Agniesia. – Próbowałaś go zamordować, bo się z tobą nie ożenił! Jakie to PRZYKRE. Zrozumiałe, ale przykre.

Krystynie ręce opadły i słów na moment zabrakło. Za to jej oczy wiedziały, jak to skomentować. No ciućma, mówiły. Durna ciućma od stóp do głów, na wskroś i dookoła.

– Martwy by się tym bardziej nie ożenił – wytknęła Tereska kuzynce z lubością. – A w obecnym układzie pierwsza w kolejce do dziedziczenia po ojcu jestem ja.

– No JA bym się tym tak NIE chwaliła… – wymamrotała Agniesia pod nosem, lecz na tyle głośno, żeby nikomu w promieniu trzech metrów ani słowo nie umknęło.

– Aga! – warknął Marek, srożąc brwi. – Weź ty się czasem ugryź w język.

– Co proszę? – Tereska wyprostowała się odruchowo, wietrząc nadciągający cios.

– No wiesz. – Agniesia najwyraźniej nie zamierzała sobie czynić przykrości ani w język, ani w nic innego, bo z wrodzonym wdziękiem zignorowała ostrzeżenie brata. – Ten dom to nie lada gratka. Może nie sam w sobie, sam w sobie to RUDERA, ale wiesz, ile jest warta taka działka? MAJĄTEK! A wy nie jesteście z wujem Heniem w najlepszych stosunkach, odkąd twoja MATKA postanowiła rozbić rodzinę. I jeszcze ten twój… CHARAKTER.

Przy stole zapanowała taka cisza, że aż skóra na człowieku cierpła. Duża Ola błyskawicznie oceniła sytuację. Nie, na dorosłych nie mogła liczyć – ojciec z ciotką Krystyną zamarli, zdjęci pierwotnym przerażeniem, niczym pierwsi ludzie w obliczu tygrysa szablozębnego. Pani Bogna też łypała nerwowo to na lewo, to na prawo, jak gdyby podskórnie przeczuwała, że nadciąga jakieś niebezpieczeństwo, i szukała wyjścia ewakuacyjnego. Ciocia Agniesia dla kontrastu emanowała znad marchewki życzliwością i naiwnością godną bez mała Jezuska we żłobie. Albo żłobu. Za to ciocia Tereska… Rany boskie… Ciocia Tereska wyglądała, jak gdyby właśnie przeliczała intensywnie, ile gorących kartofli można wepchnąć do gardła żywemu człowiekowi. Znaczy, żywemu jeszcze przez najbliższe minuty.

Zatem z tych w miarę przytomnych na umyśle Dużej Oli został tylko Maciejka. Nie była to myśl jakoś wybitnie podnosząca na duchu. Dziewczyna przełknęła ślinę.

– Ciocia Tereska jest dość… dynamiczna, ale serio, nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek próbowała kogoś zabić… tak naprawdę. Co nie? – Obejrzała się na kuzyna, który ku jej niewysłowionej uldze popisał się refleksem i ruszył z kopyta z poparciem tej śmiałej tezy:

– Nie no, gdzie! Matka? W życiu! – zapewnił gorąco, zaraz jednak przyszło opamiętanie. – No… może czasem ojca. I babcię Mirę. Babcię Briżit. Sąsiada. Drugiego sąsiada. Sąsiadkę… Zwłaszcza sąsiadkę. Ale z sąsiadką to akurat miała powód!

– Dobry?

– W sądzie by się obronił – zapewnił solennie chłopak.

Tereska przełknęła brzydkie słowa, które cisnęły jej się na usta w kolejności niekoniecznie alfabetycznej, bo miny obecnych w kuchni mówiły same za siebie – w świetle tych informacji wizja córki furiatki czającej się na ojca staruszka za pomocą zegara na dynksach zyskiwała na prawdopodobieństwie. Gdyby wkomponowała teraz Agniesię w najbliższą powierzchnię płaską, tak jak podpowiadał jej instynkt, nigdy nie przebiłaby się z prawdą. Dlatego zgrzytnęła zębami i zaczęła cedzić powoli i uprzejmie:

– Owszem, wdałam się w małą utarczkę z jedną sąsiadką…

– Spuściła jej regularny łomot – przetłumaczył niezwłocznie Maciejka z eufemistycznego na polski.

– Ale pozwolę sobie zauważyć, że nikt mi nie postawił zarzutów z tego tytułu – wytknęła chłodno Tereska wyrodnemu dziecięciu. – Zdaniem policji to był tak zwany stan wyższej konieczności. Franca naruszyła nietykalność cielesną mojej córki. Oraz teściowej!

Wszyscy z wyjątkiem Agniesi odetchnęli z nieskrywaną ulgą.

– Och, Tereso. Ja zawsze wiedziałam, że ty jesteś ZDOLNA do czynów. To tylko potwierdza moją wersję.

– Tak, Agniesiu, masz rację, właśnie tak było – odparła Trawna głosem tak słodkim, że Maciejka odruchowo odsunął się z nożem. – Odrzuciłam kule, uniosłam się siłą woli, przyssałam do ściany jak glonojad i zębami ten gwint przegryzłam, żeby się za moje krzywdy stary dziad spierdzielił z rowerka!!!

– Jakiego znowu rowerka?…

– Majstrowałaś przy rowerku?

– Czekaj, ale jak zębami…

– Przecież Henryk nie jeździ na rowerku, ma hemoroidy…

Tereska podniosła się z takim rozmachem, że krzesło przechyliło się i z hukiem padło na podłogę za jej plecami.

– Wiecie co? Wiecie co? Podobno święta to czas dawania. Więc uprzejmie proszę, dajcie wy mi wszyscy święty spokój. Dużo i ze wstążeczką!!! – Co rzekłszy, chwyciła za kule i oddaliła się do spiżarni po majonez, życząc im z całego serca, żeby to był kielecki.

Zapamiętała w gniewie nie zauważyła z początku, że drzwiczki spiżarni były niedomknięte. Nie zwróciła też uwagi na dobiegające ze środka dźwięki.

Ale kota w serniku nawet Teresce nie udałoby się przeoczyć.

Ze swobodą i bezczelnością osiągalną jedynie dla przedstawicieli jego gatunku jasnorudy Bigos wyciągnął się pośrodku blaszki i niespiesznie wylizywał białe słodkie grudki spomiędzy włochatych palców. Podniósł okrągłe zielone oczy na wielonożną kobietę, która nieoczekiwanie wyrosła przed nim w wąskim wejściu i zapaliła światło, po czym wydał z siebie pytające miauknięcie.

W innych okolicznościach Tereska z pewnością doceniłaby jego niewątpliwy urok, jako że Bigos był kotem niezmiernie towarzyskim, zawsze ustawionym do człowieka frontem, a czasem też brzuszkiem. Może nawet pogłaskałaby go przelotnie po łebku, chociażby

z wdzięczności za to, że swą natrętną bliskością uratował jej ojca przed zegarem w czaszce. Ale Bigos w popisowym serniku ciotki Wandy oznaczał katastrofę, przy której nawet zwłoki notariusza Popiełowskiego wydawały się co najwyżej przelotną niedogodnością.

– Jasna cholera, już cię tu nie ma!!! – wycharczała Tereska do kota zduszonym szeptem i wykonała w jego kierunku mocno nieskoordynowany ruch, który wywarł jednakże właściwy skutek. Kot wylazł z sernika, po czym zeskoczył z półki na ziemię i oddalił się bez zbędnego pośpiechu.

Tereska odstawiła kulę i ze ściśniętym gardłem sięgnęła po blaszkę. W serniku ziała dziura. Wielka, niezaprzeczalna i bardzo włochata. Nijak nie dało się jej obejść, wykroić, przesłonić choćby najwymyślniejszym stroikiem. No, może gdyby tak wetknąć choinkę…

– Czy dla ciebie nie ma żadnej świętości?

Brzydkie słowa przemknęły przez porażony umysł Tereski niczym meteoryty przeszywające nocne niebo. Pomału obejrzała się przez ramię. Wanda Popiełowska stała w korytarzu przed spiżarnią i patrzyła takim wzrokiem, że jej bratanica poczuła się wręcz zobligowana do padnięcia trupem tu i teraz, bez zbędnej zwłoki.

– To nie tak, ciociu – pospieszyła z zapewnieniami. – Ja nie mam z tym nic wspólnego. Ja bym nigdy ręki na sernik nie podniosła.

Ciotka nie zamierzała jednak słuchać żadnych wyjaśnień. Ona już wiedziała to, co musiała wiedzieć.

– Ty zawsze taka byłaś. Zawsze na nie, zawsze przeciw, zawsze po swojemu. Nie uszanowałaś niczego. I teraz też musiałaś, prawda? Znowu musiałaś przyjechać i wszystko popsuć. Jesteś z siebie dumna? Jakby ci nie było dość mojej krzywdy…

Blaszka z dziurawym sernikiem huknęła o półkę, kiedy Tereska Trawna cisnęła nią na oślep. Dość tego. Po prostu… dość.

– A, no tak. Prawie zapomniałam. Przecież ja zawsze wszystko robiłam źle. Mówiłam źle, myślałam, ubierałam się, zachowywałam. Nawet rosłam źle, jak gdybym miała na to jakikolwiek wpływ. No cóż, najwyraźniej miałam, skoro ciocia oczekiwała, że przestanę albo nie wiem, nogi sobie urąbię czy coś, żeby przypadkiem nie urosnąć ani centymetra więcej, bo kto to widział, żeby dziewczyna była taka wielka! Nawet durnej zupy nie mogłam zjeść tak, jak lubiłam, bo nie! W TYM DOMU pomidorową je się z ryżem, W TYM DOMU nie ma takiego zwyczaju, W TYM DOMU nikt tak nie lubi, chociaż lubili wszyscy poza ciocią! Ale nikt nic nie powiedział, bo nie wolno było nic powiedzieć, bo wszystko zawsze musiało być wedle cioci uznania. – Nabrała pomału powietrza, czując, jak przy tym rośnie, jak się prostuje na całą rozłożystość swej bujnej osoby, od skręconej kostki ustabilizowanej bandażem aż po rozwichrzony kok. A przede wszystkim na całą rozpiętość charakteru. – Ale wie ciocia co? Ja chyba jestem już za stara na takie numery. W związku z czym może mnie ciocia z całym szacunkiem cmoknąć w pompkę!

Wyminęła ciotkę i tłukąc z zapamiętaniem kulami, niemal dobiegła do saloniku babuni. Opadła na fotel i drżącą od furii dłonią sięgnęła po telefon. Miała dość. Dość tej rodziny, dość tego domu, wszystkiego po kokardę. Zadzwoni do Andrzeja, Andrzej musi, po prostu MUSI zrobić coś z tym pęcherzem i po nich przyjechać, przylecieć, teleportować się siłą woli, zanim ona tu kogoś zatłucze gołymi kulami!!!

– Czy tobie do reszty odbiło?! – Marek Popiełowski wbiegł za nią do saloniku, zanim zdążyła wybrać numer męża. Był wściekły.

– DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT!!! – Tereska wydobyła z siebie ryk, do jakiego ludzkie gardło nie powinno być zdolne. – Dwadzieścia pięć lat minęło, a w tym domu wszystko jest nadal przyspawane na sztywno, tak jak ona chce!!! O której wstawać, co jeść, jak żyć, jak myśleć, jak się ubierać, dobrze, że chociaż umrzeć jeszcze wolno po swojemu!!!

Nie na darmo w ich żyłach płynęła ta sama krew. Przeciętny śmiertelnik już by odmawiał stosowne litanie do wszelkich możliwych bóstw opiekuńczych, lecz nie Marek. Marek ani myślał się wycofać, wprost przeciwnie – odpowiedział atakiem na atak. Bo choć opanowaniem bił kuzynkę na głowę, to jemu też zdążyło się nazbierać.

– A TY CO?! Niby jesteś lepsza?! Tobie wcale nie chodzi o to, żeby nie było tak, jak chce moja matka. Nigdy o to nie chodziło. Tylko o to, żeby było tak, jak chcesz ty! Jedna warta drugiej, do ciężkiej cholery, kiedy ty to wreszcie zrozumiesz?! Jesteście! Takie! SAME!!!

Dyszał ciężko, to zaciskając, to znów rozluźniając pięści. Tereska patrzyła na niego i czuła, jak do gardła podchodzi jej gorycz.

– No tak. Czego ja się spodziewałam! – Pokręciła głową, po czym odetchnęła głęboko. – Cóż, w tej jednej kwestii ciotka ma rację. Pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Niby co takiego?

– Ano to, że nigdy nie stanąłeś w mojej obronie – wyrzuciła z siebie szybko, zanim zdążyła się opamiętać, wycofać, przełknąć tę gorycz i zamaskować bladym uśmiechem. – Nigdy jej się nie sprzeciwiłeś. NIGDY. Ciotka mogła sobie po mnie jeździć w tę i we w tę z przyczyn dowolnych. Jak ty wyglądasz?! Kto tak robi?! Co to za pomysł?! Kto ciebie tak wychował?! PEWNIE KRASNOLUDKI, NO BO KTO?!

– Teresa, ty… – Marek urwał w pół zdania i zacisnął zęby. Po pierwszym wybuchu teraz próbował zapanować nad nerwami, bo przykre słowa Tereski wzbudziły w nim dawne emocje. Bezradność. Poczucie winy. – Ty stąd wyjeżdżałaś i miałaś święty spokój na następny rok. A ja… A, nieważne. – Machnął ręką, zniecierpliwiony. – Ogarnąłem. Jakoś ogarnąłem.

Tereska otworzyła usta, żeby splunąć kolejną kąśliwą uwagą, gdy nagle przypomniała sobie, o czym rozmawiały z Krystyną w samochodzie.

Marek dźwignął.

Marek dużo dźwiga.

– Moja matka jest… trudna – zaczął Marek z wyraźnym trudem. – Masz rację. Tylko wiesz co? Ona taka z nieba nie spadła. Najpierw straciła ojca. Nagle. Potem straciła męża. Też nagle. Prawie straciła pierwszą wnuczkę, w tym samym czasie, gdy spodziewała się narodzin drugiej. Więc… tak. Tak, masz rację. Przyspawała się na sztywno do czegoś, co znała, co kojarzyło jej się ze stabilizacją i bezpieczeństwem. Bo ludzie tak robią, kiedy się boją, że inaczej pójdą na dno.

– Jak to… wnuczkę? – zapytała Tereska, w ułamku sekundy zapominając o złości. Wpatrywała się w kuzyna, jak gdyby pierwszy raz w życiu widziała człowieka na oczy. Ile jej umknęło przez ten czas, kiedy ich kontakt rozciągał się i rozciągał jak stara guma w gaciach, aż wreszcie pękł? – O czym ty mówisz?

– Wcześniak – wyrzucił z siebie wreszcie, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. – Prawie trzy miesiące w szpitalu; myślałem, że zwariuję. Czułem się jak w imadle. Z jednej strony Alina z Olką, z drugiej matka z Agniesią, też w ciąży, każda w rozsypce, a ja… Ja pośrodku. – Na kilka długich sekund Marek schował twarz w dłoniach, a potem przysunął sobie podnóżek i usiadł. – Okej, masz rację – podjął niskim, zachrypniętym głosem. Nagle wydawał się Teresce

starszy nie zaledwie o kilka lat, lecz o dekadę. O całą wieczność wypełnioną lękami, które go dopadły, kiedy jej tu nie było. – Nie broniłem cię. Nie potrafiłem, byłem gówniarzem niewiele starszym od ciebie i nie wiedziałem jak. Ale ty mogłaś pieprznąć drzwiami, zniknąć, wyjechać i więcej nie wrócić, a ja? Ja tu zostawałem. Zbierałem za dwoje, za ciebie, ale i za siebie. Bo ja też nie byłem taki jak trzeba, wiesz? Nie byłem taki jak ojciec, jak najjaśniejszy Pułkownik. A potem świat stanął na głowie i nagle musiałem dbać o wszystkich i wszystko. Najpierw o matkę i Agniesię, potem o Alinę i Olkę. Na dodatek z tym… bałwanem na karku. – Zgrzytnął zębami tak, że mało mu żuchwa ze stawu nie wyskoczyła. – Czasem mam ochotę zasadzić mu takiego kopa, żeby w locie z pięć kilo z głodu zgubił.

– Podtrzymuję moją wcześniejszą deklarację – wtrąciła Tereska niemalże czule. – Choć sądząc po tym, co odstawiłeś wczoraj, doskonale dajesz sobie radę z rozbujaniem dowolnej kończyny.

Marek nic nie powiedział, tylko pokiwał głową. Dumał nad czymś, długo, głęboko, jak gdyby musiał się przekopać przez zwały myśli, wspomnień i pytań, zanim dotrze do sedna i uchwyci je mocno.

– Przestałaś pisać – zauważył niespodziewanie.

– Co?

– Pisać. Przestałaś. Zawsze przysyłałaś mi pocztówki. Z wakacji, na święta i tak dalej. Czekałem na nie, wiesz? Na te twoje bazgroły, zabawne głupoty, o których koniecznie musiałaś mi opowiedzieć. Dlaczego przestałaś pisać?

Tereska odetchnęła głęboko, żeby zebrać myśli. Chciałaby powiedzieć, że nie miała czasu, bo przez ćwierćwiecze ratowała świat. Że w pocie, znoju i głodzie pracowała nad lekarstwem na raka, gasiła pożary, a w wolnych chwilach ściągała kotki z drzew i ratowała bezdomne szczeniaczki. Ale przecież w jej życiu nie wydarzyło się nic aż tak wielkiego, tak spektakularnego. Nic ponad zwykłą codzienną przyziemność z jej monotonią, ciągłym natłokiem obowiązków, terminów, spraw mniejszych i większych, która nie wiadomo jak i kiedy pochłonęła ostatnich dwadzieścia pięć lat. Tereska sama była zaskoczona, jak to się stało. Bo przecież kiedyś… dawno temu byli tak blisko.

– Jakoś… jakoś tak wyszło – odparła wreszcie. – Rodzice się rozwiedli. Ojciec bardziej. Potem matka złamała tę nogę w Paryżu i tak jej się utrwaliło. Na szczęście miałam Andrzeja, bo gdyby nie on… zostałabym jak ten palec w dupie. Urodziła się Zoja i zaczęły się pieluchy, pobudki, ząbkowanie, katarki, kaszelki, migdałki, srałki i apiać od nowa, bo urodził się Maciejka, przez dekadę spałam w odcinkach, gdzieś w międzyczasie rzuciłam etat, założyłam własne biuro księgowe i… rany boskie, Marek, sama nie wiem, kiedy to zleciało. – Przytknęła dłoń do czoła, jak gdyby chciała sprawdzić, czy to przypadkiem nie majaki. Ale nie. To tylko rzeczywistość. – Czasem nachodziła mnie taka myśl, że ciekawe, co u ciebie, że może zadzwonię, pogadamy, jak kiedyś, a potem… Potem znów coś się działo i nim się obejrzałam, było już rok później.

– Zawsze coś, co? – mruknął Marek, zapatrzony gdzieś w przestrzeń, a Tereska pomału pokiwała głową.

– No. Zawsze coś.

ROZDZIAŁ | 20

Po składniki na nowy sernik wydelegowane zostało kuzynostwo w składzie Duża Ola i Maciejka. Zamiast jednak iść naokoło uliczką przez osiedle domów jednorodzinnych, dziewczyna poprowadziła ich skrótem, zapewniając, że tędy to będzie rzut beretem.

– Jedno mnie ciągle dziwi, wiesz? – zwróciła się do Maciejki, kiedy minęli ostatni dom i zaczęli iść przez zaśnieżony nieużytek, który opadał łagodnym zboczem w kierunku miasteczka. Z tej perspektywy Czarny Bór wyglądał wręcz sielsko w czapie ze świeżego śniegu, który iskrzył się w promieniach grudniowego słońca. – Jakie są szanse, że spotka się dwóch niespokrewnionych ze sobą Tadeuszów Popiełowskich? Matematycznie jakieś są, ale tak wiesz, życiowo? Żadne! A tu proszę.

Maciejka nie za bardzo wiedział, co na to powiedzieć, dlatego zwrócił się do wyższej instancji – internetu w komórce.

– Po pierwsze, to oni się wcale nie spotkali. W sensie, że ze sobą, tak bezpośrednio. Zetknęli się tylko z dziaduniem. Po drugie, jeden z nich miał naprawdę na imię Józef, a nie Tadeusz. A po trzecie, oficjalne dane statystyczne mówią, że Tadeuszów jest w Polsce jak mrówek. Dokładnie czterysta siedemdziesiąt tysięcy dwustu sześćdziesięciu sześciu. I to tylko takich, co mają tak na pierwsze.

– Minus jeden – zauważyła Duża Ola.

– Tu jest napisane, że lista obejmuje imiona występujące w rejestrze PESEL z uwzględnieniem imion osób zmarłych – uściślił Maciejka. – Nieboszczyk czy nie nieboszczyk, Tadeusz to mocno popularne imię. O proszę. A takich Maciejów jest prawie dwa razy mniej, dwieście osiemdziesiąt dwa tysiące pięciuset dziewięćdziesięciu trzech. Serio? – Skrzywił się z rozczarowaniem.

– Spójrz na to z drugiej strony – pocieszyła go kuzynka. – To znaczy, że jesteś prawie dwa razy bardziej wyjątkowy niż przeciętny polski Tadeusz.

– Za to Aleksander cała chmara. – Maciejka uśmiechnął się do niej przepraszająco, na co dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Cóż poradzić.

– Aleksander czy Aleksandr?

– Chyba jednak Aleksander.

– Jest was czterysta dwadzieścia osiem tysięcy dziewięćset czterdzieści jeden… jedna? No to sama pomyśl. Skoro w jednej rodzinie mogły się trafić aż dwie Aleksandry, to czemu nie dwóch Tadeuszów?

– No dobra, to teraz mi powiedz, ilu te twoje dane pokazują w Polsce Popiełowskich?

– Skromniutko – przyznał Maciejka po kilku ruchach palcem po ekranie. – Tylko siedemnastu. Plus piętnaście Popiełowskich… w sensie, że w wersji żeńskiej. Razem

trzydzieści dwie sztuki człowieka.

– No to sam widzisz. Dwóch Tadeuszów trafisz bez trudu, ale dwóch Tadeuszów Popiełowskich? Mizerne szanse.

– Teoretycznie tak, ale! Aj! – pisnął, bo tak się zagapił w telefon, że wpadł w jakąś głębszą zaspę, aż mu się śnieg dostał pod spodnie i nasypał do buta.

– O masz! No, co tam znowu wymyśliłeś?

– Słuchaj tego. W mojej klasie jest Antonina Zawadzka i uwaga, Antoni Zawadzki. Zero pokrewieństwa. Żeby chociaż mieszkali jakoś w tej samej okolicy czy coś, ale Antek dojeżdża do szkoły z Długołęki, a Tośka spod Strzegomia. Więc wiesz, życie pisze czasem porąbane scenariusze.

– A to fakt – przyznała. – Moja Aśka chodzi na taki kurs w domu kultury i w tej ich grupie…

Słuchając jednym uchem, Maciejka zwolnił kroku i dalej ni to brnął, ni to człapał przez śnieg, zapatrzony w ekran telefonu, bo naraz nasunął mu się pewien pomysł. Bardzo prosty, wręcz oczywisty. Zamknął stronę z danymi statystycznymi, otworzył nowe okno i wklepał szybko zgrabiałym już nieco kciukiem: „Tadeusz Popiełowski notariusz". Sekundę później wyszukiwarka wypluła mu listę wyników. Strona kancelarii, wiadomo, jakieś artykuły i wzmianki w lokalnej prasie… Hm. Całkiem sporo tych wzmianek. Lecz gdy zaczął się wczytywać w cytaty pod linkami…

– Proszę, już widać sklep – usłyszał przed sobą zadowolony głos Dużej Oli. – Halo? Ziemia do Maciejki?

– Co? – Maciejka pospiesznie wygasił telefon i spojrzał wreszcie przed siebie.

– Mówiłam, że tym skrótem to jest naprawdę blisko. Już widać sklep.

Rzeczywiście, w dole, zaledwie kilkanaście metrów dalej, u podnóża pagórka, z którego właśnie schodzili, zaczynało się podwórko na tyłach parterowego sklepu. W jednym kącie, w czymś w rodzaju boksu z metalowej siatki zwieńczonego blaszanym daszkiem, piętrzyły się palety i kartony po towarach. Na ścianie przy drzwiach wisiały krzykliwe tabliczki z ostrzeżeniami, żeby tu za żadne skarby nie wchodzić, nie parkować, a najlepiej nie oddychać, czym prędzej zawrócić, wyjechać z kraju i zmienić tożsamość. Przy odrobinie stalowych nerwów wystarczyło jednak przemknąć wąskim przejazdem między budynkiem a ogrodzeniem, żeby znaleźć się już na ulicy.

To tutaj niedawno natrafiono na samochód z nieboszczykiem w środku. Zaledwie kilka minut spacerem od ich domu.

Naraz Maciejka aż zadygotał. Szybko wsunął dłonie pod pachy i przycisnął ręce do piersi.

– Mówiłam też, żebyś włożył czapkę – wytknęła mu Duża Ola.

– Co? A nie, nie, po prostu… coś sobie pomyślałem i aż mnie zmroziło.

– Co takiego?

– Może… no wiesz. Może gdyby ktoś wtedy wybiegł za tym całym Popiełowskim aż tutaj… Może zobaczyłby mordercę?

– No weź. – Sądząc po poruszeniu jej czapki, dziewczyna uniosła brew. – To ja tu bindżłoczuję tru krajmy, nie ty. Skąd w ogóle pomysł, że ktoś tego Popiełowskiego zamordował?

– Koperta. Hm? – Chłopak wymownie postukał się w czoło tuż nad brwią. – Główka pracuje. No? Co się stało z kopertą?

– Popiełowski mógł ją po prostu wyrzucić. Albo zgubić, co to za problem?

– No weź. – Tym razem to Maciejka obrzucił kuzynkę przeciągłym spojrzeniem pełnym politowania, żeby jej przypadkiem nie umknęło. – Trzymał się jej jak tonący parapetu. Mówię ci, że w środku było coś ważnego.

Przemknąwszy prędko przez podwórko i przejazd, stanęli przed sklepem. Wszystkie miejsca parkingowe były zajęte, a wiata na wózki świeciła pustkami. W środku dziki tłum polował na zapomniane produkty, byle szybciej, byle zdążyć, zanim ktoś zgarnie ostatnią paczkę drożdży. Kuzynostwo rozdzieliło się sprytnie. Maciejka poleciał do lodówek walczyć na śmierć, życie i wrodzony spryt o twaróg i jajka, Duża Ola zaś udała się na wielkie poszukiwanie bakalii. Przy okazji zgarnęła też kilka zupek chińskich na zapas. Przydadzą się do zrównoważenia nadchodzącego festiwalu świątecznych przysmaków. Albo wypalenia kubków smakowych.

Spotkali się na samym końcu długaśnej kolejki do kasy. Kilka kroków przed nimi stał facet w zimowej czapce z pomponem. Na moment obrócił się profilem i wtedy dziewczyna go rozpoznała.

– Ty, patrz. – Trąciła Maciejkę łokciem. – To on! Ten notariusz!

– Nieboszczyk?!

– Nie, ten żywszy. Chodź!

Czym prędzej, zanim przyszło jej do głowy, że to niekoniecznie wypada tak się narzucać, postukała faceta w ramię.

– Dzień dobry! – przywitała się serdecznie i głośno, kiedy się do nich odwrócił. – Pan nas pamięta?

Wyrwany z trwożnych rozmyślań o konsekwencjach wyboru goudy w kawałku zamiast w plastrach Przemysław Jończy w pierwszej chwili nie skojarzył, skąd zna tych uprzejmych młodych ludzi. Póki nie spojrzał prosto w oczy wyrośniętego młodzieńca. Były takie same jak oczy Agniesi… Wielkie, okolone gęstwiną długich rzęs, jasne i takie niebieskie, takie niebieściuteńkie, że się przy nich nieboskłon chował, a patrzyły na świat z takim ni to rozmarzeniem, ni to tęsknotą za rozumem, że aż się chciało, Boże drogi, aż się chciało…

– Tak… – wyszeptał tęsknie i żarliwie notariusz. Aż Maciejka, który ewidentnie poczuł się obiektem zarówno tęsknoty, jak i żaru, przesunął się nieco w bok, chowając za kuzynką. – Znaczy, TAK! TAK!!! PAMIĘTAM!!! DZIEŃ… dzień dobry i… wesołych świąt.

– Wesołych, jasne. Co tam, pana też wysłali na ostatnią chwilę?

– A tak, tak, siostra mnie wysłała po takie tam drobiazgi. Ser, cukier waniliowy…

– Wanilinowy.

– Waniliowy.

– No nie do końca. – Duża Ola sięgnęła do koszyka po jedną z saszetek i podetknęła ją notariuszowi pod nos. – Pan sobie przesylabizuje.

– Wa-ni-li-no… rany boskie. A to nie to samo?

– Nie to samo – odparł Maciejka z pewnością i swobodą zawodowca, który w niejednym cieście cukier jadł i odróżniał wanilię od waniliny. – Ale też da radę. Chyba że siostra z tych, co to dostają zawału na samą myśl o śmietanie w carbonarze. To ja bym jednak uważał.

– Zawału? – powtórzył nie do końca przytomnie notariusz. – Nie. Tylko… tylko brew jej wtedy tak zabawnie skacze…

– Ja pójdę zamienić – zaoferowała prędko Duża Ola i zgarnęła saszetki z koszyka Jończego. – A wy tu sobie stójcie i obgadajcie sprawy. Wiecie. RODZINNE.

Maciejka nie był najostrzejszą kredeczką w pudełeczku, ale w chwilach intelektualnego wzmożenia dwa do dwóch dodawał niemal tak biegle jak jego rodzona matka.

– No co tam? – przystąpił do konwersacji, zanim mu przeszedł entuzjazm. – Odkrył pan może coś nowego? Bo wie pan, tam się odpala drama za dramą, spazmy, wrzaski, Bigos w serniku…

– Dość… oryginalne połączenie – zauważył notariusz, starając się zamaskować lekkie obrzydzenie. – Przykro mi, etyka zawodowa nie pozwala udzielać informacji osobom postronnym.

– Jasne! Jasne. Ja to szanuję – zapewnił chłopak. – To może pan przekaże bezpośrednio zainteresowanym?

Zanim notariusz zdążył się zorientować, co tu się szykuje, wręczono mu telefon z nawiązanym połączeniem. Z głośnika dobiegał damski głos, przyjemny, acz bardzo precyzyjnie nastawiony na kontakt z osobą po drugiej stronie. Jończemu aż drżała ręka, gdy przytykał komórkę do ucha.

– Aguś?… – wyszeptał głosem zdławionym erupcją emocji. – Och, a… a! A! Najmocniej przepraszam, pani Tereso! Przemysław Jończy z tej strony. Otóż ja… ja coś jeszcze sprawdziłem. Tak. Przejrzałem rejestry i według tych rejestrów pani babu… pani Przybysława Jędrzejczyk nie sporządziła żadnego testamentu notarialnego. Bardzo mi… bardzo mi przykro. Tak, tak… ja wiem… rozumiem… ale… NATOMIAST! – rozpaczliwie podniósł głos. – PANI TERESO, NATOMIAST! Natomiast w trakcie poszukiwań natknąłem się na inny dokument. Otóż w drodze umowy notarialnej zawartej dnia… dnia… a tak, dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku Przybysława Jędrzejczyk z domu Wolniak zrzekła się dziedziczenia po swoim małżonku, Alfredzie Henryku Jędrzejczyku. Umowę sporządził notariusz Tadeusz Popiełowski.

– Czyli to dlatego dziadunio wskazał w testamencie wyłącznie dzieci! – wypaliła Duża Ola, gdy tylko Jończy zakończył rozmowę i oddał Maciejce komórkę. Załapała się akurat na kluczowe informacje. Potrząsnęła cukrem właściwie waniliowym, po czym wrzuciła saszetki do koszyka notariusza.

– Można tak domniemywać – odparł ostrożnie Jończy, ściągając czapkę. Wystarczyły dwie minuty rozmowy z Teresą Trawną, żeby gorący pot wystąpił mu na czoło. Cóż za przerażająco intensywna kobieta…

– Dwudziestego trzeciego, tak? – drążyła dziewczyna. – Tego samego dnia, kiedy dziadunio spisał testament? Dobrze pamiętam?

– Yyy… tak. No tak, tak. Zapewne państwo Jędrzejczykowie uznali, że najlepiej będzie załatwić obie sprawy za jednym zamachem. To by się zgadzało z rejestrami, do których dotarłem. No. A teraz wybaczcie, wesołych! – pożegnał się i przesunął do kasy, gdyż oto nadeszła jego kolej, co w samą porę wyratowało go z opresji. Jeszcze by tym wyrostkom strzeliło do głowy znowu dać go komuś do telefonu…

– Czyli babunia Sława też znała Popiełowskiego. Ale co to właściwie znaczy?

– Nie wiem, ale coś mi mówi, że to się prędzej czy później skończy ostrym księgowaniem… – powiedział Maciejka, w zadumie zerkając za siebie na alejki pełne ludzi i towarów.

– Czym?

– Tym, że moja matka wygasi charakter i odpali inne supermoce. Stój tu, zaraz wracam.

– A ty dokąd?!

– Muszę skoczyć po wsparcie! – rzucił enigmatycznie i zniknął w dziale ze słodyczami.

ROZDZIAŁ | 21

Ledwie Tereska rozłączyła się po krótkiej pogawędce z notariuszem, a znów miała towarzystwo w saloniku babuni. Krystyna usiadła na podnóżku, Alina zaś bez słowa sięgnęła po nalewkę i kieliszki. Nawet Bigos postanowił dołączyć, wyczuwając wyraźnie zapotrzebowanie na kota. Kolejny sabat czas zacząć.

– Nic nie mów – uprzedziła bratanicę Krystyna. – Widziałam ten sernik i wiem, że to nie ty go rozgrzebałaś do poziomu skały macierzystej. A zresztą… do diabła z sernikiem. Wandę poniosło, a ja w żadnym razie jej nie usprawiedliwiam. Choć rozumiem – dodała przepraszającym tonem. – Spadło na nią coś, czego nie potrafię sobie wyobrazić.

Teraz, kiedy emocje trochę opadły, Tereska musiała niechętnie przyznać, że też trochę rozumie. Zwłaszcza gdy skleiła sobie do kupy dwie rozmowy, tę z Krystyną i tę z Markiem.

– Gadałaś z nią?

– Próbowałam. – Krystyna westchnęła ciężko. – Henryk też próbował, i Marek, i Agniesia. Chociaż co do tej ciućmy to nie jestem przekonana, czy nie paplała w kółko o sobie. Nic, jak dziad do obrazu. A przecież tego nie można tak zostawić! Już z domem to pół biedy, ani ja go nie chcę, ani Henryk, niech Wanda sobie tu żyje po swojemu. Ale przecież ona dopiero co pochowała matkę, a naraz się dowiaduje, że człowiek, którego całe życie uważała za ojca, być może wcale nim nie był! I jeszcze ją najwyraźniej wydziedziczył z zaskoczenia! Czegoś takiego nie da się ot tak poukładać, ani racjonalnie, ani emocjonalnie.

– A właśnie! – przypomniała sobie Tereska. – Skoro o wydziedziczeniu mowa. Dzieciaki przydybały w sklepie tego notariusza… tego… no… żywszego.

– Jończego? – podsunęła Alina, podając Teresce napełniony kieliszek.

– Właśnie tego. Dogrzebał się do czegoś. Otóż okazuje się, że babunia Sława nie widnieje w testamencie dziadunia, bo zrzekła się dziedziczenia po mężu. Ale to nie wszystko, co ostatnio odkryłam – dodała prędko, bo wśród pozostałych uczestniczek sabatu zapanowało poruszenie, a ona zamierzała pociągnąć tę myśl dalej. Najwyższy czas. – Według Marka ktoś majstrował też przy dynksach pod zegarem, prawda? No to podbijam. Według ojca ktoś podpiłował te deski w wykuszu. Dlatego się załamały.

Krystyna i Alina znieruchomiały, każda z kieliszkiem w dłoni. Kot też, tyle że w pozycji bardziej akrobatycznej. Wreszcie Alina jednym haustem wychyliła swoją porcję kawówki.

– Żartujesz sobie. Żartujesz, prawda? – Krystyna wciąż walczyła z tą myślą. Czemu Tereska wcale się nie dziwiła, bo ta myśl ciągnęła za sobą dalsze, dość przykre konsekwencje.

– Ale kto? Po co? – wypytywała Alina.

– Obstawiam, że ten ktoś, kto nocami łazi sobie po tym domu i czyni szkody.

– Czy my w takim razie nie powinniśmy zawiadomić policji?

– Po tym, jak zatarliśmy wszelkie możliwe ślady? – odpowiedziała Tereska ciotce pytaniem na pytanie. – Nie sądzę, żeby coś znaleźli. A jeśli znajdą, to mogą komuś przysolić z rozpędu zarzut utrudniania śledztwa.

Krystyna uniosła brew.

– Ty jesteś niepokojąco obeznana, wspominałam już o tym?

– Owszem, parę razy… – rzekła Tereska powoli, grając na zwłokę. Na samą myśl, że miałaby zdradzić pełnię swych dokonań na polu domorosłych śledztw, ogarnął ją pewien dyskomfort w człowieku, którego to dyskomfortu nie ukoiłaby żadna gramatura kasztanków. – No dobra, należy wam się kilka słów wyjaśnień. Niechcący zebrałam pewne doświadczenie w tej materii.

– Jak? – Ciotka ani myślała odpuścić. Dość zwodzenia, domagała się szczegółów. – I co to znaczy niechcący?

– Okej, tak… bardzo pokrótce to było tak. Najpierw zaginął nasz sąsiad zza płotu. Znaleziono go w kukurydzy, rozwleczonego przez dziki.

– Rozwleczonego? – Alina uniosła brwi. – Przepraszam, jak się rozwleka sąsiada? Pytam dla koleżanki.

– Facet nie był szczególnie lubiany, więc początkowo nikt w ogóle nie zwrócił uwagi, że zniknął. To było latem, podczas upałów, leżał sobie nieniepokojony dość długo i trochę się już tak… rozchodził. Samoistnie.

– O Jezu… – jęknęła Krystyna, bo wyobraziła to sobie aż za dobrze. Teraz i ona poczuła, że pora osuszyć kieliszek. Jednak szczegóły nie zawsze były wskazane…

– No. Wiem. – Tereska pokiwała głową, gdyż istotnie, wiedziała, jakie obrazy opadły teraz wyobraźnię jej ciotki. – W każdym razie było śledztwo, były poszukiwania, przesłuchania, złamania…

– I to wtedy spuściłaś bęcki sąsiadce? – strzeliła Alina. Nie odrywając zafascynowanego wzroku od Tereski, sięgnęła po butelkę z nalewką.

– Owszem. A pół roku później byłyśmy na takim babskim wypadzie do spa, moja matka, teściowa, Zoja i ja, no i akurat tak się złożyło, że zaginęła kobieta z domku obok. Działo się – podsumowała krótko. – I rzeczywiście, dzięki temu jestem teraz trochę oblatana w procedurach. Kryśka, nie patrz tak na mnie.

– Czy ja coś mówię?

– Wystarczy, że patrzysz. Już ja wiem, co mi mówi to spojrzenie. Brzydko mi mówi, wstydziłabyś się.

– Ja tylko sobie pomyślałam, że Andrzej to musi mieć z tobą ciekawe życie. Choć pewnie moja siostra ujęłaby to… inaczej.

– Tak, tak, zdążyłam się już zorientować, jaki tu obowiązuje wzorzec interpretacji – powiedziała Tereska z przekąsem. – Agniesia ma cudownego męża, bo się o nią troszczy, za to Markowi trafiła się istna harpia, która na nim żeruje i każe firanki wieszać. Harpia z elementami pijawki i dostępem do konta.

– Oczywiście. – Alina pokiwała głową. – Takie są najgorsze.

Tereska cmoknęła z powątpiewaniem. Osobiście jako synowa miała na koncie osiągnięcia o wiele grubszego kalibru. Nie żeby deprecjonowała koleżankę po fachu, skądże znowu, ale wątpiła, żeby ktoś w tym domu poza nią miał na koncie amatorskie śledztwo wskutek sąsiada w dywanie.

– No nie wiem, nie wiem… Ja to mogę jeszcze w mordę dać, a ty co najwyżej oskrobać marchewkę. Nie! – orzekła szybko, bo Krystyna z Aliną parsknęły śmiechem. – Nie, to była zła metafora, bardzo, bardzo zła…

– No cała ty.

– No… – westchnęła z rozmarzeniem Trawna. – Patrz, a Andrzej jakoś nie narzeka.

– Może się boi?

– Może – zgodziła się Tereska nad wyraz ochoczo. – Ale wiesz, ja znoszę jego matkę, to on też musi znieść… cóż, mnie. Oraz swoją matkę. Czasem to mu nawet trochę współczuję.

– Ale tylko trochę? – domyśliła się Krystyna.

– Bez przesady, jeszcze się przyzwyczai i potem co? Szok dla organizmu. Nie, nie. Najważniejsze to utrzymywać w małżeństwie w miarę stabilne warunki.

– Inaczej mężowie się płoszą. – Ciotka zgodziła się z tą metodą. – I co wtedy?

– Bywa i tak.

– Dlatego moja matka zawsze powtarzała, że nie wkłada się wszystkich jajek do jednego koszyka – powiedziała Alina z nagłą stanowczością. – Że ten mąż może być i najcudowniejszy, ale kobieta musi mieć pod nogami solidny grunt, żeby w razie konieczności zadbać o siebie, o dzieci, rodzinę.

Na te słowa Tereska Trawna doznała iluminacji. W oszołomieniu przesunęła dłonią po podłokietniku starego fotela.

Przybysława Jędrzejczyk.

Sława.

Babunia.

Pamiętała o urodzinach i rocznicach. O marzeniach i prośbach. Pamiętała, kto lubi ziemniaki tłuczone, a kto w kawałkach, kto z masłem, a kto aż mechate od świeżego koperku. Komu marzą się studia albo aparat na zęby. Kto zbiera na rower. Uczyła wnuki gwizdać, jeździć na wrotkach i piec rogaliki z marmoladą. Spierała krew, cerowała podarte spodnie i opatrywała rozbite kolana, żeby rodzice się nie dowiedzieli. Ale też potrafiła się ukryć w sadzie i napędzić im strachu, kiedy po zmierzchu biegli do domu, spóźnieni i gotowi na burę stulecia. Zapamiętali tę nauczkę lepiej niż jakiekolwiek kazanie.

Potrafiła też wrócić sama ze szpitala, bo się nudziła w łóżku jak mops, a przecież trzeba nastawić rosół na przyjazd dzieci. Albo zanieść Marka na pogotowie, kiedy zbierali jagody w lesie i ugryzła go żmija.

I jako jedyna wiedziała, że Kryśka z Tereską wymykają się przez okno, lecz zamiast zmyć im głowy, każdej nocy czekała cierpliwie, aż wrócą i będą bezpieczne w swoich łóżkach. Bo od tego są nastolatki, powtarzała, żeby robić głupoty, naginać granice i uciekać coraz śmielej w świat. A dorośli – żeby po cichu wstrzymywać oddech.

Zawsze miała dla nich czas i siły, bo rodzina była dla niej najważniejsza.

Zawsze na pierwszym miejscu stawiała rodzinę. Stawiała dzieci.

Zawsze.

Tereska podniosła roziskrzony wzrok.

– Babunia nie mogła tak po prostu umrzeć i… i… i nic z tym nie zrobić!

– Och, skarbie. Żałoba… – zaczęła Krystyna z ciężkim westchnieniem, lecz Tereska ani myślała dać sobie wejść w przemyślenia, które na nią spłynęły rwącym potokiem.

– A idź w cholerę z żałobą – zaproponowała życzliwie. – Żałobę ogarnę, nie o tym mówię! Babunia dzwoniła do mnie dwa razy w miesiącu, miesiąc w miesiąc. Zawsze tego samego dnia, o tej samej porze, jak w zegarku, bez zaglądania w kalendarz. Znała na pamięć mój numer telefonu, a nawet numer seryjny i nazwę każdego modelu trumny, jaki ją zainteresował choćby przelotem. Alina, ty masz rację z tymi jajkami! – pochwaliła z zapałem. – Cholerny dziadunio grabił wszystko do siebie. Grabił i ładował wszystko do swojego koszyka. Bez skrępowania. Nie wierzę, że babunia nic z tym nie zrobiła. Nie, po prostu nie wierzę. Całkowicie abstrahując od tego, kto jest czyim ojcem. Zrzekła się dziedziczenia po mężu? Okej. Ale co z jej dziećmi? Przecież was jest troje! – zwróciła się do Krystyny. – Nie jedno. TROJE. Nie, nie, to jest coś, co mi się nie mieści w głowie. Nawet w dupie mi się nie mieści, a mam sporą pojemność! Nie wiem, może ja jakaś dziwna jestem, znaczy, jestem, na pewno, ale rękę bym sobie odgryzła, a nie pozwoliłabym Andrzejowi wykluczyć żadnego z moich dzieci kosztem drugiego. Albo wszystkie dzieci nasze są, albo wypad z baru.

– Czyj dom, tego wola – zauważyła Alina z rezygnacją. – Skoro dom był dziadunia…

– Dom! – Tereska strzeliła dłonią o udo. – No właśnie! Przecież mówimy tylko o domu, a co z resztą? Co z jej osobistym majątkiem? Babunia nie spisała testamentu? Dlaczego?

– Wcale nie musiała – zauważyła Alina. – Właściwie to mało kto spisuje.

– Nie musiała – przytaknęła Tereska. – Ale serio? Serio wierzycie, że babunia zaplanowała swój pogrzeb co do szczegółu, włącznie z kolorem i grubością rajtek, które życzyła sobie mieć na tyłku, a nie zostawiła testamentu? Albo chociaż, nie wiem, zestawu karteczek samoprzylepnych z kompletem swobodnych sugestii?!

Alina i Krystyna spojrzały po sobie, gdyż rzeczywiście, im również nie zgrywał się ten obraz. Na przestrzeni lat zdążyły się niejednokrotnie przekonać, jak bardzo zorganizowana była babunia Sława. Doświadczyły tego przecież na własnej skórze. Pogrzeb był tylko wisienką na tym wielowarstwowym torcie.

– A jej dokumenty osobiste? – Tereska siłą rozpędu szła za ciosem. – Jej akt urodzenia? Zdjęcia z młodości? Pamiątki po rodzinie? Gdzie to wszystko jest? Też za boazerią? W kominie? GDZIE?! O, proszę bardzo. Proszę!

Alina skrzywiła się z niesmakiem.

– Ale ty się opanuj, bo zaczynasz brzmieć jak…

– Przepraszam, trochę poniósł mnie melanż… anyż… co ja w zasadzie piję?… – Aż zerknęła do kieliszka, odpowiedzi tam jednak nie znalazła. – Chodzi mi o to, że ciotka Wanda ma te swoje pudełka, prawda? Te z papierami i tak dalej. Sama nie jestem w połowie tak ogarnięta jak babunia, ale nawet ja mam taki segregator. W środku trzymam najważniejsze dokumenty, moje, Andrzeja, dzieci, akty urodzenia, ślubu, paszporty, polisy, certyfikaty, świadectwa, hasła, umowy na media – wyliczała z prędkością karabinu, jak gdyby się bała, że wątek zaraz wymknie jej się z rąk. – Wszystko w jednym miejscu, uporządkowane, na tak zwany wszelki wypadek. Nie wiem, gdyby wybuchł pożar albo przyszła powódź i musielibyśmy uciekać. Albo żeby Andrzej nie musiał szukać, gdyby mnie ten nagły szlag w końcu trafił, co przy moim temperamencie zapewne nastąpi prędzej niż później. – Stanowczym gestem odstawiła pusty kieliszek na stolik. – Nie. Co jak co, ale moja babunia na pewno nie umarła nieprzygotowana.

ROZDZIAŁ | 22

Mimo podejmowanych wysiłków trzy wiedźmy utknęły na amen z dedukcją, uznały zatem, że już dość tego sabatu, pora wracać do prozy życia. Choćby dla zajęcia myśli czymś innym w oczekiwaniu na olśnienie.

Pod ich nieobecność Bogna zdążyła uporać się z ciastem i teraz rozprowadzała na nim grubą warstwę masy makowej. Agniesia odpuściła nieszczęsnej marchewce i zabrała się do rzeźbienia kwiecia z rzodkiewek. Jej mąż stał przy otwartej zmywarce i systematycznie przekładał zawartość szufladki ze sztućcami – wedle rodzaju i rozmiaru, z zachowaniem odpowiednich odstępów, obowiązkowo ostrzem, zębiskiem bądź miseczką w dół.

– W ten sposób działa grawitacja – objaśnił, gdyż nie umknęła mu fascynacja, z jaką Tereska śledziła każdy jego ruch.

– Grawitacja.

– Takie zjawisko.

– Jestem tak jakby na bieżąco. Oklaski wystarczą czy mam szukać wołu i kwiecia na ofiarę? – zapytała z autentycznym zaintrygowaniem, ponieważ Jan Jakub rzeczywiście wyglądał, jak gdyby czekał na dowody uznania.

Prychnął tak głęboko, że jak nic trochę się przy tym obsmarkał. Dalszą dyskusję z Trawną na temat wpływu grawitacji na mycie sztućców w zmywarce uznał chyba za czczą paplaninę, bo wziął filiżankę herbaty i z godnością opuścił kuchnię.

– Rozum rozmięka przy tym człowieku – stwierdziła Tereska, wracając do porzuconych kartofli, które już trzy razy zdążyły wystygnąć.

– Och, żeby tylko ROZUM… – westchnęła Agniesia.

Zanim pociągnęły ją za język, do kuchni wpadła zdyszana młodzież ze zdobycznymi zakupami oraz niezdobycznym Markiem. Duża Ola już po drodze zaczęła streszczać ojcu, czego dowiedzieli się w sklepie. Maciejka tymczasem wyłowił z siatki foliowy woreczek i położył go na stole przed matką. Tereskę aż zatchnęło – bo w środku były kasztanki. Cały kilogram najprawdziwszych kasztanków.

– SYNU…

– Wiem. – Poklepał matkę po ramieniu. – Wiem.

– Dlaczego ja o tym wcześniej nie pomyślałam?!

– Bo nie miałaś kasztanków – odparł Maciejka, gdyż było dla niego rzeczą najoczywistszą pod słońcem, że trwale pozbawiona kasztanków matka nie myśli logicznie o niczym, z kasztankami włącznie.

Z nabożną czcią rozsupłała foliowy węzeł i zagłębiła dłoń w kasztankowej obfitości, aż coś jej w duszy załkało. Sreberko nie stawiało oporu pod palcami, odsłoniło cudowne

czekoladowe wnętrze, które chwilę później eksplodowało smakiem i szczęściem w kubkach smakowych Tereski Trawnej.

Prawie czuła, jak jej mózg się budzi, otrząsa z kurzu i paproszków, jak przypomina sobie, którędy do synaps i co się właściwie robi z tymi zwojami. A potem – zgodnie z założeniami poczynionymi przez Maciejkę – pod wpływem ukochanych kalorii zabrała się do księgowania.

– Podłoga, zegar… – wymamrotała znad pierwszego sreberka. – To nie były żadne tam nieszczęśliwe wypadki. To były pułapki.

Nie mogła chyba zacząć lepiej. W okamgnieniu przyciągnęła uwagę zebranych.

– Ale ty masz świadomość, że pułapki nie zastawiają się same? – upewnił się Marek.

– Owszem, mam. To ewidentnie czyjaś sprawka.

– Dobrze, załóżmy przez chwilę, że masz rację. Czyja?

– A skąd ja mam wiedzieć, komu i czym podpadliście?!

– No mnie wychodzi, że to sprawka TERESY – obwieściła Agniesia ze swego kącika. – Mści się za doznane krzywdy i przy okazji czyha na rodzinny MAJĄTEK.

– Gdzie czyha, no jak czyha?

– Z tą nogą?!

– No to WYSŁUGUJE się małoletnim synem, wykorzystując potęgę rodzicielskiego autorytetu! W końcu Maciejka dziedziczy po Teresce. Czyli ma w tym ŻYWOTNY interes.

– Chwila. Moment. MOMENT! – przekrzyczała Tereska towarzystwo. Sięgnęła do woreczka po drugiego kasztanka. – Przecież ja wcale nie dziedziczę po ojcu. Znaczy, ogółem dziedziczę, ale nie wszystko. Tak konkretnie to nie dziedziczę tego domu.

– Jak to nie?

– Pamiętasz, co mówił ten żywszy notariusz? – przypomniała kuzynowi. – Zapis w testamencie dziadunia jest tak skonstruowany, że ten dom dziedziczą kolejno dzieci typu małżeńskiego, czyli najpierw mój ojciec, a z braku mojego ojca ty. – Wskazała palcem młodszą z ciotek. – A ten dom… ten dom to nie lada gratka…

– Skąd wiesz?

– No właśnie. Skąd? – Tereska zasępiła się przelotnie. – Nieistotne. Jak nie patrzeć, dupa zawsze z tyłu. Żadne z nas nie ma w tym interesu. Ani Marek, ani ja. Ani nawet Agniesia.

– No dobrze, ale w takim razie czegoś tu nie rozumiem – wtrąciła Alina. – To dlaczego ten ktoś czaił się na Marka? Przecież skoro ty nie dziedziczysz po Henryku, to Marek nie dziedziczy tym bardziej. No bo po kim? Skoro zakładamy, że nie jest córką dziadunia…

– Wiesz, Marek ma swoje… humory.

– No owszem, ma – zgodziła się gładko Alina – ale chyba łatwiej by było w akcie zemsty narobić mu na wycieraczkę, niż zwabiać go firanką w śmiertelną pułapkę?

– Czy ja nadal jestem twoim ulubionym mężem? – zapytał zaintrygowany Popiełowski. – Czy może coś mnie ominęło?

– Trzy kolejki.

– Bo tu wcale nie chodziło o Marka – powiedziała Tereska z błyskiem wspomaganego natchnienia w porcelanowych oczach. – Sami pomyślcie. Kto w tym domu zawsze myje okna na święta?

– Krystyna.

– A kto zawsze śpi w zegarowym?

– Henryk.

– …rwa mać… – zaklął Marek, który pierwszy zrozumiał, do czego zmierzała jego kuzynka. I wcale mu się to nie podobało.

– Lepiej bym tego nie ujęła. – Wraz z kolejnym kasztankiem, który znalazł się w jej ustach, Tereska rozwijała procesy myślowe niczym poeta skrzydła wyobraźni ponad suchym przestworem oceanu albo inny cymbał brzmiący. – Ktoś tu dobrze wie, co robi. Podpiłował deski w podłodze wykuszu, podpiłował jeden z dynksów pod zegarem. Musiał to zrobić odpowiednio wcześniej, musiał się do tego przygotować, prawda? Tylko nie przewidział, że w kluczowym momencie zadzwoni bieżący Baranek i zamiast Krystyny okno w wykuszu umyje Alina, która jest wagi mikroskopijnej. I to licząc razem z mikroskopem.

– Czy ja WIEM… – bąknęła Agniesia sceptycznie, Tereska jednakże miała ten sceptycyzm tak głęboko w nosie, że ją łaskotał w zatoki.

– Ciężar Aliny podpiłowane drewno wytrzymało, ale pod Markiem trzasnęło od razu, gdy tylko oparł tam stopę. Bo Marek jest słuszniejszych rozmiarów.

– Krystyna zdążyłaby tam stanąć cała…

– I cała bym pewnie spadła – skwitowała Krystyna, którą również ogarnął naraz wewnętrzny dyskomfort na myśl o płotku okalającym róże pod wykuszem.

– A gdyby ojciec spał jak zawsze z Bogną zamiast z Bigosem – ciągnęła Tereska – oboje mieliby głowy tam, gdzie trzeba, spadający zegar trafiłby idealnie w nich i… No, jak to się kiedyś mawiało, ręka, noga, mózg na ścianie. Tyle że Bognę wezwali pilnie do kliniki, operacja się przeciągnęła i Bogna w ogóle nie wróciła na noc, więc ojciec spał z kotem, który uparcie anektował mu przestrzeń. A umówmy się, tę pułapkę nasz morderca, znaczy, prawie że morderca, zastawił z rozmachem. Nie wiem, może na zapas, może nie umie w kalibrację środków rażenia… Albo nie wiedział!

– Henryk? – Bogna nie nadążała za Tereską. – O pułapce? No nie, raczej nie…

– Nie, ten cały prawie że morderca! Nie wiedział, że Bogna nie jest żoną ojca i nie dziedziczy po nim niczego, więc próbował załatwić ich oboje. Za to JA o tym wiedziałam, Bogna potwierdzi, proszę, Bogna potwierdza, że wiedziałam, więc możemy chyba uznać, że to mnie wyklucza z grona podejrzanych, tak? Tak? TAK?!

Wszyscy zebrani w kuchni milczeli jak zaklęci, czekając na dalszy rozwój sytuacji.

– No już, już, powściągnijcie ten zapał… – Tereska Trawna przewróciła oczami i westchnęła z lekką irytacją. Na szczęście kasztanki robiły jej dobrze nie tylko na umysłowość, lecz również na ogólną stabilność emocjonalną. Jakoś tak łatwiej myślało jej się teraz o zbrodni.

– Teresa, czekaj. Ty chyba nie chcesz… nie chcesz chyba powiedzieć…?

– Obawiam się, Kryśka, że nie chcę, ale muszę. Ktoś was ewidentnie próbuje pozabijać.

– KLUCZE! – krzyknęła nagle Krystyna, jak gdyby udzielił jej się kasztankowy trans bratanicy. – Drugi komplet kluczy. Ten, którego nikt nie mógł znaleźć, kiedy wróciliśmy z pogrzebu, pamiętacie?

Oczywiście, że pamiętali. Jak mogliby nie pamiętać? Gdyby te klucze były tam, gdzie trzeba, Tereska nie dałaby popisu najpierw sprawności, a potem pecha z nieplanowaną fantazją.

– Czy ktoś obcy kręcił się ostatnio po domu? – drążyła Krystyna. – Może je wtedy podprowadził?

– Raczej nie… Chyba że Popiełowski? – podsunął Marek. – Albo ten żywszy… o, Jończy.

Tereska uśmiechnęła się do Krystyny. One chyba miały swojego kandydata do tej roli.

– Kto podpisał umowę na internet? – zwróciła się do Marka z nieoczekiwanym pytaniem. – Ten w jadalni.

– No ja. A co?

– I ty zamówiłeś tego gościa od instalacji?

– Nie, to Agniesia.

– Ja? – Siostra wybałuszyła na niego jasne oczęta. – Ja NIC nie zamawiałam.

– Przecież miałaś zamówić.

– No i? Ale NIE zamówiłam. Byłam ZAJĘTA.

– Nieważne – ucięła czym prędzej Tereska, bo coś jej mówiło, że inaczej nie powstrzyma Marka przed zaduszeniem siostry. – Internet jest zainstalowany, więc KTOŚ zamówił. Tylko kto?

– A to jest ważne z jakiegoś powodu? – zainteresowała się Bogna. – Jezu, co ja robię… – Tak się zasłuchała, że od kwadransa uklepywała i uklepywała zwinięty już makowiec, mało jej z walca nie wyszedł podłużny placek.

– Bardzo ważne! – potwierdziła Krystyna. – Facet, który przyszedł instalować internet, mówił, że wtedy po domu ktoś się kręcił. Uznał, że syn, chociaż pewności nie miał. Skoro nie Marek, to kto? Sądząc z opisu, na pewno nie Henryk.

– Może Jan z Jakubem?

– Mojego męża proszę do tego NIE MIESZAĆ – oburzyła się Agniesia.

– Fakt. – Brat nieoczekiwanie zgodził się z siostrą. – Piekło by zamarzło, gdyby Jan Jakub wziął się w tym domu do jakiejś konkretnej roboty.

– Nasz prawie że morderca naprawdę sporo wie… – Tereska w najgłębszym zamyśleniu zwinęła puste sreberko w kulkę i zgniotła w palcach. – Sami pomyślcie. Wie, jak się poruszać po tym domu i jakie zwyczaje mają domownicy, tak? Kto gdzie śpi, kto co robi i tak dalej. Zdążył się przecież przygotować, prawda? Podpiłować to i tamto jak… jak… jak jakiś…

– …bóbr? – podsunął Maciejka.

– Chrzanić bobra! ON WIE! – W tym uniesieniu aż huknęła dłonią w stół. – Nie mam pojęcia skąd, ale wie, że ciotka Wanda nie jest dzieckiem dziadunia i że tak sformułowany testament wyklucza właśnie ją, tylko ją i konkretnie ją z dziedziczenia domu. Powiem więcej. Myślę, że wiedział o tym już wcześniej, jeszcze zanim my poznaliśmy testament. Musiał znać jeśli nie dokładne zapisy, to chociaż najważniejsze szczegóły. Że ciotka Wanda nie dziedziczy, że babunia nie dziedziczy. A dlaczego wybrał akurat Kryśkę i ojca na swoje ofiary, a nie na przykład Agniesię i mnie? Bo ojciec to najstarszy potomek po pierwsze zrodzony z małżeństwa babuni i dziadunia, po drugie osobiście żyjący…

– A gdyby wujek Heniek nie żył… – zaczął Marek.

– Dziedziczyłaby Krystyna – dokończyła jego żona. – Chwila. A gdyby Krystyna też już nie żyła? Co wtedy?

Z jakiegoś powodu wszyscy obrócili się do Tereski, emanując oczekiwaniami. Chyba zaczęła robić za rodzinną specjalistkę od planowania zbrodni. Zmarszczyła czoło, próbując to jakoś sklecić do kupy.

– Trzeba by podpytać Jończego, ale wydaje mi się… wydaje mi się, że wtedy wjeżdża dziedziczenie ustawowe. Czyli lecimy apiać od nowa i dziedziczą rodzice, a jeśli rodzice nie żyją, to wtedy dziedziczy rodzeństwo i ich zstępni. O szlag!…

– CO?!

– Matka weszła na najwyższe obroty! – wyjaśnił podekscytowany Maciejka i sam wcisnął jej do ręki kolejnego kasztanka, gdyż istotnie, Teresa miała teraz na twarzy błogość nieziemską, jaka ogarniała ją wyłącznie w trzech życiowych przypadkach: podczas obcowania z liczbami, obcowania z czekoladą lub obcowania… no, z obcowaniem.

– Nie rozumiecie? – wymamrotała wreszcie z czekoladką rozpływającą się w ustach. – Rodzeństwo. Całe rodzeństwo, bez wyjątku, czyli również przyrodnie! Wtedy Wanda wchodzi do dziedziczenia domu. Wtedy i TYLKO WTEDY. Chyba że…?

– Chyba że nikt się nigdy o niczym nie dowie – dokończyła Krystyna, w końcu łapiąc fale, na których nadawała jej upojona kaloriami bratanica. – Ani o prawdziwym ojcu, ani o haczyku w testamencie.

– Nieboszczyk! – Marek strzelił dłonią o udo, aż huknęło.

– Tak. Tak. – Na twarzy Tereski rozlała się błogość świetlista. – Myślę, że ktokolwiek zastawia teraz pułapki na ojca i Krystynę, mógł też mieć coś wspólnego ze śmiercią nieboszczyka Popiełowskiego. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Tutaj chodzi o ciotkę Wandę. O Wandę, która jednak chciała Niemca.

– Ale… nie sądzicie chyba, że… że to Wanda?… – Alinie głos uwiązł w gardle.

– Nie no, weź. To nie w jej stylu, ciotka raczej wykańcza przeciwników psychicznie. Ale może jakiś jej przyczajony gach, ukryty kochanek? Może to on się kręcił wtedy po domu?

– Weź ty się puknij – skwitował ponuro Marek.

– Albo jednak ten syn… to syn. Bo wiesz, ty z Agniesią też wchodzicie wtedy do dziedziczenia.

– No. Tak samo jak ty w pakiecie z Henrykiem – wytknął kuzynce w rewanżu. – Za to bez Bogny.

– Ano. Bez Bogny. Czyli jednak…

– A idźcie beze mnie w cholerę – podsumowała życzliwie wzmiankowana Bogna.

Parsknęli śmiechem, na moment zapominając, z czego właściwie się śmieją. Tereska zaśmiała się z nimi, choć było coś jeszcze, nad czym się zastanawiała. Zachowała to jednak dla siebie. Dotąd zakładali radośnie, że te pułapki były sprawką kogoś z zewnątrz, kto potrafił dostać się niepostrzeżenie do domu. Lecz teraz Tereskę ogarnęło przykre uczucie, że tak właściwie chyba nie do końca…

NIEDZIELA,
czyli ŚWIĘTA, ŚWIĘTA

ROZDZIAŁ | 23

Tereska Trawna poderwała się z fotela babuni jak oparzona. I to niemal dosłownie, bo była zgrzana i mokrusieńka od potu. Miała wrażenie, że zaraz ugotuje się żywcem.

A więc stało się, pierwsza myśl przemknęła przez jej świadomość. Co tam zwłoki w dywanie, co tam mordobicia i nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu. Napyskowała starszej pani i proszę, w trybie ekspresowym trafiła do piekła.

Cóż. Albo to, albo kaloryfer, którego ciepełkiem tak się cieszyła, z jakiegoś powodu rozgrzał się niemal do czerwoności. Aż parzył, kiedy dotknęła go palcami. Najpierw rzuciła okiem na termostat – był ustawiony ledwie na dwójkę i zablokowany, żeby nie dało się go już bardziej skręcić. Dziwne. Nawet przy trzaskającym mrozie kaloryfer na dwójce nie powinien się aż tak nagrzewać, żeby nie dało się go musnąć. Przez dłuższą chwilę Tereska rozglądała się bezradnie, szukając na ścianie jakiegoś panelu sterującego czy innego regulatora, żeby sprawdzić, czy coś się nie pokićkało w ustawieniach, zanim stuknęła się w czoło. No tak. Po co komu nowoczesne i wygodne rozwiązania. Pielgrzymuj, kobieto, jeśli nie chcesz się topić w ukropie.

Cały dom spał, na zewnątrz dopiero zbierało się na świt, więc chcąc nie chcąc, Tereska musiała się zająć tym problemem sama. Spędziła kilka minut w przedsionku, gdzie nie było żadnego kaloryfera, który podgrzałby powietrze do wartości równikowych. Ochłonęła, narzuciła kurtkę na grzbiet, wsadziła zdrową stopę w but i wyszła na zewnątrz, przed ośnieżony budynek.

Zabawne. Jeździła tu przez tyle lat, a nigdy nie patrzyła na rodzinny dom ojca tak jak teraz. Już nie przez pryzmat radosnych wspomnień ani nawet żalu, niby dawnego, a jednak wciąż żywego. Widziała w nim teraz człowieka, którego nigdy nie znała, bo umarł jeszcze przed jej narodzinami: Alfreda Jędrzejczyka. Dostrzegała go w każdej przybudówce, każdym skrawku przestrzeni, którą tak skrupulatnie przyłączył do domu. Zawłaszczył zachłannie.

Tak. Dziadunio Fredek jak mało kto grabił do siebie.

Z tego, co pamiętała, piec znajdował się w komórce przyrośniętej do głównej bryły trochę od frontu, a trochę z boku, w cieniu starego modrzewia. Oprócz zapasu węgla ciotka trzymała tam również drewno do kominka i babcinej kozy. Gdy od celu dzieliło ją tylko kilka kroków, Tereska uświadomiła sobie, że przecież wypadałoby mieć klucz do tej przybudówki, inaczej pocałuje klamkę i będzie musiała drałować dwa razy, co znacznie podnosiło ryzyko ponownej kontuzji. Okazało się jednak, że wcale nie musi zawracać. Drzwi były uchylone.

A przecież nie powinny.

Zdjęta niepokojem zatrzymała się i wtedy zauważyła, że śnieg przed komórką był rozdeptany. Tyle że jakoś tak… dziwnie. Jak gdyby ktoś starannie zatarł ślady, szurając w kółko i rozkopując śnieg. Musiał się naprawdę przyłożyć… Chwila. Czy to coś takiego widział przed

stodołą Marek? Tereska mocniej zacisnęła dłonie na kulach. No i co teraz? Powinna je błogosławić czy jednak przeklinać? W rączej ucieczce nie pomogą, z kolei w zdzieleniu ewentualnego przeciwnika w dekiel czy inną część człowieka już tak – w końcu wybitnie zwiększały jej pole rażenia. Mogłaby też dzięki nim podejść bezszelestnie pod same drzwi komórki, nie zdradzając się śniegiem trzeszczącym pod podeszwami. No chyba że się wygrzmoci. To wtedy nie.

Cóż. Na tle wszechobecnej bieli naprawdę nie dało się nie dostrzec jej wściekle pomarańczowego płaszcza, więc jeśli w środku ktoś był i patrzył na zewnątrz, z pewnością zdążyłby dostrzec Tereskę pięć razy i co najmniej trzy razy oślepnąć. Żaden skowyt bólu nie dobiegł jej uszu… Nie miała na co czekać. Podkradła się na kulach i zajrzała do komórki.

W środku nikogo nie było, nikt się na nią nie czaił w ciemnościach. Zapalona żarówka, która na długim kablu zwisała z sufitu, rzucała światło mizerne, lecz wystarczające, by dało się dostrzec opuszczoną klapkę w dolnej części pieca. Urządzenie znajdowało się na przeciwległym końcu dość wąskiego pomieszczenia, bokiem do wejścia. Manewrując w skupieniu między workami z węglem i stertami sezonowanego drewna, Tereska podeszła bliżej. Coś tu było bardzo nie tak. Coś migało ostrzegawczo, coś piszczało, a sam piec wydawał dźwięki, których chyba nie powinien, jak gdyby fukał…

Naraz od strony podwórka podniósł się niski gardłowy warkot.

Zanim zdążyła obrócić głowę, coś wielkiego i kudłatego wystrzeliło jak z procy – i skoczyło na Tereskę.

Pierwsze szarpnięcie za połę płaszcza prawie zwaliło ją z nóg. Machnęła gwałtownie rękami. Czystym zrządzeniem losu prawa kula zaklinowała jej się między stertami drewna – tylko dlatego Tereska ustała po tym ciosie. Wrzasnęła i już miała unieść drugą kulę, żeby się bronić przed atakującym brutalnie krwiożerczym bydlęciem, kiedy w tej kotłowaninie biało-czarnych kudłów dostrzegła coś bardzo, bardzo znajomego.

– Pi… PINDZIA?! Pindzia, co ty?! Pindzia, zostaw!!!

Ale kudłata psica ani myślała zostawić swoją panią. Wprost przeciwnie, coraz gwałtowniej szarpała ją za płaszcz, rozdzierając błyszczący pomarańczowy materiał.

– ODSUŃ SIĘ! – usłyszała naraz już bardziej ludzki krzyk. – Odsuń się od tego pieca!

Nim Tereska zorientowała się, co się dzieje, jakaś wysoka postać w ciemnej kurtce wypchnęła ją razem z psicą na zewnątrz. Zaskoczona i zaaferowana w pierwszej chwili w ogóle jej nie poznała i już rozważała, czy cisnąć tymi kulami z dystansu, czy lepiej dopaść celu i zatłuc ręcznie. Lecz wtedy nieznajomy odrzucił kaptur na plecy.

Tereskę opadła błogość nieziemska z elementami zbaranienia. Również nieziemskiego.

Andrzej. Andrzej tu był.

No przecież, że był.

W życiu nie puściłby Pindzi taki kawał samej.

Andrzej Trawny, mamrocząc coś do siebie, długo i uważnie majstrował przy piecu. Jego żona w tym czasie siedziała na śniegu i tuliła psicę, głęboko rozdartą między radością ze spotkania z ukochaną pańcią a niepokojem o równie ukochanego pańcia. Coś w tej komórce budziło jej najgłębsze instynkty nakazujące bronić, osłaniać własnymi kudłami.

– Andrzej… – Tereska z rozkoszą skryła się na moment w jego ramionach, gdy wreszcie skończył i wyszedł ku niej na śnieg. Pachniał cedrem, trawą cytrynową i… żelkami?

– Niewiele brakowało, rany boskie, Mysza… – Oderwał żonę od piersi i pogładził po policzku. – Przecież to mogło wybuchnąć! Coś ty tam nakombinowała?

– Nic! Przysięgam!!! To już tak było, kiedy przyszłam. Ja… ja nie wiem, co tam się stało… – Podniosła na męża spojrzenie pełne czystego zachwytu, jak gdyby patrzyła na ósmy cud świata. Albo replikę tego cudu, ulepioną z kasztanków. – Co ty tu w ogóle robisz?

Odpowiedział jej wzrokiem tak cielęcym, że mógłby zagrać w jasełkach bez charakteryzacji. Niby labrador, a jednak proszę, jakie z niego wychodziło zwierzę.

– Zabawna sprawa. Okazało się, że znajomy z pracy ma w tych stronach rodzinę i wybiera się do niej na święta. Jeździ siedmioosobowym citroënem, więc miejsce ma. Zgodził się zboczyć z trasy tych piętnaście kilometrów, żeby mnie zabrać. Punkt piąta – dodał i na moment w jego oczach jakby przygasło życie. – Ich trojaczki wstają o czwartej i nie ma zlituj, choć o szóstej na chwilę się zdrzemnęły i nawet zrobiło się jakby ciszej. I co pół godziny robiliśmy postój. Ciekawa podróż, nie powiem, ale przynajmniej mój pęcherz nie narzekał. Wiesz, że istnieją kolędy dla dzieci? Chyba nawet zapamiętałem kawałek refrenu. „Dam ci swoje klocki Lego, dam ci misia pluszowego…" – zanucił, zanim zdążyła go powstrzymać.

– Och, Andrzej… – Tereska na powrót przywarła do mężowskiej klaty. – Jak ja się cieszę, że tu jesteś, to ty nawet nie wiesz…

– Mysza… – wyszeptał gorączkowo, wtulając usta w jej poczochrane włosy, aż Teresce od tego szeptu nawet kule zmiękły. – Och, Mysza…

– Tak, Andrzejku?

– Ja bardzo muszę siku…

—

– Nie rozumiem. – Marek Popiełowski mierzył się z tym, co Andrzej wyjaśnił mu pokrótce przy śniadaniu. – Przecież dopiero co był robiony przegląd.

– Technicznie to raczej nie kwestia sprawności samego pieca – uściślił Trawny. – Coś musiało zdusić dopływ powietrza. Pewnie ktoś dorzucił za dużo węgla i płomień zaniknął. Ale gdyby Tereska otworzyła ten lufcik…

– To co? – Tereska, przytomniejąca na krześle obok z kawą i kasztankiem, naskoczyła na męża, który ośmielił się przerwać w najciekawszym momencie. – Andrzej? To co wtedy?

– Według mnie doszłoby do wybuchu w kotle. Chociaż nie wiem, czy nie powinniśmy właściwie mówić o detonacji – zauważył Andrzej, wyraźnie zaintrygowany tą myślą, jak gdyby planował eksperyment w warunkach domowych. – Wszystko się rozchodzi o prędkość, z jaką dochodzi do zapłonu. Fala uderzeniowa plus suche drewno, które tam trzymacie… Miałabyś szczęście, gdybyś zdążyła stamtąd wybiec.

Tereska nie skomentowała tego w żaden sposób, tylko pomału spuściła wzrok na prawą kostkę usztywnioną bandażem. Tak. Bez wątpienia uciekałaby stamtąd niczym rącza łania.

Andrzej z Markiem wrócili do roztrząsania kwestii technicznych, coraz wyraźniej zmierzając ku konkluzji, że trzeba by pójść i przyjrzeć się temu piecowi uważniej. Na wypadek gdyby miała mu się powtórzyć ta nietypowa zadyszka. Tak, koniecznie, zaraz tam pójdą. Tylko się uporają z tym talerzem kanapek.

– Ale zostajecie na Wigilii, co? – upewniła się Alina. Mąż Tereski od razu jej się spodobał. Podobnie jak kudłata psica Trawnych, która najpierw narobiła w przedsionku

radosnego rabanu, budząc Popiełowskich, potem wylizała zachwyconego kota z resztek sernika, po czym uznała, że zrobiła swoje, i zaanektowała pachnący pańcią fotel babuni.

– A bo ja wiem? Mysza? Zostajemy?

Tereska otworzyła usta i zaraz je zamknęła, bo sama już nie wiedziała, czy bardziej chce się wyrwać z tego domu wariatów i nacieszyć w końcu świętym spokojem na własnych, osobistych śmieciach, czy zostać na ewentualny ciąg dalszy rodzinnych tajemnic.

– Zostańcie – poprosiła Alina. – Skoro już tu jesteście w komplecie…

– A będzie sernik? – zapytał Trawny. Patrzył z taką nadzieją, że aż chciało mu się dać przysmaczek na pocieszenie.

– Niestety. Do sernika wlazł Bigos.

– Tak… sam?…

– Bigos to kot – zlitowała się nad mężem Tereska.

– A! Trochę mi ulżyło – przyznał Andrzej. – Przepraszam, ale tak właściwie to… czemu Bigos?

– A czemu Pindzia?

– Pieszczotliwe zdrobnienie od Piña Colada.

– Uhm. Pieszczotliwe. JASNE.

– Uważaj, bo ci litery agniesiowieją – przestrzegła kuzyna Tereska.

– Bigos to znajda – zaczęła tłumaczyć Alina. – Moja teściowa, znaczy Wanda, wypatrzyła go przypadkiem w jakiejś zatęchłej dziurze i postanowiła uratować. Był bodajże listopad, deszcz zacinał poziomo, a ten ani myślał wyleźć. Moja teściowa, znaczy Wanda, akurat wracała ze sklepu i miała w siatce takie ścinki, wiesz, skrawki różnych pieczonych mięs na bigos. Średnio to zdrowe dla kota, więc za nic nie mówcie o tym Bognie, ale pachnące tak, że się kociak w końcu złamał i wylazł.

– Też bym wylazł – wtrącił Marek.

– Zanim moja teściowa, znaczy Wanda, doniosła mokrego wypłosza do domu, zjadł chyba połowę tego naboju i wyglądał jak kulka. Do tej pory przylatuje do kuchni, kiedy zanosi się na bigos. Niestety, w serniku również gustuje.

– A podobno koty nie czują słodkiego smaku! – oburzyła się Tereska.

– Mysza. Serio. – Andrzej pokręcił głową. – Czy to by cię powstrzymało przed sernikiem?

– Z rodzynkami czy bez?

– Bez.

– W życiu.

– No to co się kotu dziwisz? No dobrze, no cóż… Bywa. Święta bez sernika to mimo wszystko nadal święta. – Wydał z siebie żałosne westchnienie zawiedzionego pieseczka, któremu już nic na tym świecie nie zostało. – Pamiętam, jak w którąś Wigilię Tereska wywaliła na podłogę całą rybę po grecku. A ja bardzo lubię rybę po grecku…

– Pindzia nie narzekała – burknęła Tereska znad kawy.

– Ale zawsze można upiec drugi! – Andrzej radośnie klasnął w dłonie. – Chyba że nie macie więcej twarogu?

– Mamy, mamy. I twaróg, i pozostałe składniki, ale… – Alina zerknęła niepewnie na męża i jego kuzynkę. – Chyba się nikt nie odważy.

– Ja się chętnie podejmę.

– Ta. Jasne. – Marek rzucił Andrzejowi pełne politowania spojrzenie. – Żeby to było takie proste, wziąć i upiec…

– To musi być taki sernik, jaki piecze Wanda – wyłożyła Tereska nieświadomemu mężowi jak krowie na miedzy. – Dokładnie taki. A żadne z nas nie zna przepisu.

– Rozumiem, jasne. – Trawny pokiwał głową. – Inaczej. NIE rozumiem. Dlaczego po prostu nie zapytacie?

Tereska zastygła z kasztankiem w garści.

– Ty masz rację – wyszeptała. – Andrzej. Ty masz absolutną rację. Przecież wystarczy zapytać.

Żadne dobre, życzliwe słowo z dobrych, życzliwych ust nie było w stanie wyrwać Wandy ze zobojętnienia, w które wpędził ją testament dziadka do spółki z aktem z boazerii. Ale tak się składało, że Tereska znała też inne słowa. Bardzo, bardzo skuteczne.

– Nie, błagam…

– MILCZ – ucięła w zarodku protesty kuzyna, łapiąc za kule. W końcu wiedziała, w końcu znalazła jakąś odpowiedź i jakieś rozwiązanie, przynajmniej tego problemu. – Jeżeli potrafię coś robić poza księgowaniem… i mordobiciem, to doprowadzać ludzi do ostateczności. Więc milcz i patrz, jak to robi zawodowiec.

Zatem Popiełowscy w duecie wraz z pojedynczym Trawnym przysłuchiwali się z narastającą grozą, jak Tereska raz po raz, w kilkuminutowych odstępach, pukała do pokoju ciotki i nie czekając na zaproszenie czy jakąkolwiek inną reakcję, uchylała drzwi, wsadzała głowę do środka i zadawała głośno i dźwięcznie całkowicie niewinne pytanie:

– Ciociu, przepraszam, ale chcę się tylko upewnić. Ciocia do sernika daje budyń śmietankowy czy mąkę ziemniaczaną?

– Ciociu, a ile tego aromatu? Łyżeczka na kilogram twarogu? Czy na kilogram mąki? To razem dwie łyżeczki? Czyli łyżka?

– A rodzynki to ciocia wcześniej namacza? Bo ja sypnęłam tak o, ale nie wiem, może coś dolać, żeby nie były za suche? Soku jakiegoś?

– Ciociu, ale bez spodu to też wyjdzie czy nie wyjdzie?

– Ciociu, bo ja znalazłam taki przepis na ten sernik królewski i tam piszą, że lepszy jest jednak twaróg z wiaderka…

Tego to już nawet święty by nie zniósł, a co dopiero Wanda Popiełowska, której znacznie bliżej było do ziemi – i to nie tylko z racji wzrostu.

– NA LITOŚĆ BOSKĄ!

Echo wezwania sił wyższych na ratunek poniosło się korytarzem w ślad za czmychającą kulawą Tereską. „Tak to się robi!”, mówiła jej mina, kiedy wtarabaniła się z powrotem do kuchni.

Ciotka Wanda wpadła za nią truchtem, fukając świętym oburzeniem na lewo i prawo. Włosy miała ułożone starannie, jak zawsze, a na sobie rutynową podomkę do zadań specjalnych. Jej blada twarz o zapuchniętych oczach nabrała rumieńców od tego świętokradztwa, które tu się odbywało pod jej nieobecność. Niedopuszczalne!

– Twaróg z wiaderka! To trzeba nie mieć ani sumienia, ani wyobraźni! I co jeszcze? Barszcz z kartonu?! Tak sobie wyobrażasz święta?! Co tu się dzieje? – Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Czemu tu się nic nie dzieje? Która to godzina? Ósma! Ósma, a tu wszyscy

siedzą! Jak ja palcem nie kiwnę, to w tym domu nic nie będzie zrobione jak trzeba! NIC! Gdzie jest to dziecko?

– Które?

– No jak to które? To dobre!

Tereska skinęła na drzwi. Sądząc po pisku Pindzi, który naraz eksplodował w okolicach przedsionka i zdawał się zbliżać w ich stronę, wzmiankowane dobre dziecko właśnie nadciągało.

– Ty mi zmielisz ten twaróg? – Ciotka Wanda natychmiast dopadła zaspanego, opiszczanego Maciejki w kalesonach, ledwie wyrósł w progu kuchni. – Ty dobrze mielisz, na krakowski to musi być porządnie zmielone. Krakowski, nie królewski, jeszcze by tego brakowało, żebym królewski piekła.

– No pewnie, że zmielę. Ciocia mówi, ciocia ma. – Maciejka przetarł oczy i uśmiechnął się od ucha do ucha. – O! Cześć, tato!

– A właśnie. Ciociu, ciocia pamięta Andrzeja? Mojego męża?

Andrzej Trawny przełknął ostatni kęs kanapki i uprzejmie ukłonił się starszej pani, której go przedstawiono.

– Dzień dobry. Wesołych świąt. Oraz wyrazy współczucia. Tak.

– Wesołych, tak… – odparła rozkojarzona Wanda Popiełowska, zerkając to na Andrzeja, to na Maciejkę. Nigdy dotąd nie miała okazji widzieć ich obydwu i teraz jej umysł w pośpiechu nadrabiał spostrzeżenia, wyszukując różnice i podobieństwa. Wreszcie zacisnęła usta i skinęła głową. – Cały ojciec, jak tak patrzę. Cały ojciec. Ale to dobrze. Ja nie wiem, co by było z tym dzieckiem, gdyby nie ten ojciec…

– Zmarnowana owulacja, PMS i najwyżej dwa kilogramy zamiast dwunastu na plusie – mruknęła do siebie Tereska, choć jakoś tak inaczej, z cieniem uśmiechu zamiast cienia żalu.

Bądź co bądź to dzięki niej ciotka Wanda wyrwała się z odrętwienia i wzięła z sernikiem za bary. Demony przeszłości demonami przeszłości, ale tu były święta do zrobienia!

ROZDZIAŁ | 24

Przez następne godziny w domu dział się cud za cudem. Upewniwszy się kilkakrotnie, że piec nie podejmuje kolejnych prób autodestrukcji, Marek z Andrzejem wypucowali podłogi. Za sprawą Agniesi wszędzie rozmnożyły się świąteczne wieńce, stroiki i girlandy. Czarowna woń barszczu i kapusty z grzybami sięgała kolejnych pomieszczeń wraz z dźwiękami kolędy. A do tego drugi sernik wyrósł jeszcze piękniej niż pierwszy i prawie w ogóle nie opadł. Nawet ciotka Wanda wyglądała na zadowoloną.

Ale największy cud czekał na rodzinę w głębi jadalni. I wcale nie chodziło o kilometrowy obrus, który Alina wyprasowała co do centymetra, ani o rodowe srebra, które Maciejka z Dużą Olą wypolerowali tak, że bił od nich niemalże nieziemski blask.

Wystrojeni w najlepsze koszule, wyjściowe sukienki i wciąż nierozchodzone buty, noszone tylko na szczególne okazje – lub najmniej oczojebną tunikę do nabycia za trzy dyszki – zebrali się wreszcie w jadalni, a tam czekała na nich, ustawiona pod oknem, choinka. Migotała drobniutkimi białymi światełkami, pośród których wisiały szyszki, kawałki cynamonu i anyżowe gwiazdy, pachnące tak obłędnie, że kiszki same zaczynały człowiekowi wygrywać kolędę na melodię marszową. Tu i tam na gałązkach przycupnęły maleńkie misterne ozdoby z kolorowych wstążek i ozdobnego papieru – a to ptaszki, a to abstrakcyjne wielowymiarowe figury, to znów ażurowe wycinanki, nadające choince wzorów i barw.

– Ona to wszystko sama, widzicie? – Od Henryka biła taka duma, jak gdyby to on sam, własnymi rękami, uczynił tę wspaniałość. Wskazywał to na choinkę, to na Małą Olę i nie ustawał w pochwałach. – Wszystko sama zrobiła, usiadła i zrobiła, z tych różnych resztek, co to je zostawiła Agniesia, tu jakieś wstążeczki, tam jakieś patyczki, gwiazdeczki, papierki, laski cynamonu, no, cynamon to akurat kupiliśmy na mieście, ale poza tym to wszystko z resztek, zdolna bestia z tej Karolinki, powiem wam, bo to trzeba umieć tak wymyślić, taki zmysł mieć, ale to w genach, wszystko w genach, nasz ojciec przecież… przecież… – Zamilknął, bo chyba uświadomił sobie, że to niekoniecznie było takie proste z tymi genami.

– Jakiej znowu Karolinki? – zdziwiła się ciotka Wanda.

Zafrasowany Henryk odchrząknął i skinął dłonią Małej Oli. „No, śmiało!" – mówił jego gest.

– No bo właśnie o to chodzi, że… że właściwie… – zaczęła niepewnie dziewczyna. – Właściwie to ja bym wolała, żeby tak do mnie mówić. Karolina. Jako Olka ciągle czuję jak czyjaś kopia albo odbicie, albo…

– Kopia zapasowa? – dokończył nieoczekiwanie Marek.

– Tak! – przytaknęła gorliwie. – Właśnie tak. I mam trochę dość. Zresztą znajomi od dawna tak do mnie mówią i już się przyzwyczaiłam. I tak się czuję – dodała. – Wiem, że to imię jest dla mamy ważne, ale… chciałabym sama o tym decydować.

– Co za piramidalna bzdura – oświadczył Jan Jakub, zanim Agniesia, jeszcze piękniejsza w swym oszołomieniu, odnalazła język w gębie. – Pi-ra-mi-dal-na! Imię to imię. Imienia się ot tak nie wybiera!

– Żadna bzdura – wcięła mu się z zaskakującą ostrością Duża Ola, uprzedzając Tereskę, która miała już zapytać, czy w przeciwieństwie do imienia głupota to opcja do wyboru, czy jednak klątwa nabyta. – Tylko tak jakby podstawa ludzkiej tożsamości.

– Ach tak?

– ACH TAK.

Tereskę aż dreszcz rozkoszny przeszedł. Ten ton! To spojrzenie! Jeszcze nigdy nie czuła tak wyraźnie jak w tym momencie pokrewieństwa, które łączyło ją z tą zielonowłosą, niezależną dziewczyną. Pokrewieństwa nie tylko genów, lecz także charakterów. Z tą drobną różnicą, że Dużej Oli… znaczy, teraz już po prostu Oli, Olce, przypadła w genach większa dawka opanowania, dzięki czemu nie lała ludzi po pyskach równie ochoczo jak jej ciotka.

– Bo to fajne uczucie – ciągnęła twardo najmłodsza z Popiełowskich – kiedy człowiek wie, kim jest, i może to głośno powiedzieć, bez lęku. A jeszcze fajniejsze, kiedy ten człowiek ma wtedy w kimś oparcie. I może ponosi mnie wyobraźnia, a może nadmiar dobrych doświadczeń sprawia, że się trochę oderwałam od rzeczywistości, ale w moim świecie magicznych jednorożców od tego się ma RODZINĘ. Żeby człowieka wsparła, kiedy człowiekowi tożsamość osuwa się spod nóg. No takie cuda.

– Co ty możesz o tym wiedzieć…

– Wszystko, czego mi potrzeba. Rodzina to nie idealna, doskonała kula. Tu z każdej strony ktoś trochę wystaje, na przekór, mimo woli. Po swojemu. I wie wujek co? I bardzo dobrze.

Przez cały ten czas Marek Popiełowski milczał jak zaklęty, lecz obserwująca go Tereska gotowa była przysiąc, że po tych słowach jedynaczki z jego twarzą coś się stało. Jakby… złagodniała.

– Piękna choinka – oświadczył głośno. – Faktycznie, Karolina ma oko.

– Bardzo piękna – zgodziła się jego małżonka. – Agniesi rośnie konkurencja.

Agniesia spojrzała niepewnie na męża, który bardzo starannie zaciskał szczęki, a potem na matkę. Ciotka Wanda stała nad wazą z barszczem, raz jeszcze z chochlą w dłoniach, i wpatrywała się we wnuczkę. Lecz nie w tę młodszą. W tę starszą. Przeżywała tę chwilę, widać to było po niej jak na dłoni, przeżywała głębiej, niż można by się spodziewać.

– Babciu? – Ola, od tej pory dowolnych już rozmiarów, nachyliła się w jej stronę. – Wszystko w porządku?

– Co?… A tak, tak, dziecko. Chyba tak. Ale czemu akurat Karolina? – zwróciła się do młodszej wnuczki.

– Bo tak mam na drugie.

– Ty faktycznie, masz. No… no dobrze. Dla mnie to bez różnicy, bylebyś ręce myła – orzekła nagle jak gdyby nigdy nic, uznając temat za raz na zawsze zakończony. – To teraz… usiądźmy.

Z hurgotem krzeseł i gwarem komplementów rodzina zaczęła zajmować miejsca przy świątecznym stole. Maciejka włączył Baranka, który walczył ze sprzętem i wskutek chwilowego braku fonii pomachał im tylko bezgłośnie, za to z zaangażowaniem, a potem

zaprezentował talerz gorących pierogów. Co prawda dim sum, nie z kapustą, ale w końcu liczyły się intencje.

Ciotka Wanda ostatni raz omiotła stół spojrzeniem porządnej gospodyni. I naraz jak nie krzyknęła:

– BOŻE ŚWIĘTY! KARPIA NIE MA!!!

– Czego nie ma? – dobiegło z laptopowego głośnika, bo Baranek wreszcie przezwyciężył opór sprzętu.

– KARPIA – odpowiedzieli mu chórem.

– Nie kupiłeś! – Jan Jakub wbił w Marka druzgoczące spojrzenie. – A było mówione, żebyś kupił? Było! Prosiła matka? Prosiła!

– A ktoś… w ogóle je tego karpia? – zapytał Andrzej, bo gdy tak patrzył po twarzach współbiesiadników, nie odnosił wrażenia, żeby komuś brakowało tego konkretnego dania. Poza Janem Jakubem, który najwyraźniej bardzo to przeżywał, i może jeszcze Markiem, który chętnie by teraz wetknął tego karpia szwagrowi tu i ówdzie, razem z ośćmi, głową, ogonem i półmiskiem, w całości lub w częściach. Ale tak poza tym wszyscy po kolei kręcili głowami, Baranek w Kanadzie też. Ani tu, ani od strony Kanady nikt karpia nie jadał. Co ciekawe, z ciotką Wandą włącznie, bo ona też zaprzeczyła. – Czyli nic takiego się nie stało – podsumował wesoło.

– Jak to się nie stało?! Karp zawsze był!

– Zawsze był i nikt go nie jadł – zauważył Marek, sięgając po uszka. – Mama nie narzeka. W końcu nie będzie trzeba wyrzucać.

– Zwierzątka cieszą się życiem, jedzenie się nie marnuje, ślad węglowy zredukowany do zera – wymienił Maciejka. Patrzył w skupieniu wujkowi na ręce, bo wujek nakładał te uszka z półmiska i nakładał, i nakładał. – Moja siostra pochwala.

– Czyli zmiana na lepsze – podsumowała Olka. – Bo wiesz, babciu, takie zmiany też bywają.

Oczywiście jedzenia było tyle, że nikt nawet przez moment nie zatęsknił za karpiem, bo wszyscy napchali się jak bąki. A potem przyszła kolej na prezenty. Ku wielkiemu zaskoczeniu Tereski pod choinką znalazło się też coś dla niespodziewanych Trawnych.

– A ładnych nie było? – Wanda nie wyglądała na zachwyconą wzorem koszuli, którą Alina sprezentowała Markowi.

– Ta jest bardzo ładna – orzekł Marek. – Właśnie o takiej marzyłem.

– W ryby? A gdzie ty to będziesz nosił?

– Gdzie tylko będę chciał.

– O. ŁAŁ. Lata osiemdziesiąte wjechały na pełnej – podsumowała Ola, podziwiając sweter, który Tereska dostała od ciotki Wandy. Był obszerny i pstrokaty aż do bólu zębów. – I to dosłownie osiemdziesiąte.

– Taki trochę większy – pospieszyła Wanda z wyjaśnieniami – ale ty pewnie dorośniesz.

Żeby obdarować bratanicę tym cudem, ciotka Wanda musiała sięgnąć głęboko do żelaznych zapasów, które kryły się gdzieś w tym domu. Tereska poczuła, jak coś ją ściska w dołku. Musnęła czułym spojrzeniem kilogramową paczkę kasztanków, którą równie nieoczekiwanie dostała od ojca. „Bo ty podobno bardzo lubisz…”, przebąknął jakby na swoje usprawiedliwienie.

– A żeby ciocia wiedziała, że dorosnę! Do takiego swetra?

– Podoba ci się? – Wanda nie wierzyła własnym uszom.

– Ciociu, jest BOSKI.

– No patrz, gdybym wcześniej wiedziała… Tyle lat w szafce leżał, u nas nikt rzeczy w takim guście nie nosił…

– Wcześniej by się zmarnował – orzekła Tereska, rozkoszując się miękkością hektarów kolorowej wełny. Rany boskie, ile to pomieści kasztanków… – A teraz to ja mam warunki!

– Kalesony?! – zakrzyknął tymczasem Maciejka po drugiej stronie stołu, rozpakowawszy swój prezent od ciotki: pięć par ciepłych kalesonów w różnych odcieniach szarości, od grafitu po popielaty.

– Wiesz, nie musisz ich nosić, jeśli nie chcesz – zapewnił go czym prędzej Andrzej Trawny. Upewnił się, że ciotka Wanda przypadkiem im się nie przysłuchuje. – Tylko… podziękuj, żeby nie robić przykrości.

– No weź, tato! Ty wiesz, jaki to jest komfort termiczny? W końcu mi tyłek nie marznie! Ja nie mam takich warunków jak matka, czasem brakuje mi izolacji.

– Mówisz?… – Andrzej nie był do końca przekonany. A jeszcze bardziej zwątpił, gdy zajrzał do swojej paczki. Jemu trafiły się kalesony w stonowanym granacie typu melanż.

– Ja chętnie przygarnę – zaofiarował się natychmiast Maciejka. – Wiesz. Jak nie chcesz, to nie musisz. Tylko podziękuj!

Po rozpakowaniu prezentów przyszła pora na sernik, makowiec i zaciekłe dyskusje. Marek z Henrykiem sprzeczali się o arcydzieła kinematografii polskiej, próbując ustalić, czy w pierwszy dzień świąt należy oglądać obowiązkowy *Potop*, czy obowiązkowego *Znachora*. Dołączył do nich Baranek z internetu, wskutek czego głośnik laptopa to jęczał: JĘDRUŚ! RAN TWOICH NIEGODNAM CAŁOWAĆ, to znów oznajmiał uroczyście, że TO JEST PROFESOR RAFAŁ WILCZUR. Sytuację skomplikowały Bogna z Krystyną, oznajmiając, że święta bez *Przeminęło z wiatrem* to nie święta, w związku z czym panowie mogą sobie z Jędrusiem i całą resztą iść na piwo, gdyż one zamierzają śledzić wzloty, upadki oraz suknie Scarlett O'Hary. Z kolei Alina szła w zaparte, że prawdziwie świątecznym filmem jest *Szklana pułapka*, bo nic tak nie czci narodzin Jaśnie Dzieciątka jak krwawa jatka w szeregach niemieckich terrorystów. Tereska próbowała zaintonować kolędę, ale zacięła się przy słowach „w grobie leży" i nie potrafiła dojść, co jej tu nie gra. Zaczęła więc przysłuchiwać się z lubością, jak jej nieskończenie cierpliwy małżonek tłumaczy zniesmaczonemu Janowi Jakubowi, że owszem, kot rasy brytyjskiej i cocker spaniel z pewnością świetnie pasują do eleganckiego wystroju w typie nowoczesnym, za to pon najlepiej komponuje się z piaskiem w fugach i sierścią na kanapie. Cóż, widać Trawni i Kubasiukowie preferowali całkowicie odmienną stylistykę wnętrz.

Najmłodsze pokolenie nic z tego nie rozumiało i wolało się nie wtrącać.

Olka z Karoliną zgarnęły fanty i czmychnęły z jadalni na górę, pogadać sobie od serca. Maciejka obiecał, że później do nich dołączy, chciał tylko najpierw zajrzeć do Pindzi. Była już panią w wieku statecznym i większość doby zwykle spędzała na spaniu, z przelotnymi przerwami na spacerek, a co dopiero po tak emocjonującej podróży w towarzystwie trójki dzieci i paczki żelków. Ludzie mogli sobie świętować do woli – ona miała zaległą drzemkę do nadrobienia.

Maciejka przykucnął przy fotelu babuni Sławy, w którym Pindzia wylegiwała się przez całe popołudnie, z dala od wszystkich i wszystkiego, i głaszcząc psicę po kudłatym boczku, zaczął bezwiednie błądzić wzrokiem po saloniku. W ciemniejszym kącie, między kredensem a ścianą, wypatrzył naraz dwie fotografie. Choć z dwóch różnych światów, zawieszone jedna pod drugą sprawiały wrażenie lustrzanych odbić. Tylko… dlaczego? Maciejka podszedł bliżej, marszcząc brwi.

– O rany! – szepnął, gdy na zdjęciu u góry rozpoznał swoją matkę na tle jakiegoś sadu. Tereska, jeszcze nie Trawna, tylko Jędrzejczyk, musiała mieć wtedy mniej więcej tyle lat, ile on teraz. Opierała się plecami o drzewo i patrzyła w obiektyw z mieszaniną pogardy i znudzenia. Czemu Maciejka nie dziwił się wcale a wcale, bo sam też nie znosił pozować do zdjęć, co dorośli przy różnych okazjach uparcie ignorowali. Tuż obok, o ten sam pobielony pień, tyle że bokiem, opierał się poważny dryblas. To był na pewno wujek Marek – Maciejka wszędzie rozpoznałby to ponure spojrzenie. Tylko stojąca w pewnym oddaleniu od tych dwojga drobna blondyneczka w krótkich dżinsowych ogrodniczkach uśmiechała się szeroko do obiektywu. Jak nic Agniesia, w tamtym czasie mniej więcej dziesięcioletnia, zachwycona uwagą i wciąż niezblazowana nastoletnimi fumami i pogardą dla świata dorosłych, którzy niczego nie rozumieją, za to czepiają się o wszystko.

Na zdjęciu poniżej Maciejka nie rozpoznał nikogo, co jednak nie zdziwiło go jakoś szczególnie, jako że było stare, dziwnie szarawo-żółtawe… To się chyba nazywało sepia, przypomniał sobie. Przedstawiało mężczyznę w towarzystwie dwóch kobiet. Chyba oderwali się na moment od pracy w ogrodzie. Mężczyzna wspierał się na długiej motyce, rękawy białej koszuli miał podwinięte, szelki opuszczone. Młodsza kobieta trzymała wiklinowy kosz i patrzyła w obiektyw wielkimi jasnymi oczami, uśmiechając się nieśmiało. Starsza – w chustce na głowie – zachowywała niemal uroczystą powagę. Pozowali we troje na tle wiotkich, jeszcze młodych drzewek.

Maciejka podrapał się po żuchwie. Z jakiegoś powodu te dwa zdjęcia w pierwszej chwili wydały mu się bliźniacze, ale teraz naprawdę nie potrafił zrozumieć dlaczego. Wyciągnął z kieszeni telefon i szybko uwiecznił fotografię, a potem obejrzał się na matkę, która przykuśtykała tu, żeby sprawdzić, czy z Pindzią wszystko w porządku.

– Mamo, wiesz, kto jest na tych zdjęciach?

– No jak? Nie poznajesz? – Tereska podeszła bliżej. Uśmiechnęła się czule do śpiącej psicy i dopiero potem skupiła na fotografii, którą wskazywał jej syn. – To ja, to Marek, a to Agniesia. Wnuki w komplecie, no proszę. Patrz, śpię tu od kilku nocy, a nie zauważyłam tego zdjęcia.

– Pamiętasz, gdzie je zrobiono?

– Oczywiście. W sadzie dziadunia, tutaj za domem. To były czasy. Nie to, co teraz…

– Bez przesady, mamo, młodzież w dzisiejszych czasach też potrafi stanąć pod drzewem.

– A chcesz w dziób?

– To potem. A to kto? – postukał palcem w szybkę, za którą tkwiło drugie, starsze zdjęcie.

– Pojęcia nie mam. Musiałbyś zapytać ciotkę Wandę, na pewno będzie wiedziała.

– Tak? Dlaczego?

– No przecież to na bank ktoś z rodziny.

– Dopiero co powiedziałaś, że nie masz pojęcia, co to za ludzie – zauważył Maciejka.

– No bo nie mam – odparła Tereska stanowczo. – Za to miejsce poznaję bez pudła. Przyjrzyj się dobrze. Przecież stoją dokładnie w tym samym sadzie, co my z Markiem na tamtym zdjęciu.

Rzeczywiście. Drzewa zdążyły urosnąć, część wycięto, część dosadzono po latach, ale zgadzało się ukształtowanie terenu i przede wszystkim spory głaz za plecami Agniesi. Maciejka zdjął starszą fotografię ze ściany i wrócił z nią do jadalni.

– Ciociu, poznaje ciocia tych ludzi? – zapytał, podsuwając zdjęcie ciotce Wandzie.

– A po co ty to wziąłeś? Tego się nie rusza.

– Obiecuję, że zaraz odwieszę, ale czy ciocia poznaje?

Ciotka Wanda odłożyła widelczyk i wzięła od niego ramkę ze zdjęciem.

– No to przecież moja mama stoi, świeć panie nad jej duszą. Ta z koszykiem. Młodziutka taka, jaka młodziutka, mniej więcej taka jak wy teraz… – Pogładziła czule fotografię za szkłem, wzdychając ciężko. – To pewnie jeszcze za wojny było robione albo jakoś tak zaraz po. Mama przyjechała do Czarnego Boru z Mazowsza, na roboty u bauera, ale zawsze mówiła, że jej się tu żadna krzywda nie działa, wprost przeciwnie, że trafiła na dobrych ludzi. Wracać też nie miała do czego, bo ani rodziców, ani rodzeństwa, sama była jak palec. I jak przyjechała, tak została, no bo tu w końcu też Polska przyszła, więc czemu nie? No. – Spojrzała ponownie na zdjęcie i postukała palcem w postać starszej kobiety w chustce na głowie. – A to Oma.

– Ta od maszynki? – Maciejka błyskawicznie skojarzył.

– No ta, ta właśnie. – Wanda podniosła wzrok znad fotografii i spojrzała ciepło na chłopaka. – Głodny nie jesteś?…

– Zaczynam.

– Wytrzymasz – orzekła brutalnie Tereska, kuśtykając do swojego miejsca. – Kim była Oma?

– No jak to kim? Oma to była… Oma.

– Ale JAKA Oma? Oma Kowalska, Nowak? Oma Brzęczyszczykiewicz?

– „Oma" to chyba znaczy po niemiecku babcia – skojarzyła Krystyna. Uniosła się na chwilę, żeby przyjrzeć się czarno-białej kobiecie w chustce. – Ale to przecież nie jest prababcia Jędrzejczykowa. Co prawda prababcię Jędrzejczykową znam tylko ze zdjęć, ale rozpoznałabym ją nawet po omacku.

– Po czym? – zaciekawił się Maciejka.

– Po wąsie. Ten bujny rodzinny włos nie wziął się znikąd.

– A bo ja wiem, jaka Oma… – wymamrotała Wanda, przypatrując się fotografii. – Nie pamiętam. Wszyscy mówili o niej Oma i już. Mieszkała tu z nami, kiedy byłam mała. Pomagała mamie, trochę ojcu… aż umarła. Został po niej tylko ten fotel, ten, co od lat stoi w pokoju mamy. Mama była do Omy bardzo przywiązana. Pewnie dlatego, że sama też nie miała już nikogo na świecie.

– Czyli co, to była jakaś służąca? – drążyła Tereska. – Gospodyni?

– Nie… nie wiem. Chyba nie. Jakoś tak… nie no, gdzie! – Wanda zreflektowała się nagle. – Przecież służącej by nie chowali w rodzinnym grobowcu!

– Naszym?!

– Gdzie naszym, jej! Duży taki, do dziś pamiętam, bo mnie przecież rodzice na pogrzeb zabrali, żebym się pożegnała jak należy. Porządny był, murowany, nie jakaś tam byle mogiłka.

– Tu, na naszym cmentarzu? – dopytywał Marek. – W Czarnym Borze?

– A bo ja pamiętam? No na takim z grobami…

– A ten facet to kto? – drążył Maciejka.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Ciotka Wanda wzruszyła ramionami. – Wy to już nie macie mnie o co wypytywać.

– Może zdjęcie jest z tyłu podpisane? – zasugerowała Alina, coraz bardziej zaciekawiona. – Dałoby się to sprawdzić?

Marek wyciągnął do matki rękę.

– Tyle że to jest zabite na sztywno – orzekł, przyjrzawszy się ramce ze wszystkich stron. – Nie wyjmę zdjęcia bez rozwalenia całej ramki… A tu już jest solidne pęknięcie, o tutaj, jak gdyby ktoś próbował się dostać do tego zdjęcia.

Ku ogólnemu rozczarowaniu ciotka zaprotestowała przeciwko niszczeniu rodzinnych pamiątek, w czym jak zawsze poparł ją Jan Jakub. Siostra i dzieci próbowali ją przekonać, obiecując, że zaraz po świętach kupią nową, jeszcze piękniejszą ramkę. Tymczasem Maciejka wyciągnął z kieszeni telefon. Odszukał w galerii zdjęcie, które zrobił fotografii, i odpalił przeglądarkę. Nie spodziewał się cudów, ot, po prostu przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić pewną opcję. Bądź co bądź w internecie można wyszukać wszystko, czemu więc nie starszą panią sprzed dziesięcioleci? Dla jego pokolenia była to oczywista oczywistość, dlatego to nie fakt, że naprawdę ją tam znalazł, zaskoczył Maciejkę najbardziej. Nie. Największą niespodzianką okazało się coś zupełnie innego.

– Johanna Löch – rzucił głośno w przestrzeń. – Ta kobieta nazywała się Johanna Löch, a ten mężczyzna z motyką to jej syn. Miał na imię Uwe.

ROZDZIAŁ | 25

Domniemany ojciec ciotki Wandy, mężczyzna, którego nie potrafili znaleźć, choć mieli go pod samym nosem, uśmiechał się do nich łagodnie ze zdjęcia. Średniego wzrostu, choć dość mocnej budowy, nie był może ideałem męskiej urody, ale sprawiał wrażenie człowieka pogodnego.

– Ty patrz – mruknęła Tereska. – Mnie to zawsze zastanawiało, jakim cudem ciotka Wanda jest taka malutka, a ojciec z Krystyną tacy wysocy. Agniesia też taka bardziej kieszonkowa. No to już chyba wszystko jasne.

– Jestem wyższy od ciebie – wytknął jej Marek.

– Bo ty się widać wdałeś w Pułkownika. A Agniesia wdała się w waszą matkę. Z całym tego… błogosławieństwem.

– Czyli… przyjmujemy to za fakt? – upewniła się Krystyna. – Uwe Löch był ojcem Wandy?

– Na to by wyglądało.

– Ale… JAK?!

– Na mnie nie patrzcie – zastrzegła od razu Tereska. – Nie ma takiej dawki kasztanków, żebym to rozgryzła.

– Ten cały Uwe Löch był inżynierem, prawda? – zaczął Maciejka. Zagadka go intrygowała, ale bez tego ogromu emocji, jakie budziła w przedstawicielach starszych pokoleń. – Wiemy to z aktu urodzenia, tego z boazerii. Więc obstawiam, że musiał tu zostać po wojnie i razem z innymi fachowcami odbudowywać kraj, zanim kazali im na dobre spadać do Niemiec.

– A ty skąd to wiesz? – zdumiała się jego matka.

– No przecież dziadek mówił. Dziadek mówi dużo ciekawych rzeczy, tylko ty go nigdy nie słuchasz.

– Żmijo wyrodna…

– Oj, mamo. – Chłopak uniósł brew na znak, że bujać to on, ale z pewnością nie jego. – Masz wiele zalet i ogółem dajesz radę jako matka, ale milczeć to ty nigdy nie umiałaś. A trochę trudno słuchać, jak się nie milczy.

Tereska uniosła brew, kiedy jej małżonek zachichotał, nawet niespecjalnie się z tym kryjąc.

– Ciebie to bawi?

– Troszeczkę – przyznał Andrzej.

– Mnie bawi bardziej. – Jan Jakub nie mógł sobie darować takiej okazji do wbicia szpili.

– I teraz tak – kontynuował Maciejka po tej małej dygresji. – Ciocia Wanda sama powiedziała przed chwilą, że pod koniec wojny babunia przyjechała do Czarnego Boru na

roboty. Po wojnie postanowiła zostać, bo było jej tu dobrze, prawda? Poznali się, ona i ten cały Uwe, zakochali, wreszcie wdali w mały romansik na tle sadu czy coś tam. Aż…

– Aż Uwego wysiedlili do Niemiec – dokończył Marek. – Widać już dość się nabudował tego dobrobytu.

– Nie byli małżeństwem, więc Uwe nie mógł zabrać babuni ze sobą – zauważyła Krystyna. – Może nawet nie wiedział, że babunia jest z nim w ciąży.

– Albo wiedział i zakładał, że niedługo wróci lub ściągnie ją z dzieckiem do siebie.

– Albo wiedział i ją zwyczajnie porzucił… – dodała cicho Alina. – Co by tłumaczyło, dlatego tak szybko wyszła za mąż, kiedy na horyzoncie zjawił się inny mężczyzna.

– Alfred Jędrzejczyk we własnej osobie. – Tereska zastanowiła się prędko, co właściwie o nim wie. – Polak, przedsiębiorczy i praktyczny, a do tego nie miał nic przeciwko ożenkowi z panną z całym dobrodziejstwem inwentarza, czyli niemowlęciem, staruszką i poniemieckim domem. Całkiem niezłe zadośćuczynienie.

– I nikt tego nie rozparcelował? – Alina z niedowierzaniem uniosła brew.

– Ojciec miał różne znajomości jeszcze z czasów wojny – wytłumaczył Henryk zaskakująco zwięźle. – Pewnie nikt nigdy nawet nie grzebał w papierach…

– Zwłaszcza że po jego śmierci wprowadził się tu zięć, aspirujący oficer ludowego Wojska Polskiego – dodał Marek, rzucając okiem na jedno ze zdjęć Pułkownika.

– Sił Zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – poprawił Henryk odruchowo. – Tak. Wtedy tym bardziej nikt się nie przymierzał do żadnych parcelacji, wywłaszczeń czy dokwaterowań.

– Jak ty to w ogóle znalazłeś? – Krystyna spojrzała na Maciejkę z zaintrygowaniem, ale też odrobiną niedowierzania. – To zdjęcie i całą resztę?

– Normalnie. Istnieje coś takiego jak wyszukiwanie obrazem. Wrzuciłem zdjęcie tego zdjęcia do internetu i mi wyskoczyło z podpisem: „Johanna Löch z synem Uwem oraz Przybysławą Wolniak (w środku)". Najwyraźniej ktoś je zamieścił na jakiejś stronie.

– Kto?

– Zaraz sprawdzimy. Tylko… chwileczkę. Wujku, ja wujka na chwilę wyłączę, dobrze? – zwrócił się do Baranka za pośrednictwem kamery, po czym zabrał laptopa z parapetu, postawił go przed sobą i szybko przeklepał lokalizację zdjęcia z komórki do przeglądarki w komputerze. Mijała minuta za minutą, a cała rodzina w napięciu czekała, aż Maciejka coś im powie. No to powiedział, choć zaczął niekonwencjonalnie. – O ja cię smolę…

– CO?

– Ta strona jest genialna! – zakrzyknął. – Nie że w sensie, że jakieś techniczne fajerwerki, bo stoi na Wordpressie, który jest ogółem bardzo fajny i przyjemny w obsłudze, ale umówmy się…

– SYNU – zaapelowała Tereska krótko, acz nieco rozpaczliwie. Bardzo starała się nie zauważać, że Bogna jest bliska czkawki, tak bardzo przełykała teraz radosny rechot.

– No co poradzisz. – Przez usta Krystyny przemknął złośliwy uśmieszek. – Genów nie oszukasz.

– Możesz mnie nie dobijać?…

– Chodzi o zawartość. – Maciejka dobrnął wreszcie do sedna. – Więc tak. Jakiś lokalny pasjonat spisuje tu sobie historię Czarnego Boru i jego mieszkańców od czasów przedwojennych. Polszczyzna trochę taka niedzisiejsza, formatowanie kuleje, ale ten ktoś…

czy ta ktosia wrzuca pełno różnych ciekawostek, zdjęć, relacji… – Przez chwilę pstrykał i pstrykał, przeglądając kolejne zakładki i podstrony. – No i proszę bardzo. Jest i babunia Sława.

Krystyna przechyliła się, żeby widzieć ekran, i sama zaczęła czytać:

– „Przybysławę Jędrzejczyk, z domu Wolniak, wojenna zawierucha rzuciła do ówczesnego Schwarzenwaldau w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, kiedy to jako młoda dziewczyna trafiła do gospodarstwa miejscowego bauera, Tronte Löcha".

– Kto to prowadzi? – dopytywała Alina. – Tę stronę? Może będzie wiedział coś więcej?

– Na górze masz zakładkę „kontakt" – podpowiedziała Krystyna.

– Ja?! – Z głośnika odezwał się nieoczekiwany Baranek.

– Nie ty, Maciejka.

– Tak, widzę, widzę… Kilka słów o autorze… ale nie, żadnego nazwiska. Tylko odnośnik do Facebooka i… – Maciejka urwał i tak wybałuszył oczy, że mało mu na klawiaturę nie spadły. – Słuchajcie tego. „Osoby uprzejme podzielić się historią własną bądź swojej rodziny proszone są o kontakt na adres e-mailowy: te ka popiel cztery siedem małpa…". No? – rzucił do dorosłych, wyraźnie oczekując jakiejś konkretnej reakcji z ich strony, niestety, na próżno. – Nic wam nie dzwoni? Te ka popiel. Te jak Tadeusz, ka jak Konstanty, popiel jak…

– POPIEŁOWSKI!!!

Wystarczyło krótkie śledztwo w internecie, żeby teoria Maciejki została potwierdzona – na stronie lokalnej gazety natknęli się na kilka wywiadów z różnych lat, w których Tadeusz Konstanty Popiełowski opowiadał o swojej pasji, oraz zawiadomienie sprzed zaledwie dwóch dni o śmierci tego „szanowanego notariusza, czynnego członka wielu kół i stowarzyszeń, zasłużonego dla badań nad dziedzictwem historycznym ziemi wałbrzyskiej".

– To chyba już wiemy, jak to mniej więcej wyglądało – podsumowała Tereska. – Chyba. Notariusz Popiełowski i babunia poznali się przy okazji tego zrzeczenia, zgadali. Po latach Popiełowski ruszył z pasją i blogiem i pewnie przypomniał sobie o dawnej klientce z tych okolic. Adresu nie zmieniła, więc nie było trudno ją znaleźć. Bywał u niej, spisał relację, zrobił kopię tego zdjęcia.

– Stąd wiedział, jak się poruszać po domu – dodał Marek.

– Sprawdźmy zatem i to… – Maciejka kliknął z powrotem na stronę notariusza i zaczął czytać. – Okej, więc tak. Streszczam. Tu jest przede wszystkim historia babuni, ale też sporo o samych Löchach. Johanna i Tronte prowadzili niewielkie gospodarstwo, mieli jednego syna. Uwe przed wojną studiował w Breslau, był inżynierem, budował mosty. W wojsku też inżynierował, potem walczył na froncie, potem trafił do obozu jenieckiego. Do Czarnego Boru wrócił dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, kiedy zmarł jego ojciec i matka została sama na gospodarce.

– Czyli to wtedy się poznali.

– W lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku został przymusowo wysiedlony do Niemiec – kontynuował Maciejka – ale jego matka została tutaj i… i zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. I rzeczywiście, została pochowana na miejscowym cmentarzu. Dom, w podzięce za wieloletnią opiekę, zapisała Przybysławie i jej mężowi, Alfredowi Jędrzejczykowi.

– To możliwe? – zwróciła się do ojca Tereska. – Jak tu się w ogóle ostała? I to jeszcze z majątkiem?

Henrykowi aż głos uwiązł w gardle. Jego córka chciała, żeby coś opowiedział. ON! Widać to prawda, co mówią ludzie: święta to naprawdę czas cudów! Szybko przywołał z odmętów pamięci odpowiednie ustępy. Nie mógł zawieść Tereski.

– Niemców wysiedlano w strasznym chaosie – zaczął. – Bywało i tak, że ktoś dostał nakaz wyjazdu, a potem go zawracano na samej granicy, a tu już nie było do czego wracać, bo wszystko rozdane, rozkradzione. A tym, co musieli zostać, też nie było łatwo. Ani stąd wyjechać, ani tu żyć, w ciasnocie, rozdzieleni z krewnymi i przyjaciółmi, ciągle ich spotykały szykany i rabunki czy też, jak to się oficjalnie mówiło, rekwizycja mienia w sposób sprzeczny z obowiązującym prawem. Ale potem, tak po tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, pięćdziesiątym pierwszym roku zmieniła się polityka władz wobec mniejszości niemieckiej. Niemcy mogli się ubiegać o polskie obywatelstwo, więc z małą pomocą kogoś z koneksjami, kogoś takiego jak ojciec, ale koneksje to jedno, a drugie, widzicie, otóż ojciec miał zdolności plastyczne, tyle że wykorzystywał je dość nietypowo, bo on nie tylko się parał snycerką, skądże znowu, mianowicie w czasie wojny fałszował dokumenty takim różnym z podziemia, a że po wojnie ci różni pozajmowali stanowiska…

– Czyli miał i sposobność, i możliwość – podsumował rzeczowo Jan Jakub. – Ale wciąż nigdzie nie widzę motywu.

– Chodziło o dom – powiedziała cicho ciotka Wanda. – O ten dom. Tak myślę. Póki żyła Oma… no i tak. No i tak.

Andrzej Trawny siedział na swoim krześle i myślał. Rodzinna historia w takiej dawce była nieco przytłaczająca, lecz on nie na darmo był mężem swojej żony i nie w takim chaosie potrafił się odnaleźć. Od tego zależały w końcu jego zmysły, przetrwanie oraz, co tu kryć, regularne rozkosze natury cielesnej.

– Mam takie pytanie – odezwał się w końcu. – Czy ktoś mi wytłumaczy, po co ojciec mojego teścia miałby fałszować akt urodzenia swojej córki? Nie mógł jej po prostu przysposobić?

Jan Jakub prychnął.

– I co, panie inżynierze, z tego przysposobienia doszłoby do cudownego rozmnożenia dokumentów?

– No… tak. O ile się orientuję, w przypadku adopcji wystawia się nowy akt urodzenia, już z danymi nowych rodziców. Więc tak. To można łatwo sprawdzić. Wystarczy wystąpić o odpis zupełny, nie skrócony, tam powinna być wzmianka o przysposobieniu. – Rozejrzał się po zebranych. – Naprawdę nikomu z was nie przyszło do głowy najprostsze wyjaśnienie? Od razu poszliście w rozbudowane opcje spiskowe?

– Jakoś… no jakoś tak wyszło – przyznała jego żona z zakłopotaniem.

– Mysza, nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale chyba spędzasz za dużo czasu z moją matką.

– Coś w tym jest – zgodziła się Tereska bez najmniejszego wahania. Rzeczywiście, przed zawarciem bliższej komitywy z Mirą czuła się jakaś taka… normalniejsza.

– Można to sprawdzić po świętach, pewnie, ale… nie wydaje mi się, żeby to była prawda – przyznała z ociąganiem Krystyna. – Z tym całym przysposobieniem. Gdyby

rzeczywiście doszło do przysposobienia, wtedy obydwa akty urodzenia Wandy różniłyby się tylko danymi ojca. A różnią się również miesiącem urodzenia.

– Może dziadunio chciał ukryć fakt, że Wanda urodziła się przed jego ślubem z babunią? – podsunął Andrzej. – I że jej prawdziwym ojcem był Niemiec? Podejrzewam, że w latach pięćdziesiątych mogłaby mieć z tego tytułu różne nieprzyjemności. Nawet już jako dziecko.

– Kto wie? Może i tak było? – Tereska pokiwała głową. – Ale po co w takim razie dziadunio zachował oryginalny akt? Dlaczego po prostu go nie zniszczył?

– A może to wcale nie dziadunio go zachował? – wtrącił Maciejka. – Tylko babunia? Przecież… przecież ten akt i zdjęcie to jedyne pamiątki, jakie jej zostały po ukochanym. Jedyny ślad, że był realną częścią ich życia. Babuni i ciotki.

– Po czym ojcu na starość odbiło i postanowił go wykorzystać do swoich celów… – dokończyła ponuro Krystyna.

Henryk Jędrzejczyk odwrócił się w stronę starszej siostry i delikatnie ujął jej dłoń.

– Wiem, że teraz w to trudniej uwierzyć, ale byłaś jego oczkiem w głowie, Wandeczko – zapewnił cicho. – Zawsze byłaś. Ja to doskonale pamiętam. Cały ojciec.

– Ach tak? – wdarł się między nich oschły głos Jana Jakuba. – W testamencie jakoś tego nie widać.

– Bo koniec końców każdy grabi do siebie… – rzekła cicho Bogna.

– No dobrze, ale co? To tyle? – Alina wpatrywała się wyczekująco w Maciejkę. – Nic o tym, czemu Uwe nie wrócił po babunię i dziecko?

– Może się ożenił i doczekał ślubnych dzieci? – dywagowała Bogna. – Może pani Wanda ma w Niemczech jakieś przyrodnie rodzeństwo?

– Oraz spadek po biologicznym ojcu.

– Nie wydaje mi się – powiedział zapatrzony w ekran Maciejka głosem tak cichym i ciężkim, że wszyscy z miejsca wyczuli, że coś się święci.

Ciotka Wanda szybko otarła oczy papierową serwetką w świąteczny wzór i wzięła głęboki wdech.

– Mów, dziecko. Mów. Już tyle zniosłam, że zniosę i to.

Maciejka skinął głową.

– Według tej relacji Johanna Löch pod koniec lata otrzymała telegram z Niemiec. Jej syn Uwe zginął w wypadku na budowie piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

Wanda Popiełowska wciągnęła głęboko powietrze, aż od tej ulgi oddech zadrżał jej w piersi. Czyli nie porzucił ich. Nie zapomniał, nie zostawił. Nie dożył narodzin córki. Tak… po prostu. Jej ojciec. Jej drugi ojciec – chociaż pierwszy… Nie puszczając dłoni brata, wyciągnęła drugą rękę do młodszej siostry.

– Patrz, Krysiu – powiedziała cicho, jakby do siebie. – Patrz, jak to historia lubi się powtarzać…

Krystyna nic nie odparła, tylko zwiesiła prędko głowę, żeby ukryć łzy.

– Ludzie to jednak są nieodpowiedzialni! – skomentował Jan Jakub równie cierpko, co bezsensownie. – Nieodpowiedzialni!

– W sumie to trochę zabawne – odezwał się Maciejka nagle lżejszym tonem. – Że też wujek nie skojarzył.

– Kto? Ja? Niby kogo nie skojarzyłem?

– O czym ty mówisz? – zaniepokoiła się Tereska.

– Kliknąłem sobie ten odnośnik do fejsa. Nieboszczyk prowadził też taki niemrawy fanpejdż, co nie? Tak sobie zajrzałem do komentarzy i lajków pod tym zdjęciem i tu się udzielał taki gość. Dopytywał o lokalizację. Jan Jot Kubasiuk – odczytał, po czym podniósł głowę i wbił anielsko niewinne spojrzenie w Jana Jakuba. – Przecież to wujek, co nie? Wujek korespondował z Popiełowskim.

ROZDZIAŁ | 26

Przez cały ten czas, kiedy rozmawiali przy zapomnianym nieco wigilijnym stole, Tereska Trawna siedziała w głębi jadalni, z jednej strony mając miejsce po Maciejce, z drugiej zaś Andrzeja.

Od drzwi dzieliła ją zatem odległość, jedno puste krzesło, troje Jędrzejczyków oraz skręcona kostka spowita na sztywno elastycznym bandażem.

Ale to ona pierwsza rzuciła się za Janem Jakubem.

– TY SKURCZYSYNU!!!

To mamy dom, tak?! O, gad jeden, padalec, menda przebrzydła, w mordę plamkowana, cętkowana, kręta! Już ona mu pokaże mamy dom!!! Ścigała go niczym dzika furia, niczym erynia księgowości polskiej, niczym duch świąt tak przeszłych, że domagających się ofiary z czegoś więcej niż mak czy miód. Marek z Andrzejem za wszelką cenę próbowali ją wyminąć, lecz galopująca Tereska z nadprogramową liczbą odnóży zajmowała całą szerokość korytarza i ani myślała puścić kogokolwiek przodem.

O nie. Zamierzała własnoręcznie zatłuc tego gada.

Gad jednakże przewyższał ją sprawnością kończyn dolnych, i to znacznie. Błyskawicznie pokonał meandry korytarzy, schodków i zakrętów i dotarł do przedsionka. Ale tam nieoczekiwanie natknął się na przeszkodę nie do pokonania.

Pindzia może i miała już swoje lata, może i odczuwała pewną sztywność tu i tam, ale doskonale znała swoją powinność. Wyczłapała z saloniku zaspana, niuchnęła i poznała. Zapach człowieka, który majstrował przy niebezpiecznym piecu – człowieka, który tym piecem dybał na jej panią, pańcię ukochaną, mięciutką, cieplutką. Z zajadłym jazgotem ruszyła do boju, odcinając Janowi Jakubowi drogę do frontowych drzwi. Gdy Tereska wparowała do przedsionka, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Jan Jakub, nieoczekiwanie ścigany przez piekło wcielone w dostojnego pona, rzucił się ku pierwszym lepszym schodom.

Nie, nie pierwszym lepszym. Tym prowadzącym na ćwierćpiętro.

– Okno! – wrzasnęła do kuzyna, który skorzystał z otwartej przestrzeni i wyminął ją dynamicznym ślizgiem. – Próbuje uciec przez okno!

– Tato?… – usłyszeli z góry wystraszony głos Karoliny.

Marek natychmiast poleciał za szwagrem, Andrzej za Markiem, a Tereska opanowała niesforne kule i dopadła frontowych drzwi.

Znalazła się na podwórku w samą porę, by ujrzeć w żółtawym blasku ulicznych latarni, jak Jan Jakub próbuje stanąć na oblodzonym parapecie, wpada w poślizg – a potem leci.

W dół.

Prosto w gęstwinę rozłożystej jodły.

Rodzina, która dopiero co dzieliła się makowcem i wspomnieniami przy świątecznym stole, teraz wyległa na zaśnieżone podwórko. Jedno przez drugie wydawali z siebie krzyki, wezwania i apele o odstąpienie od przemocy bądź wprost przeciwnie.

– Co wy WYPRAWIACIE?! – spazmowała Agniesia, samodzielnie czyniąc co najmniej połowę rwetesu, który niósł się po cichej, spokojnej okolicy. – Mój mąż nie zrobił NIC złego!!!

– Ach tak? – warknęła Tereska. – To dlaczego przede mną spierdzielał?

– BO TY JESTEŚ AGRESYWNA!!!

– Inaczej. – Krystyna złapała siostrzenicę mocno za ramiona. – Wiemy, dlaczego Jan Jakub uciekał, to dość jasne. Ale czemu Teresa zaczęła go gonić?

– Bo to on robił za bobra!!! – palnęła Tereska. – TO ON. On łaził nocami po domu! On podpiłował deski w wykuszu i dynksy pod zegarem! I coś… – dodała w przypływie natchnienia – coś mi mówi, że to też on rozkręcił ogrzewanie i zwabił mnie do pieca.

– To potwarz! Potwarz!!! – odpowiedziała jodła.

– A NIE?! Prawie zamordowałeś mi ojca!!!

– Ja nikogo nie mordowałem! – szła w zaparte jodła. – Ja tylko próbowałem przekonać mamę do sprzedaży tej przeklętej rudery!!!

Agniesia naraz przerwała spazmy i zamrugała, zbierając myśli.

– Ale jak do SPRZEDAŻY? Mówiłeś, że do remontu.

– NIC IM NIE MÓW! NIC IM NIE MÓW!

– Tak mówił?… – podjęła Krystyna słodko, spokojnie, skupiając całą uwagę na siostrzenicy.

– No… no tak. – Agniesia zatrzepotała rzęsami. – Nawet mu przecież zrobiłam wstępną wycenę. Bardzo dużo PRACY w to włożył, bardzo dużo. CIĄGLE tu jeździł i szukał fachowców, żeby to jakoś wyglądało, bo przecież do takiej RUDERY ja się z dzieckiem nie wprowadzę. Chyba żeby wyburzyć, bo ten GRUNT…

– A po co ty byś się tu miała wprowadzać? – gruchała niezmiennie młodsza ciotka.

– Przecież na czterdziestu pięciu metrach…

– Agnieszko! – fuknęła jodła stanowczo. – Agnieszko, proszę w tej chwili zamilknąć. W TEJ. CHWILI!

– Mamo? – Głos Marka sprawił, że wszyscy odwrócili się teraz do Wandy Popiełowskiej.

Stała w drzwiach domu, tuląc do piersi kota.

– A bo ja wiem… – mruknęła w zamyśleniu. – No mówił, mówił, żeby to sprzedać, ale on ciągle coś mówi.

– No wie mama! – oburzyła się Agniesia. – Mój mąż tak się POŚWIĘCA, żeby mamie podnieść STANDARD, a mama nawet nie słucha!

– CZY TY NIE SŁYSZYSZ, CO JA DO CIEBIE MÓWIĘ?! – darła się jodła, sypiąc igliwiem.

– Oczywiście, że SŁYSZĘ, nie rozumiem, po co ty do mnie tak krzyczysz…

– MUSZĘ KRZYCZEĆ, BO TY JESTEŚ TAK SAMO DURNA JAK TWOJA MATKA!!!

Jego wrzask poniósł się dalej ulicą, między domami rozświetlonymi blaskiem świątecznych lampek i równie świąteczną ludzką radością. Jedynie na podwórku Jędrzejczyków panował nastrój zgoła odmienny.

– Jak nie słucham, jak słucham? – Wanda Popiełowska obrzuciła coraz bardziej zdezorientowaną córkę oburzonym spojrzeniem. – Nawet po świętach miałam podpisać te takie odpowiednie… plenipotencje, żeby mógł się wszystkim zająć w moim imieniu.

– Czyli tak właściwie… co miał zrobić? – wtrąciła Tereska z błyskiem księgowej w oku.

– No jak to co? Sprzedać, rozliczyć, zapłacić te różne podatki i tak dalej. Bo to podobno musi teraz iść wszystko przez konto, tak przez internet. Ja się nie znam, Agniesia się tym przecież nie zajmie, skoro jest w ciąży. W ciąży się trzeba oszczędzać. Jan Jakub jest dobrym mężem, do dziś pamięta, ile się Marek umęczył, jak trzeba było z Olą na te wszystkie zabiegi, kontrole, rehabilitacje… więc powiedział, że on się tym zajmie. To wszystko z troski, Agniesiu.

Nagle jodła umilkła jak zaklęta. W przeciwieństwie do Agniesi, która pierwszy raz w życiu zaczęła intensywnie łączyć fakty.

– A… aha. – Przełknęła ślinę i wciągnęła przez nos mroźne grudniowe powietrze, trzepocząc wytuszowanymi rzęsami. – A czy mój mąż z tej troski wspomniał może mamie, że my mamy ROZDZIELNOŚĆ MAJĄTKOWĄ?…

– Co to znaczy? – zapytał Maciejka matkę.

– Że pieniądze ze sprzedaży domu zasiliłyby osobiste konto Jana Jakuba i nie weszłyby do majątku wspólnego… – wyszeptała Tereska. Promieniejąc szczęściem bez granic, odwróciła się pomału w stronę jodły. Teraz już wszystko rozumiała. – WIEDZIAŁEŚ! – oznajmiła dobitnie. – To ty jako pierwszy zacząłeś się ciskać, że akt urodzenia z boazerii to próba odebrania domu ciotce. Wiedziałeś o tym już wcześniej. Bo to ty byłeś tym synem, który się kręcił po domu, kiedy jeden Ruta instalował internet, a drugi sprawdzał piec. I pewnie byłeś tutaj, kiedy przyjechał Popiełowski, żeby spisać relację babuni. Co, pewnie podsłuchiwałeś, o czym rozmawiali?

– Idę o zakład, że babunia zaczęła mówić o umieraniu i pogrzebie – wtrąciła Krystyna. – I pokazywać katalog z trumnami.

– Sto na sto. Przecież to Popiełowski sporządzał testament dziadunia, musiał wiedzieć, skąd dziaduniowi wzięły się takie zapisy. Może nawet widział prawdziwy akt urodzenia Wandy? Tak czy siak dostrzegł pułapkę i próbował coś zasugerować babuni między wierszami albo uświadomić wprost, że przecież dom dziedziczy tylko najstarsze dziecko zrodzone z małżeństwa. Babunia pewnie nie zrozumiała, za to ty zrozumiałeś bardzo dobrze… choć też nie do końca. Wiedziałeś od Agniesi, że na tym gruncie da się zarobić majątek, więc zacząłeś urabiać Wandę. Testament dziadka spadł ci wprost z nieba: ciotka Wanda odziedziczyłaby cały dom, przepisała na ciebie, a ty byś go sprzedał i szukaj wiatru w polu. Tyle że potem sprawy się skomplikowały, bo dowiedziałeś się jakimś zrządzeniem losu, że coś jest nie tak z aktem urodzenia ciotki, a to zmieniało wszystko. Żeby Wanda mogła dziedziczyć tak, jak chciałeś, musiałeś albo zniszczyć jej prawdziwy akt urodzenia, albo usunąć prawowitych spadkobierców. Spadkobierców, którzy zjechali się na pogrzeb i zostali na święta. Akt wypadł z boazerii, ale ty już zacząłeś zastawiać pułapki.

– Być może… być może próbowałem przyspieszyć bieg pewnych spraw – odparła jodła opanowanym głosem Jana Jakuba. – Być może chciałem stworzyć pewne… wrażenie. I być może poniosło mnie przy… eksploatacji elementów drewnianych. Ale to wszystko wyłącznie po to, żeby przekonać mamę do sprzedaży domu! Starsi ludzie bywają bardzo uparci. Bardzo! Nie dają sobie nic powiedzieć!

– Może bym ci uwierzyła, gdybyś poprzestał na piłowaniu desek…

– …i boazerii – dorzucił Marek ponuro.

– I boa… co, też?!

– A co, serio myślałaś, że wybiłaś ot tak dziurę dupskiem? Gnojek łaził po domu i robił szkody gdzie popadnie. Żeby matka uwierzyła, jak to się dom sypie i wali.

– Oż ty bobrze skurczybyku… – sapnęła Tereska złowrogo. – Dobra. Może bym nawet kupiła awarię hulającego pieca. Ale przedobrzyłeś. Wiesz kiedy? Dynks pod zegarem nijak nie mógł podpiłować się ze starości.

Jodła milczała uparcie.

– No tak! – uświadomiła sobie naraz Tereska. – To ty dorzucałeś do pieca jak dziki. Niby żeby Agniesia nie marzła, ale tak naprawdę chodziło o to, żeby ją wywabić ze stryszku i mieć swobodę ruchu, móc się wymykać z domu przez stodołę. A potem, jak już hajcowało się na całego, postanowiłeś dorzucić jeszcze trochę. Pindzia dobrze wyniuchała, kto tam majstrował z takim zapałem. No proszę… Tak na czystą logikę to nawet rozumiem, dlaczego chciałeś zabić ojca i Kryśkę. Ale mnie? Niczego nie dziedziczę…

– BO TY MNIE WKURWIASZ!!! – wrzasnęła jodła, tracąc cierpliwość. – WSZYSTKO PSUŁAŚ!!! WSZY-STKO!

– No tu ma trochę racji – przyznała uczciwie Krystyna.

– Nawet nie próbuję zaprzeczać – zapewniła gładko Tereska. Była trochę przyzwyczajona, że tak już robi ludziom o pewnym rysie charakteru. Jeden skończył w dywanie, drugiego musieli wygrzebać z bagażnika białego czołgu, a teraz trzeci zawisnął na jodle. – Złaź – rzuciła do jodły.

– Nie zlezę – dobiegło spomiędzy gałęzi tonem buntowniczym.

– Złaź, mówię.

– NIE ZLEZĘ. NIE ZLEZĘ! TAK BĘDĘ LEŻAŁ!!!

– Okej. Okej… – Tereska pomału skinęła głową, po czym ryknęła przez ramię: – ANDRZEJ!

– Tak, Mysza?

– DAWAJ SIEKIERĘ.

Pośród jodłowych gałęzi naraz zapanowało wielkie poruszenie, aż całe połacie zmrożonego śniegu posypały się na ziemię.

– Ma… mamo! Mamo! – zawył żałośnie Jan Jakub. – MAMOOO!!! MAMA NIE POZWOLI!!! JA TO WSZYSTKO DLA MAMY!!!

– Czy ciebie rozum już całkiem opuścił? – oburzyła się ciotka Wanda na Tereskę. – Co ty sobie myślisz? Mało ci nieszczęść?

– Ciociu…

– Jeszcze mi, nie daj Boże, w różach wyląduje!!!

– Ciocia wybaczy. – Tereska była nieprzejednana. – Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy!

Maciejka błyskawicznie obejrzał się przez ramię.

– Mamo, to nie lasy. TO POLICJA.

Rzeczywiście, blask, który nagle roziskrzył się w okolicznych zaspach, pochodził z koguta radiowozu, który w tej samej chwili wjechał na podwórze.

Cała rodzina zastygła.

– To nie to, co pan myśli – oświadczył dobitnie Andrzej z siekierą w garści do wysiadającego mundurowego.

– Ja nie wiem, co ja myślę… – odparł oględnie starszy aspirant Ktoś Tam, zbliżając się w towarzystwie sierżanta sztabowego Jakiegoś Tam.

Byli świadkami niejednej Wigilii, w trakcie której kogoś poniosły nerwy bądź ułańska fantazja, dusza słowiańska, zwłaszcza gdy w telewizji leciał *Potop* i komuś zachciało się postrzelać do portretów. Albo chociaż cisnąć ćwikłą. Ale uroczyście przyodzianą rodzinę wraz z kobietą w budyniowej bluzie i psem, wygrażającą zbiorowo jodle za pomocą siekiery widzieli chyba po raz pierwszy.

– Wesołych świąt?… Przepraszamy, że tak jeszcze bardziej nie w porę, ale wypłynęły pewne fakty w sprawie śmierci notariusza Tadeusza Popiełowskiego. W związku z tym szukamy pani… Agnieszki Kubasiuk z domu Popiełowskiej.

Agniesia zadrżała. Zwiesiła ramiona i cała jakby przywiędła, po czym powiedziała cicho i żałośnie:

– To… to ja.

– Czy wie pani może, gdzie zastaniemy pani męża? Pana… Jana Jakuba Kubasiuka?

Agniesia wyprostowała się powoli. Jedną dłoń oparła o ledwie zaokrąglony brzuch, a drugą wykonała wielkopański gest, wskazując jodłę za swoimi plecami.

– Proszę BARDZO. Panowie się częstują.

– A… A… AGNIESZKO!

– Chodź, Agniesiu – rzuciła Tereska do kuzynki. – Ty jesteś w ciąży, musisz na siebie uważać. Jeszcze sobie pęcherz przeziębisz na tym mrozie.

Jedno po drugim odwrócili się i zaczęli grzecznie wracać do domu, podczas gdy dwaj policjanci tłumaczyli Janowi Jakubowi, że albo zlezie sam z tej jodły i odpowie na kilka pytań, albo będą zmuszeni wezwać straż pożarną, żeby mu pomogła.

– Widzisz, synu? – zwrócił się pogodnie do nieco zdębiałego Maciejki Andrzej Trawny. – Wszystko drożeje, ale na szczęście cyrk niezmiennie tani.

ROZDZIAŁ | 27

W kwestii pułapek na spadkobierców Tereska niestety miała rację. Wszelkie ślady niecnych knowań zostały skutecznie zatarte, w większości przez nieświadomego Marka. Za to sprawdzony przez policję monitoring parkingu rozładunkowego za sklepem PHU Halinka ujawnił bardzo ciekawe sceny.

Wszystko rozegrało się właśnie tam, wieczorem w dniu pogrzebu Przybysławy Jędrzejczyk. Gdy samochód notariusza zatrzymał się na parkingu, Jan Jakub Kubasiuk nie towarzyszył Tadeuszowi Konstantemu Popiełowskiemu. Podczas gdy przyszły denat robił zakupy, z ciemności zbocza wyłoniła się postać i przyczaiła nieopodal kartonów. Kiedy Popiełowski wrócił, wsiedli razem do samochodu. Naraz doszło między nimi do kłótni i szamotaniny, a następnie zgonu notariusza – być może z przyczyn naturalnych, być może z pomocą, to już ustalą patomorfolodzy. Oświetlony przepięknie przez lampkę przy lusterku, którą osobiście włączył, Jan Jakub Kubasiuk przetrząsnął wnętrze samochodu, znalazł w schowku kopertę, z której następnie coś wyjął, prawdopodobnie jakiś dokument, po czym zabrał jedno i drugie i oddalił się pieszo z miejsca przestępstwa, kierując się w stronę ulicy Zacisze skrótem na przełaj.

– Czyli to Jan Jakub naniósł tego śniegu, w który wlazłam – skojarzyła błyskawicznie Tereska. – I to on zamknął Bigosa w stodole. Potem nie musiał wymykać się przez frontowe drzwi, żeby się dostać do pieca. Gdy dowiedział się o klapie, wypłoszył Agniesię gorącem do chlewika, żeby otworzyć sobie drogę na skróty. Wygodnicki.

– Na to wygląda…

– Beknie co najmniej za nieudzielenie pomocy – podsumował Andrzej. – Choć pewnie będą mu próbowali udowodnić coś więcej. Może zabójstwo, może pobicie ze skutkiem śmiertelnym.

– Ale… po co? Tego nadal nie ogarniam. Po co Jan Jakub w ogóle się z nim szarpał?

Tego niestety nikt nie potrafił ani zrozumieć, ani tym bardziej wyjaśnić.

Jak zwykle siedzieli wszyscy w kuchni, brnąc z zapamiętaniem przez drugą setkę pierogów z kapustą, ulepionych przez Wandę w chwili rozpaczy. Wciąż nikt nie żałował, że Marek zapomniał o karpiu. Pierogi były wyborne.

– Wiecie, ten mój VIBE mógłby góry przenosić – pochwaliła się Agniesia. Wbrew okolicznościom promieniała dziką satysfakcją. – Ja się MARNUJĘ w nieruchomościach, powinnam robić w dyplomacji!

Nawet najlepszy korektor nie zdołał ukryć faktu, że pierwszy dzień świąt Agniesia spędziła na zawodzeniu w poduszkę. A potem przypomniała sobie, że jej mąż to buc, naciągacz i ogólnie szuja – ona zaś jest silną, niezależną kobietą ze wsparciem silnej, niezależnej córki, dynamiczną ścieżką kariery oraz mieszkaniem na własność. Może i za

małym na troje dorosłych i niemowlę, ale po odjęciu jednej sztuki nagle zrobiło się jakby luźniej. A potem przypomniała sobie jeszcze zachwyt w oczach Przemcia… Wtedy wstała, poprawiła koronę i wzięła się za bary z tą nową rzeczywistością. Drugiego dnia świąt zagoniła brata za kierownicę i pojechała na komendę, raz jeszcze rozmówić się z prowadzącymi śledztwo. Dla odmiany spokojnie i rzeczowo. Wrócili w samą porę, na obiad.

– Nie jestem pewien, czy mówienie drukowanymi literami do mundurowych podchodzi pod dyplomację – wytknął siostrze Marek, dosiadając się do stołu i biorąc za pierogi.

– Dowiedziałaś się czegoś jeszcze? – zapytała Krystyna.

– OCZYWIŚCIE. Otóż w rzeczach mojego… wciąż męża znaleziono komplet kluczy do tego domu oraz bardzo wymiętą i poplamioną kopertę formatu de-el.

– Zaginione klucze ojca – domyśliła się w mig Tereska. – I koperta nieboszczyka?

– Co było w kopercie? Udało ci się dowiedzieć?

– OCZYWIŚCIE, że tak. Poinformują nas oficjalnie – podjęła Agniesia, gdy już nieco ucichli po kolejnym przypływie uniesienia – kiedy zakończą CZYNNOŚCI, cokolwiek by to miało znaczyć, ale nakreśliłam im sytuację na tyle OBRAZOWO, że zdradzili to i owo. No więc zdaniem policji w kopercie notariusza pierwotnie znajdowały się dwa DOKUMENTY…

– Testament dziadunia! – weszła jej w słowo Tereska. – I coś jeszcze? Wiedzą już, co to było dokładnie? Albo chociaż podejrzewają, co to mogło być?

– No więc tu pewną wskazówką są czerwonawe plamy znalezione na kopercie…

– AKT Z BOAZERII!!! – ryknęli zgodnym głosem.

– Zgadza się! – Agniesia klasnęła w dłonie. – A te plamy to podobno KREW! Albo Popiełowskiego, albo mojego… wciąż męża, to jeszcze będą ustalać.

Burzliwa wymiana poglądów ponad pierogami doprowadziła ich koniec końców do następujących wniosków.

Notariusz Popiełowski, kierowany zobowiązaniami natury prawnej, zjawił się na stypie z kompletem dokumentów, który miał wstrząsnąć rodziną: testamentem dziadunia oraz prawdziwym aktem urodzenia Wandy, córki Uwego. Do samego testamentu Jan Jakub nie miał żadnych zastrzeżeń, dlatego zostawił go przy nieboszczyku, musiał natomiast odzyskać prawdziwy akt urodzenia, choćby i przemocą, żeby zapobiec wydziedziczeniu teściowej. Podstępem zwabił notariusza na parking za sklepem, gdzie doszło do kradzieży i ostatecznego uciszenia jedynego świadka, który mógłby podważyć prawo Wandy Popiełowskiej do spadku po dziaduniu.

Dlaczego Jan Jakub od razu nie zniszczył problematycznego dokumentu? Może zadrżała mu ręka? A może postanowił go zachować na przyszłość, tak na wszelki wypadek… Tak czy siak, dokonawszy zbrodni, Jan Jakub wrócił do domu pod osłoną nocy i natknął się na Tereskę, która nie dość, że podstępem zaanektowała mu chlewik z dogodnym dostępem do drzwi wyjściowych, to jeszcze kręciła się jak kot z pęcherzem, zamiast spać jak człowiek. W przypływie czy to paniki, czy to zamroczenia umysłowego spłoszony Jan Jakub wsunął splamiony krwią akt do najgłupszej kryjówki, jaką zdołał znaleźć, czyli dziury, którą własną ręką uczynił w boazerii. Dlatego tak bardzo protestował potem przeciwko demontażowi uszkodzonego fragmentu, upierając się przy starannym sztukowaniu deseczek, chociaż jednocześnie wszem wobec narzekał na ogólny zły stan domu.

Stan, do którego sam się przykładał.

Zamyślona Tereska gwałtownie wyprostowała się na krześle. Coś jej przyszło do głowy, coś wyciągniętego z chaosu nieświadomości wspomnieniem czynionych przez Jana Jakuba przypadkowych szczelin w boazerii. Szczelin i pęknięć.

Pęknięć.

W drewnie.

– Maciejko… – Pomału, żeby nie spłoszyć tej myśli, Tereska odwróciła się do syna, po czym wbiła w niego oszołomione porcelanowe spojrzenie. – A weź no przynieś mamuni tamto zdjęcie. Wiesz które.

O dziwo, Maciejka wiedział. Na jednej nodze skoczył do saloniku babuni.

Tereska wzięła ramkę z rąk syna i odwróciła. Przeciągnęła opuszkami palców po długim, wyraźnym pęknięciu, które widniało z tyłu. A potem wpiła w nie palce – i pociągnęła z całych sił.

– CO TY ROBISZ?! – wrzasnął Marek, lecz było już za późno. Drewniana ramka pękła w rękach Tereski, szkło brzęknęło cicho o blat, a fotografia sfrunęła pod stół.

W kuchni zapanowało ogólne poruszenie wobec tak ewidentnego aktu wandalizmu. Tylko Krystyna, zamiast zmywać głowę bratanicy, zanurkowała pod stołem. Kiedy spod niego wylazła, trzymała w dłoni bezcenne zdjęcie i coś jeszcze. Kartkę z zeszytu w kratkę.

– Przecież… przecież to pismo mamy – wyszeptała ze zdumieniem, przysiadając na piętach. – „Ja, niżej podpisana Przybysława Janina…”.

– Czyli babunia jednak sporządziła testament!

– Tyle że odręcznie…

– To dlatego Jończy nie znalazł go w rejestrach!!!

Czym prędzej zeszli się wszyscy do jadalni – ciotka Wanda z Bigosem, Henryk bez Bogny, która pojechała zajrzeć do kliniki, Krystyna bez Baranka, Popiełowscy, Trawni oraz zdekompletowani Kubasiukowie.

– Czytaj, dziecko. – Ciotka Wanda skinęła głową na Maciejkę. – Ty masz młode oczy.

– O proszę! Spisany w zeszłym miesiącu, piętnastego listopada – zaczął z ożywieniem Maciejka. – Więc tak: „Ja, niżej podpisana Przybysława Janina Jędrzejczyk z domu Wolniak, zamieszkała w Czarnym Borze przy ulicy Zacisze dwanaście, legitymująca się…”.

– DALEJ! – popędzili go chórem wszyscy zebrani.

– Dalej, dobra, niech będzie, że dalej… „oświadczam, iż do spadku w częściach równych powołuję moje dzieci: Wandę Popiełowską z domu Jędrzejczyk, Henryka Jędrzejczyka oraz Krystynę Jędrzejczyk”.

– No? – Tereska kiwnęła głową, kiedy jej syn zamilkł na dobre. – Czytaj dalej!

– To tyle. Nie ma żadnego dalej. Żadnych warunków, żadnych wykluczeń. Cokolwiek dziedziczycie po babuni, dziedziczycie we troje po równo. Ciocia, dziadek i ciocia.

Bezbrzeżna ulga spłynęła na całą rodzinę. Ulga, że babunia Sława potraktowała swoje dzieci tak, jak na to zasługiwały – uczciwie. Choć wyraźny cień rozczarowania na twarzach Krystyny i Henryka dowodził, że uczciwość w ich odczuciu to było nieco za mało, by wynagrodzić najstarszej z rodzeństwa gorycz rozczarowania postępkiem dziadunia Fredka.

– To chyba w żaden sposób nie zmienia zapisów testamentu dziadunia, prawda? – upewniła się Alina, która dzieliła ten żal i ani myślała go skrywać.

– Obawiam się, że nie – odparła Tereska. – Wszystko zostaje po staremu. Nawet nie wiem, czy testament babuni jest prawnie wiążący bez podpisu świadków…

– Cóż. Liczy się intencja. – Ciotka Wanda uśmiechnęła się blado, choć serdecznie. – Tak. Mama już tak miała. Zawsze siedziała cicho i po prostu robiła swoje.

Andrzej Trawny zmarszczył brwi. Jego inżynierski umysł w każdych okolicznościach domagał się rozwiązań możliwie prostych i funkcjonalnych. Adekwatnych, a zatem takich, w których osiągnięty cel co najmniej równoważył nakład poniesionych środków. Na przykład kupno domu na wsi zamiast remontowania nieustawnej kuchni w ciasnym mieszkaniu z wielkiej płyty. To miało sens! Ale taki testament?

– No tak. Tylko po co spisywać testament, który niczego nie zmienia? – zapytał na głos.

– Faktycznie – zgodziła się Tereska. – Przecież to w żaden sposób nie odbiega od dziedziczenia ustawowego.

– Może to taki symbol? – podsunęła Karolina. – Albo… znak od babuni, że w przeciwieństwie do męża ona wszystkie swoje dzieci traktowała równo?

Tereska odwróciła się pomału na krześle i wbiła w małżonka spojrzenie porcelanowych oczu, równie jasne, co nieobecne. Wezbrała w niej na nowo tamta pewność. Może się nie widywali, może coś przeoczyła, kilka tajemnic i ran, ale znała ich przecież od podszewki, od fundamentów: ciotkę, Krystynę, ojca, Marka… I babunię.

Babunia była zorganizowana.

Babunia zawsze robiła swoje.

Zawsze.

– Andrzej… Wiem, że już to mówiłam, ale…

– Co takiego, Mysza?

– Przynieś siekierę.

Tym razem nikt nie zaprotestował, bo wszyscy zgodnie oniemieli. Nikt nie nadążał za rozumowaniem Tereski, a Tereska… Tereska chciała najpierw przekonać się organoleptycznie.

Kiedy stanęła w progu saloniku, na jej widok leżąca w fotelu Pindzia podniosła głowę i zabębniła ogonem. Szybko upodobała sobie to miejsce – z widokiem trochę na podwórko, a trochę na przedsionek i ewentualnych gości, których należałoby powitać, przy tym zaś z dala od codziennego gwaru i zamieszania. Wygodny, szeroki fotel.

Fotel babuni Sławy.

Fotel Omy.

Jedyna rzecz, którą w tym domu poddano szeroko pojętemu remontowi, odkąd Tereska sięgała pamięcią. Tapicer, który wymieniał obicie pod czujnym okiem babuni, śmiał się, że takiego wyzwania to jeszcze nie miał. Ale przecież to był zwyczajny fotel…

– Chyba nie chcesz go porąbać?! – zaprotestowała Krystyna, stając za bratanicą.

Ku powszechnej uldze Tereska zaprzeczyła.

– Mam wielką nadzieję, że do tego nie dojdzie… Ale nadal twierdzę, że babunia nie mogła umrzeć nieprzygotowana. I nie, jej testament nie wyczerpuje tematu – zastrzegła pospiesznie.

Rozejrzała się po saloniku i zatrzymała wzrok na zdjęciu w kącie. Tereska, Marek i Agniesia, wnuki babuni w komplecie. Troje dzieciaków na tle drzew, które wiele lat wcześniej Sława Wolniak sadziła razem z Omą i Uwem. I tamten głaz, na którym czas zdążył już całkiem zatrzeć wyryte niegdyś litery. Dzień w dzień na nich patrzyła, dzień w dzień o nich myślała. O swojej przeszłości i przyszłości.

Tereska spojrzała na Andrzeja. Na Marka. A potem na Alinę. Popiełowska uśmiechnęła się kącikiem ust, jak gdyby doskonale zrozumiała ten wzrok i wszystko, co się za nim kryło. Cały ogrom wszystkiego. O tak. Obydwie były gotowe zrobić i znieść wiele dla swoich mężów. Ale jeszcze więcej były gotowe zrobić dla swoich dzieci.

– Babunia zawsze robiła swoje – podjęła Tereska. – Po cichu. I za nic nie pozwoliłaby dziaduniowi wykluczyć któregokolwiek z dzieci. Musiała mieć coś w zanadrzu. Musiała zostawić coś jeszcze. Andrzej, ty jesteś inżynierem…

– Produkcji…

– Jeden pies. Wybacz, Pindziu.

Siekiera chwilowo spoczęła w kącie jako opcja ostateczna. Wszyscy się odsunęli, żeby Andrzej z Markiem mogli odwrócić fotel do góry nogami i wziąć się do oględzin.

– Tam coś jest – oznajmił nagle Marek, kiedy już wszyscy byli przekonani, że nic z tego, że jeśli babunia cokolwiek ukryła, to na pewno nie tutaj, nie w fotelu niedoszłej teściowej, o którą dbała do końca jak o rodzoną matkę. A po śmierci Omy zajęła jej miejsce, symbolicznie i dosłownie. – Czekaj! Czekaj! Weź mi tu przytrzymaj… Tam coś jest. Tam… tam naprawdę coś jest!

Razem z Andrzejem mocniej naciągnęli materiał obicia, aż jęknęły sprężyny, a Tereska poświeciła im telefonem. Głęboko pod siedzeniem fotela dwóch babć widniała płaska drewniana skrytka.

– Ja może nam poleję… – zaproponowała Alina i sięgnęła do kredensu.

– Czekaj, Marek, nic na siłę. Puść mnie. To się musi jakoś otwierać… – Andrzej obmacywał skrytkę długo i uważnie, z każdej możliwej strony, aż naraz poczuł, że coś mu pstryknęło pod palcami. Aż krzyknęli, kiedy wydobył na światło dzienne kopertę z grubego papieru. – Proszę bardzo.

– Zaczynam dostrzegać pewien wspólny motyw – mruknęła Alina z butelką nalewki w garści.

– Co to takiego? – dopytywała z przejęciem ciotka Wanda. – Co tam jest?

Marek drżącą dłonią wyciągnął z koperty dwie kartki, zszyte ze sobą i złożone na pół. Rozłożył je na stoliku i przyklęknął. Dokument spisany był w dwóch językach, polskim i niemieckim, i opatrzony pieczęciami notarialnymi. Tym razem nic nie uszkodziło tekstu. Skrytka w fotelu miała tę przewagę nad boazerią, że zmajstrował ją zawodowiec.

– Akt darowizny. Z trzydziestego pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Kilka dni przed wysiedleniem Uwe Löch przepisał Przybysławie Wolniak kawałek gruntu w Czarnym Borze, dawniej Schwarzenwaldau. Odziedziczył go po ojcu.

– Gruntu? – powtórzyła Agniesia, a jej jasne oczyska pojaśniały jeszcze bardziej.

– Tak tu jest napisane. – Marek wskazał siostrze palcem odpowiedni wers w polskojęzycznym akapicie. – A co? To coś znaczy?

– No i wszystko jasne! – zakrzyknęła entuzjastycznie Agniesia, aż dziw, że nie drukowanymi literami.

– Jak jasne? Co tu niby jest jasne?!

– Och, Teresa. – Agniesia uśmiechnęła się do kuzynki z politowaniem. – Możesz zapytać Przemcia, jeśli chcesz, Przemcio POTWIERDZI, ale ta zasada jest znana wszystkim OGARNIĘTYM agentom nieruchomości, takim jak, nie chwaląc się, ja. *Superficies solo cedit.* To, co na powierzchni, przypada gruntowi. ELEMENTARNE.

Alina mało się nie zachłysnęła powietrzem. Krystyna złapała Henryka za dłoń i ścisnęła z całych sił, a Wanda, tak jak stała, klapnęła na podnóżek.

– Czyli… czyli że…?

– Nieważne, czyj był albo jest ten DOM – oświadczyła wszem wobec Agniesia. – Ważne, czyj jest GRUNT, na którym ten dom stoi. A najwyraźniej od stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku JEDYNĄ właścicielką gruntu była babunia Sława.

– A po babuni dziedziczą w częściach równych Wanda, Henryk i Krystyna – powiedziała Tereska, czując, jak z serca spada jej olbrzymi kamień.

– Niezły numer. – Marek Popiełowski aż zarechotał radośnie. – Wychodzi na to, że babunia pokrzyżowała szyki nie tylko dziaduniowi. Tej gadzinie również!

– No i bardzo dobrze.

– A Popiełowski nie wiedział o myku z gruntem. Nikt o tym nie wiedział! Dziadunio chciał po cichu wykiwać babunię, a tu babunia wykiwała jego.

– Czy Oma mogła specjalnie przepisać dziaduniowi dom? Żeby go zwieść?

– Możliwe – zgodziła się ciotka Wanda. – Jej przywiązanie do tej ziemi było tak samo silne jak przywiązanie do syna.

– Ale nawet razem wzięte nie mogły się równać z przywiązaniem do rodzonej wnuczki… – dodała Tereska z nagłą czułością w głosie.

– No wiesz. – Krystyna uśmiechnęła się przekornie. – Babunia zawsze wywijała w tej rodzinie najlepsze numery. Twoja kostka jest tego całkiem dobrym dowodem.

...I PO ŚWIĘTACH

ROZDZIAŁ OSTATNI

Marek Popiełowski z rozmachem zatrzasnął klapę bagażnika.

– To co? – Stanął przed kuzynką, która rozsiadła się na siedzeniu pasażera na tyle wygodnie, na ile pozwalały jej kule, usztywniona kostka oraz skromne wymiary yariski. Dynamiczne święta dobiegły końca i Trawni zbierali się do wyjazdu. Pindzia mościła się pieczołowicie na tylnym siedzeniu, węsząc, sapiąc i fukając, korzystając z tego, że Andrzej poleciał jeszcze na kontrolne oddanie moczu przed wyruszeniem w drogę. – Do zobaczenia na następnym pogrzebie?

– Chciałbyś, co?

– Chciałbym… – Międlił to w sobie i międlił, aż myślała, że już tak zostaną na zawsze, ona na siedzeniu yariski, a on z ręką na otwartych drzwiach. Jak nic oboje dostaną zapalenia pęcherza. – Chciałbym nie tracić kontaktu. Znowu. Chociaż nie wiem, czy to możliwe.

– No wiesz? – Tereska uniosła brew. – Trochę więcej wiary w następne pokolenie.

Spojrzeli oboje w stronę frontowych drzwi, gdzie troje najmłodszych w rodzinie wymieniało się właśnie numerami telefonów. Maciejka i Olka od początku nadawali na tych samych falach, a teraz dołączyła do nich Karolina i chwaliła się pierwszym tysiącem obserwujących jej prace na Instagramie. Choć pierwszy szok po aresztowaniu Jana Jakuba dopiero zaczynał opadać, już nie sprawiała wrażenia smętnej jeżki. Wprost przeciwnie – bił od niej ten sam blask, co podczas prezentacji choinki zachwyconej rodzinie. Z imieniem, które należało do niej, i bez ojca, który oceniał wszystko i wszystkich, dziewczyna nagle odżyła, odbiła od ziemi.

Widać nie tylko Henrykowi wyszło na lepsze odcięcie się od ojca.

– Mamooo! – zawołał Maciejka do Tereski. – Olka przyjedzie do mnie z Aśką w ferie. Może?

– A kim jest ta Aśka? – zapytała Wanda, która wyłoniła się z domu, niosąc świąteczną wałówkę dla Trawnych. Podobna paczka odjechała poprzedniego dnia z Henrykiem i Bogną, inna, tylko odrobinę mniejsza, przypadła Krystynie. Na Popiełowskich, którzy wyruszali dopiero po obiedzie, też już czekał ich przydział. Ale to w paczce dla Trawnych był największy kawałek sernika. „Dla Maciejki”, jak podkreśliła ciotka podczas pakowania. „To dziecko to najlepsze, co ci w życiu wyszło”. A Tereska jak rzadko nie widziała powodu, żeby się z ciotką spierać.

Olka nabrała powietrza i obejrzała się na ojca. Przez jej twarz przemknął cień obawy, wyparty szybko przez ufność i spokój, kiedy Marek odpowiedział córce szerokim, ciepłym uśmiechem. „Śmiało”.

– To moja dziewczyna, babciu. Chodzimy ze sobą już od jakiegoś czasu.

– Ciocia rozumie, poważna sprawa – dodał Maciejka.

– No. Poważna.

– A dlaczego ja jej nie znam? Tej Aśki? – Ciotka Wanda uniosła brwi. – Co ty? Babci się wstydzisz?

– Trochę.

– No wiesz? – Wanda Popiełowska wyciągnęła rękę i niezdarnie pogładziła starszą wnuczkę po policzku. – Ja się przy gościach potrafię zachować.

– Co ciocia nie powie… – mruknęła pod nosem Tereska.

– Ty nie jesteś gość – ucięła krótko Wanda, wręczając jej wałówkę. – Ty jesteś rodzina. A rodzina… rodzina po coś w końcu jest. Nawet jeśli kanciasta.

Tereska obejrzała się na Olkę i Karolinę. Oj tak. Każda z nich była w tej rodzinie małym, nieoczekiwanym kantem. I każda po swojemu zawalczyła o to, żeby tym kantem pozostać.

– To jak? Mogą? – Maciejka ani myślał odpuścić. – Spałyby w pokoju Zoi, sam im pościelę. Aśka ma prawo jazdy i samochód, podskoczylibyśmy sobie tu i tam… miałabyś święty spokój…

– Ty to wiesz, czym skusić matkę. Jeżeli o mnie chodzi, jasne, niech przyjeżdżają.

– Mowy nie ma – orzekł Marek Popiełowski.

– Tato! No weeeź!

– Mowy. Nie ma – powtórzył twardo. – Widziałem, jak Aśka prowadzi. Sam was zawiozę. Może… może mnie ktoś przenocuje na podłodze.

Tereska uśmiechnęła się chytrze.

– Zabierz Alinę, to kto wie, może wam nawet kanapę w gościnnym rozłożę.

– Mówisz? Jak ty wytrzymasz taki najazd Popiełowskich? I jak my to wytrzymamy?

– Och, spokojnie. Alina ma swoje sposoby na rozładowanie napięcia.

Zaintrygowany Popiełowski chciał poprosić, żeby z łaski swojej rozwinęła tę myśl, kiedy przez otwarte drzwi rozległ się podniesiony głos ciotki Wandy, zgłaszającej pewne zastrzeżenia względem marszczenia firanek, oraz Aliny, która odpowiadała teściowej z dostojeństwem godnym tybetańskiego mnicha. Oj, Marek zdziwi się po powrocie do domu, zdziwi…

– Jasna cholera – jęknął Marek. – Chwili spokoju człowiek nie ma. Zawsze coś!

– Ano. – Tereska Trawna sięgnęła do pasa, ostatni raz zerkając na skomplikowany dom równie skomplikowanej rodziny. – Zawsze coś.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Będąc młodą autorką w stopniu średnio zaawansowanym, z książki na książkę coraz mocniej doceniam wsparcie mojego osobistego sabatu w składzie: Aneta Jadowska, Magdalena Kubasiewicz i Milena Wójtowicz, każda z własnym zestawem demonów i sposobów, jak zagonić te dziady do pożytecznej roboty. Piękne moje, kłaniam się Wam nisko za niekończące się wsparcie, za wspólny śmiech, a czasem i wspólne marudzenie.

Takoż niezmiennie dziękuję moim Miętówkom za to, że wierzą we mnie z mocą, która chyba nigdy nie pomieści mi się w głowie. A jest to wszak głowa otwarta na przestrzał!

Czołem o podłogę biję z wdzięczności przed moim redaktorem Piotrem Chojnackim, gdyż przeszedł samego siebie, pomagając mi okiełznać wszystko, co w tej powieści dyndało stanowczo zbyt radośnie. Ilekroć brakuje mi umysłowości, żeby ogarnąć własne pomysły, zawsze mogę liczyć na jego wsparcie. Oraz sarkazm. Czy wspominałam o sarkazmie?

Nade wszystko zaś wdzięczna jestem mojemu mężowi Łukaszowi, który wziął na klatę impet naszego dziecięcia, żeby mamusia mogła skończyć książkę, zanim zacznie rozmawiać ze ścianą albo, nie daj jeżu kolczasty, ze zwierzątkami, bo wtedy zamieni się w księżniczkę i zacznie śpiewać. Publicznie.

Oj tak. Książka, którą właśnie trzymacie w dłoniach, to nie tylko dzieło mojej wyobraźni, pierdolca i paru urazów z dzieciństwa, lecz także ludzi, na których zawsze mogę liczyć.

Z wzajemnością, rzecz jasna.

Autorka